

„SOLID GOLD” TO ZASKAKUJĄCO „PISOWSKA” OPOWIEŚĆ – TWIERDZI ŁUKASZ ADAMSKI

JANECKI UJAWNIA: USTAWIONE PRAWYBORY PO?

POSPIESZALSKI: WSTRZĄSAJĄCA ROZMOWA Z NORWESKĄ LEKARKĄ

ROKITA O ZANDBERGU: DUŻY KŁOPOT DLA MORAWIECKIEGO

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 48 (366) 2019
2–8 grudnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

MOCNY WYWIAD Z PREZESEM TVP JACKIEM KURSKIM

NIE BĘDZIE MIĘKKIEJ GRY

W WALCE O WOLNOŚĆ SŁOWA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

ŚPIEWNIK KOLĘD

W TYGODNIKU SIECI

W SPRZEDAŻY OD 9 GRUDNIA





- Najpiękniejsze kolędy i pastorałki z nutami
- 2 płyty z kolędami:
  - w wykonaniu Jasnogórskiego Chóru
  - z wersją instrumentalną do wspólnego śpiewania podczas świąt

Partnerzy wydania:

LOTTO

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 4dac2b45fe



Autopromocja

To więcej niż spór o pomnik

Awantura o łuk triumfalny w Warszawie, który upamiętniałby zwycięstwo w wojnie z bolszewikami, to kolejna odsłona sporu o polską politykę historyczną. To, że takiego pomnika nie ma w stolicy trzy dekady po upadku komunizmu, jest po prostu skandalem.

To kwestia dotykająca naszej tożsamości narodowej oraz hierarchii wartości, wokół których chcemy zagospodarować naszą wolność. Każda duża zbiorowość potrzebuje wyraźnych i czytelnych znaków oraz symboli w przestrzeni publicznej, umożliwiających samoidentyfikację i poczucie wspólnoty. Dlatego od niepamiętnych czasów ludzkość stawiała pomniki swoim bohaterom i nic nie wskazuje na to, aby ta praktyka miała zaniknąć w przyszłości.

Wybór upamiętnianych postaci czy wydarzeń, a także miejsce i sposób ich uczczenia są wyrazem określonej świadomości historycznej. I o to dziś toczy się spór. O prawo do bycia dumnym z własnego narodu, a w konsekwencji o poczucie własnej wartości. Żaden naród o niskiej samoocenie – tak jak człowiek niewierzący we własne siły – nie może odnieść cywilizacyjnego sukcesu. Uprawiana przez długie lata pedagogika wstydu przyczyniała się do budowania w Polakach kompleksu niższości. Dlatego nie powstało wiele muzeów, pomników czy filmów fabularnych, które powstać powinny.

Piętnaście lat temu Lech Kaczyński, naprawiając tego typu zaniechanie państwa polskiego, doprowadził do budowy Muzeum Powstania Warszawskiego. Wówczas krytycy zarzucali mu, że koncentruje się na celebrowaniu klęsk i kreuje nas na naród cierpiętników, podczas gdy jest tyle zwycięstw, które można by upamiętnić. Dziś ci sami ludzie żalą się, że łuk triumfalny to wyraz polskiej tromtadracji, manii wielkości i pobrzękiwanie szabelką. Mało tego, pojawiają się głosy polityków mówiących, że ta sama armia, która w 1920 r. niosła nam komunizm, w 1944 r. przyniosła nam wolność.

Dlatego nigdy dość przypominania, że 15 sierpnia 1920 r. to data ważna w historii nie tylko Polski, lecz także Europy. Nieprzypadkowo lord d'Abernon nazwał Bitwę Warszawską „osiemnastą najważniejszą bitwą w dziejach świata". Polacy uratowali wówczas nie tylko swój niepodległy byt, lecz także inne kraje naszego kontynentu od czerwonej zarazy. Podkreślanie tego to akcentowanie wolnościowych i antytotalitarnych fundamentów naszej wspólnoty politycznej.

Świętowanie stulecia Bitwy Warszawskiej powinno być połączone nie tylko z odsłonięciem odpowiedniego pomnika, lecz także z zaproszeniem na rocznicowe uroczystości przywódców z całej Europy i USA. Odmowa przyjazdu przez któregokolwiek z nich też miałaby swą wymowę. Na pewno zjawiliby się prezydenci i premierzy z naszej części kontynentu, która doświadczyła na sobie zła komunizmu. Byłby to czytelny sygnał wielu państw Europy Środkowej, Wschodniej i Północnej, że dokonaliśmy nie tylko politycznego, lecz także moralnego odrzucenia komunizmu. Jest to istotne zwłaszcza w obliczu dzisiejszej ofensywy marksizmu kulturowego, nieznajdującej wystarczającego odporu na Zachodzie.

Nasze przesłanie do świata nie może zostać zredukowane do jeszcze jednego epizodu w wielowiekowych zmaganiach polsko-rosyjskich, ale powinno się koncentrować na komunikacie, że sto lat temu Polska obroniła cywilizację zachodnią. I że dziś także gotowa jest bronić jej chrześcijańskich i wolnościowych fundamentów.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 4dac2b45fe

SIECI

spis treści



28 *W polityce idą zmiany* ***Konrad Kołodziejski***



38 **Pozwólmy dzieciom być dziećmi** ***Dorota Łosiewicz***



45 **Szachy na granicy** ***Jolanta Gajda-Zadworna***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **DWOJE NA HUŚTAWCE**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TEST NIEPODLEGŁOŚCI**
Jan Pietrzak

13 **TUSK, CZYLI LIBERALNA DEMOKRACJA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **PIESKIE ŻYCIE W STOLICY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z JACKIEM KURSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

28 **W POLITYCE IDĄ ZMIANY**
Konrad Kołodziejski

31 **USTAWIONE PRAWYBORY**
Stanisław Janecki

34 **LUDOWY TRYBUN**
Jan Rokita

36 **JAK PRZYPISUJE SIĘ POLSCE ANTYSEMITYZM I KTO W KRAJU W TYM POMAGA**
Jakub Maciejewski

38 **POZWÓLMY DZIECIOM BYĆ DZIEĆMI**
Dorota Łosiewicz

40 **„SOLID GOLD", CZYLI PRAWICOWA NARRACJA O III RP**
Łukasz Adamski

42 **Z POSŁEM ROBERTEM GONTARZEM**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

45 **SZACHY NA GRANICY**
Jolanta Gajda-Zadworna

48 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

49 **PRASKIE CREDO**
Adam Ciesielski

49 **PRZECHOWALNIA DUSZ**
Przemysław Skrzydelski

50 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

52 **POLECA**
Łukasz Adamski

54 **UFO W RENESANSOWEJ ITALII?**
Joanna Łenyk-Barszcz

OPINIE

58 **SZKODA SMOLEŃSKA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

62 **Z DR KATARZYNĄ JACHIMOWICZ**
rozmawia Jan Pospieszalski

66 **I JAK IMPERIUM**
Hanna Karp

HISTORIA

68 **NAJWIĘKSZA BITWA PANCERNA, KTÓREJ NIE BYŁO**
Marek Budzisz

ŚWIAT

70 **TERAPEUTA POSTMODERNIZMU?**
Aleksandra Rybińska

73 **CO ZROBIĆ Z UKRAINĄ?**
Marek Budzisz

GOSPODARKA

76 **ZMIANY MUSZĄ CZEMUŚ SŁUŻYĆ**
Janusz Szewczak

PODRÓŻE

86 **MOJE SZLAKI: MOSKWA BUŁHAKOWA**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **TRZY MILIONY POLAKÓW**
Maciej Pawlicki

89 **MEDIALNA WALKA O NASZE DUSZE**
Alina Czerniakowska

90 **PRAWNICZE PODCHODY**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **BURLESKA I SZTUCZKI**
Aleksander Nalaskowski

93 **PUTINA ŻAL**
Wiktor Świetlik

94 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **NIE ZAWSZE MILUSIŃSCY**
Ryszard Makowski

97 **OD ŚW. MIKOŁAJA W PREZENCIE…**
Leszek Długosz

98 **VERY BLEAK WEEK**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

50/1119/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl 4dac2b45b



Sygnalista nadaje

Stefan Niesiołowski w rozmowie z Moniką Jaruzelską wrócił do swojej głośnej wypowiedzi o „mirabelkach i szczawiu". Jego zdaniem cała afera to wina Moniki Olejnik. „Nie chcę się na niej mścić, ale nadała temu pewien wyraz negatywny, a potem rozdmuchał to Palikot. Monika Olejnik jest zbyt inteligentną osobą, żeby wiedzieć, że powiedziałem rzecz odwrotną, a mianowicie nie taką, żeby dzieci głodne poszły na nasyp kolejowy i jadły szczaw, ale że kiedy ja byłem dzieckiem, to myśmy byli głodni i jedli szczaw". Tak, to prawda, to ten warsztat i ten styl.

Niesiołowski jak zwykle nie żałował obelg Jarosławowi Kaczyńskiemu („może być odrażający, obleśny"), ale okazało się, że mimo wszystko lider PiS ma pewne przewagi nad liderem PO. Dlaczego? Bo „Schetyna jest kompletnym prostakiem, którym Kaczyński nie jest". Dodał, że „jedyne, co obchodzi klikę wokół Schetyny, to utrzymanie władzy". Na tle dramatu, który przeżywają niektórzy zwolennicy opozycji, bledną wszystkie zmartwienia sympatyków PiS.

W Parlamencie Europejskim odbyła się debata na temat sytuacji osób LGBT w Polsce. ***Robert Biedroń*** przekonywał, że jest okropnie prześladowany. „W ciągu kilku sekund możecie znaleźć państwo setki adresów, gdzie osoby LGBT nie mogą wejść" – mówił, dodając, że chodzi o „sklepy, restauracje, hotele". Dociśnięty, wskazał jeden adres: kawiarnię w Krakowie, w której miała się znajdować nalepka „strefa wolna od LGBT". W sumie im więcej mają, im są silniejsi, tym bardziej użalają się nad własną krzywdą. Nie oni pierwsi.

Donald Tusk także wraca do przeszłości. W rozmowie z „Die Zeit" stwierdził, że moment, w którym został ponownie wybrany na szefa Rady Europejskiej, był dla niego niezwykle dramatyczny. „Akurat polski rząd, mój własny kraj, głosował wówczas przeciwko mnie" – wspomina były premier w rozmowie z niemieckim dziennikiem. Głosował słusznie. Czy to przypadek, że po odejściu Tuska relacje z Brukselą zaczynają wyglądać dużo lepiej?

Liga przeciw Zniesławieniom twierdzi, że w ciągu ostatnich pięciu lat nastąpił w Polsce skokowy wręcz przyrost postaw antysemickich – o 11 proc. Badanie przeprowadzono w 18 krajach, opierając się na ankietach. Pytano m.in. „czy Żydzi mają zbyt wielką władzę w świecie biznesu?", na które to pytanie twierdząco odpowiedziało 72 proc. Ukraińców, 71 proc. Węgrów, 56 proc. Polaków i 50 proc. Rosjan. Nigdy dość powtarzania: w ostatnich latach to Polska szukała porozumienia, za co podziękowano jej – mówiąc delikatnie – dość specyficznie.

Badanie Ligii przeciw Zniesławieniom sfinansował niemiecki koncern Volkswagen. Wyjątkowo celnie doniesienie to skomentował internauta Rafał Plichta: „Gdyby nie Adolf Hitler i jego życzenie, by stworzyć »samochód ludowy«, być może ten ważny raport nigdy by nie powstał!".

eprasa.pl 4dac2b45fe

Były ambasador Izraela we Włoszech Gideon Meir stwierdził tymczasem, że „Niemcy nie zbudowaliby obozów [zagłady] w Polsce bez współpracy ze strony Polaków". Jeśli dodamy do tego mapkę z serialu Netflixa, na której niemieckie obozy wpisano we współczesną mapę Polski, nie informując nawet, że były to tereny okupowane, to propozycja jest jasna: reparacji za niemieckie zniszczenia nie dostaniecie, ale zrobimy wszystko, byście wzięli na siebie spory kawałek, może nawet większość, odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie.

Ale sprawa reparacji nie umarła. Rząd nie zamierza rezygnować. Raport posła Arkadiusza Mularczyka jest obecnie bardzo dokładnie sprawdzany, bo wiadomo, że każdy błąd i każda nieścisłość zostaną wykorzystane. Ważna osoba z rządu mówi nawet, że „może się założyć", że za 10 lat „sprawa będzie jakoś rozwiązana". „Może to będzie 10 Pałaców Saskich, może coś innego, ale gwarantuję: coś wydobędziemy" – dodaje.

Napięcie w relacjach polsko-żydowskich ma być falą, która jeszcze wyżej poniesie Konfederację. Intencja otwartej wojny ze środowiskami żydowskimi, która ani nie jest potrzebna, ani sensowna, ani moralna i która przyniesie korzyści przede wszystkim naszym sąsiadom, staje się coraz mniej skrywana. Szanowni patrioci, nie idźcie tą drogą. Ona prowadzi jedynie na manowce, do tego pisane cyrylicą. Brońmy godności, ale brońmy się też przed szaleństwem.

W Warszawie odbyła się promocja książki Wojciecha Sumlińskiego pt. „Powrót do Jedwabnego". Odbyła się przed jednym z klubów, bo ponoć nikt nie chciał wynająć sali. Reporter portalu wPolityce.pl tak opisuje wydarzenie: „Wreszcie pada wezwanie: »Odśpiewajmy hymn narodowy«, którym okazała się »Rota«. Gdy po słowach »aż się rozpadnie w proch i pył krzyżacka zawierucha« zgromadzeni zakończyli pieśń, Grzegorz Braun skomentował ironicznie: »Ale czy to na pewno krzyżacka zawierucha?«. Tłum odpowiedział uśmiechami zrozumienia".

Grzegorz Braun przedstawił także nowatorską koncepcję w sferze geopolityki: trzeba stawiać na Chiny. „Fort Xi jest moją odpowiedzią na koncepcję Fort Trump wysuniętą w minionym sezonie przez polityków warszawskich, których trudno doprawdy nazywać polskimi" – głosi, zapewniając: „Cóż Chinom po Polsce? Bardzo wiele". Tak oto „realiści" snują bajki. Bo Chińczycy, owszem, wejdą, ale nie po to, by coś nam dać, ale by wykupić co lepsze kąski. Wystarczy zapytać Greków.











Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

Adam Pieczyński zdecydował się zakończyć swoją karierę zawodową. „Po blisko 30 latach pracy na różnych stanowiskach w mediach, w tym po 18 latach kierowania TVN24 i »Faktami«, nadszedł moment, by oddać stery, wypocząć i poświęcić się rodzinie. Newsy w TVN są miejscem, które współtworzyłem i kocham. Będzie mi ich brak, tak jak i współpracowników, których szanuję i podziwiam" – ogłosił. To więcej niż zmiana, to koniec epoki. Być może nie tylko personalnej.

W TVN rzeczywiście dzieją się sprawy ważne. Od plotek aż huczy. Wersje są dwie. Według pierwszej amerykańscy właściciele brutalnie tną koszty, co wywołuje mocne napięcia. A tną, bo muszą spłacić długi z rynku rosyjskiego. Według teorii drugiej stacja zostanie sprzedana w kolejne ręce. Również amerykańskie, ale znacznie potężniejsze. Jak znamy życie, to lepiej raczej nie będzie, ale kto wie, może się zdarzy cud?

Wróciła sprawa upamiętnienia Bitwy Warszawskiej 1920 r. „Ocalili ojczyznę i cały kontynent, wszyscy mamy wobec nich wielki dług wdzięczności, bez nich nie byłoby nas, a także Europy, jaką dzisiaj znamy; zasługują na wielkie upamiętnienie" – stwierdził premier, a wiceminister kultury Jarosław Sellin uznał plac Na Rozdrożu za dobrą lokalizację na pomnik w formie łuku rzymskiego. Pora kończyć debatę i działać, czasu już niewiele. Jeśli patriotyczna władza tego nie zbuduje, będzie miała duży wyrzut sumienia.

Wciąż żyje też koncepcja upamiętnienia zwycięstwa z 1920 r. wielką konstrukcją pośrodku Wisły. „Pomysł łuku triumfalnego, zbudowanego jeszcze na środku Wisły, niestety kojarzy mi się, a dużo jeżdżę po świecie, z republikami postsowieckimi, a nie z nowoczesnym krajem" – ocenił wiceprezydent stolicy Paweł Rabiej. Przywołał też wzorce, które ceni, w tym budowę biblioteki publicznej w Finlandii na 100-lecie niepodległości tego kraju. Pięknie. Czy jednak Polska czcząca wielki triumf biblioteką wciąż byłaby Polską?

„Wybór ***Włodzimierza Czarzastego*** na wicemarszałka Sejmu to symboliczny koniec afery Rywina" – ocenił były premier, a obecnie europoseł opozycji Leszek Miller. Podkreślał, że „dzisiaj Czarzasty jest w prawdziwej grupie trzymającej władzę". To prawda, wszyscy wrócili, nawet Robert Kwiatkowski jest w Sejmie. I Agora już nie ta co kiedyś. Ciekawe, czy Michnik żałuje.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Dwoje na huśtawce



KRZYSZTOF FEUSETTE

Występują:
M.K.-B. (Małgorzata Kidawa-Błońska, premiera cieni, niedoszła Prezeska Rady Ministrów i Ministrów, kandydatka PO na prezydentkę RP)
J.J.: (Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania, kandydat PO na prezydenta RP)

M.K.-B.: – Halo? Poznań?
J.J.: – Jak najbardziej! Siema, Gocha!
M.K.-B.: – Czy to pan Jaśkowiak?
J.J.: – A kto ma być? Tak mi się głos zmienił nie do poznania?
M.K.-B.: – Co ty odwalasz, Jacku?
J.J.: – Startuję w prawyborach. Co, nie wolno? Taka z ciebie demokratka?
M.K.-B.: – Ty sobie demokracją twarzy nie wycieraj, bo ciebie z nami na ulicy nie było.
J.J.: – I co żeście takiego wywalczyli?
M.K.-B.: – Dobra, bo widzę, że będziesz głupa rżnął do upadłego. Lojalnie zatem cię uprzedzam: ja cię zniszczę. Samym przytulaniem. Nie wiesz, kto za mną stoi.
J.J.: – Za mną stoi cały Poznań.
M.K.-B.: – Stu gejów to jeszcze nie jest cały Poznań. O, właśnie, a co ty tak z tymi tęczowymi wszędzie paradujesz, nagle ci się zachciało lewicowego elektoratu?
J.J.: – Bo, widzisz, u mnie masz wszystko w komplecie: aborcję, eutanazję i związki jednopłciowe. I to się pięknie łączy w polityczny program – z homozwiązków dzieci nie będzie, więc i aborcja przestanie być towarem pierwszej potrzeby. A jak już komuś znudzi się taki związek, będzie mógł się zrelaksować w eutanazji.
M.K.-B.: – Słucham?
J.J.: – Takiej z bąbelkami...
M.K.-B.: – To chyba jacuzzi?
J.J.: – A co ja powiedziałem?
M.K.-B.: – Że startujesz w prawyborach. A ja ci odpowiadam: odpuść sobie, żebyś nie musiał zębów z bieżni zbierać.
J.J.: – No, co ty, Małgonia. Mnie nie zastraszysz. U mnie w mieście faceci w takich lateksach paradują, że ja już się niczego nie boję.
M.K.-B.: – Biedroniowi i tak wyborców nie odbierzesz. Zresztą miejsce jest jedno i tak się składa, że mam rezerwację.
J.J.: – To się jeszcze okaże...
M.K.-B.: – Co się okaże?! Przecież ja z ciebie zrobię chińską marmoladę. We mnie partia zainwestowała takie pieniądze, że możesz sobie swoich paradziarzy wiesz, gdzie schować. A jak będziesz fikał, to ci Sławek Neumann resztę dośpiewa w cztery oczy.
J.J.: – Sławek to akurat mnie popiera. Nic dziwnego, skoro ty jesteś obciążona.
M.K.-B.: – Niby czym?
J.J.: – No, właśnie niczym. Nicnierobieniem przez osiem lat rządów. Uśmiechaniem się do kamer i milczeniem, gdy trzeba było mówić. Znam wasze wady.
M.K.-B.: – Jeśli już to nasze, bo przypominam ci, że to są prawybory w naszej, wspólnej Platformie. A ty dla nas – chadeków jesteś nie do strawienia.
J.J.: – Dla kogo?
M.K.-B.: – Chadeków, chrześcijańska demokracja...
J.J.: – Już ci odpowiadam: demokracja – tak, chrześcijańska – nie. Oczywiście, w przypadku II tury mogę się trochę uelastycznić. Nawet w ramach zbliżenia moich relacji ze Stolicą Apostolską chcę jutro opublikować list otwarty do Świętego Mikołaja. Pod koniec jest o tobie. „Drogi panie Mikołaj, nie piszę »święty«, ponieważ jestem za rozdziałem państwa od Kościoła, a piszę »drogi«, bo tylko po to, żeby pan mógł z worem latać, niejeden już musiał pójść z torbami. Jak zaznaczyłem, jestem osobą totalnie niewierzącą, i to nie tylko w pana, ale i w innych świętych, z wyłączeniem Ojca Świętego. Od razu wyjaśniam: nie chcę żadnych Lego czy roweru, a od rodziny przewiduję otrzymać piżamę męską w tęczową kratę oraz szaliczek jedwabny z napisem »Głowa państwa«. Proszę zatem dla siebie jedynie o spokojnych pięć lat prezydentury, a dla mojej kontrkandydatki, przesympatycznej pani Małgosi z garnituru trzeciego – o jakąś zabawną książkę, żeby dzielnie zniosła prawyborczą porażkę. Może być »Szczerze« Tuska, ale bez autografu, bo na pewno zemdleje”...
M.K.-B.: – Skończyłeś, kowboju? To ci przypomnę, że był już u nas taki jeden Radziu, który chciał w prawyborach kontrkandydata krytykować. I wiesz, co mu Bronisław poradził krótko i na temat? Żeby wy-lu-zo-wał. Więc lepiej ochłoń. Bo ja mogę ludziom przypomnieć, kto mówił, że nie chce być prezydentem RP, gdyż nie chce, za przeproszeniem, „swojego huśtać”...
J.J.: – Nie „swojego”, a „swoje ego”. „Mam swoje ego huśtać?” – tak powiedziałem. Poza tym to było dwa lata temu, a dziś jestem już gotowy.
M.K.-B.: – Raczej ugotowany. I to na miękko.
J.J.: – Trzymaj żarty na debatę.
M.K.-B.: – Żebyś się nie zdziwił.
J.J.: – Zdziwię się, jak przyjdziesz.
M.K.-B.: – Jeszcze będzie prosił, żebym wyszła. Ostatni raz mówię ci po dobroci: wycofaj się, póki możesz.
J.J.: – Halo? Niestety, nic nie słyszę, chyba tracę zasięg...
M.K.-B.: – Nie tylko zasięg zaraz stracisz, bohaterze. Znalazł się dżentelmen w złotych kalesonach, będzie się z kobietą szarpał. I to o co? O żyrandol?!

2/1119/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

TAURON

Gaz

w niskiej cenie
i z usługami serwisanta!

Serwisant gazowy 24H to:

- pomoc w usuwaniu awarii wewnętrznej instalacji gazowej
- pomoc w usuwaniu awarii urządzeń gazowych
- możliwość zgłaszania awarii 7 dni w tygodniu przez 24 h

Bo dodajemy usługi, żeby odjąć zmartwień.



tauron.pl/GazSerwis

eprasa.pl 4dac2b45fe

Hongkong

Sukces protestujących. Ale co dalej?

Protesty, które wybuchły w czerwcu w liczącym 7 mln mieszkańców Hongkongu, trwają. W minioną środę policja oczyściła kampus politechniki na półwyspie Koulun z demonstrantów, gdzie tydzień wcześniej doszło do brutalnych starć z siłami porządkowymi. Manifestanci rzucali w policję koktajlami Mołotowa, a ta odpowiadała im gazem łzawiącym, gumowymi kulami i armatkami wodnymi. Władze Hongkongu obawiają się, że uczelnia może się ponownie stać sceną protestów, dlatego policja otoczyła ją kordonem bezpieczeństwa.

Pierwotną przyczyną manifestacji był projekt nowelizacji prawa umożliwiający ekstradycję podejrzanych o przestępstwo osób do Chin kontynentalnych. Teraz demonstranci domagają się demokratycznych wyborów i niezależnego śledztwa w sprawie agresywnych działań policji. Protestujący uważają też, że Pekin stopniowo ogranicza autonomię ich regionu. Chińskie władze odpierają zarzuty i twierdzą, że przestrzegają zasady „jeden kraj, dwa systemy", która przyznaje Hongkongowi szeroki zakres autonomii co najmniej do 2047 r. Pekin oskarża „obce siły" o podsycanie protestów. Chodzi oczywiście o Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, które deklarują poparcie dla demonstrujących.

W miniony poniedziałek wiceminister spraw zagranicznych ChRL Zheng Zeguang wezwał ambasadora USA w Pekinie Terry'ego Branstada i przekazał mu protest przeciwko dwóm ustawom, które zaaprobował amerykański Kongres i które oczekują na podpis prezydenta Donalda Trumpa. Jedna z nich wiąże specjalny status, jaki w amerykańskim prawie ma Hongkong, z zakresem jego autonomii wobec Chin. Politycy odpowiedzialni za łamanie praw człowieka mogliby zostać na mocy tej ustawy obłożeni amerykańskimi sankcjami. Zheng Zeguang ocenił, że ustawy „bezwstydnie ingerują w wewnętrzne sprawy Chin" i „popierają działania antychińskich sił". Zażądał od Waszyngtonu, aby nie wprowadzał tych ustaw w życie. Sam Trump dolał jeszcze oliwy do ognia, deklarując, że to dzięki niemu chińskie wojska nie wkroczyły jeszcze do Hongkongu. „Poprosiłem o to prezydenta Xi Jinpinga. Inaczej Hongkong byłby zmiażdżony w 14 minut" – mówił Trump w wywiadzie dla Fox News. Jak dodał, Xi Jinping go posłuchał, bo wiedział, że „inaczej będzie to miało negatywny wpływ na porozumienie handlowe", które USA zamierzają zawrzeć z Państwem Środka. Jednocześnie Trump podkreślił, że „jest po stronie protestujących, po stronie wolności". Stanęli za nimi także mieszkańcy Hongkongu. Rezultatem była wygrana w ubiegłotygodniowych wyborach lokalnych, w wyniku których opozycja przejęła 17 z 18 rad okręgowych miasta. Frekwencja była wysoka, wyniosła aż 70 proc. Zdaniem ekspertów to znak, że mieszkańcy Hongkongu są za utrzymaniem demokratycznego kursu byłej brytyjskiej kolonii.

Pojawia się pytanie, co teraz zrobią liderzy protestów, bo szefowa administracji Hongkongu Carrie Lam nie zamierza spełnić ich postulatów. Nie pozwoliłyby jej zresztą na to władze w Pekinie. A szef chińskiej dyplomacji Wang Yi podkreślił, że cokolwiek by się działo, „Hongkong pozostaje częścią Chin, a próby podważenia jego stabilności nie mają szans powodzenia".

Aleksandra Rybińska

Powrót nordyckich bogów

Islandia

Już wkrótce na przedmieściach Reykjavíku może zostać otwarta pierwsza od wielu stuleci świątynia odwołująca się do kultów pogańskich, żywych jeszcze przed chrystianizacją Europy. Chodzi o świątynię nordyckiego boga burzy i piorunów Thora, znanego również z mitologii starogermańskiej i przedstawianego z młotem w dłoniach.

Inicjatorem przedsięwzięcia jest założone w 1972 r. i skupiające wyznawców kultu pogańskiego Bractwo Wiary, zwane też Asatru. Na początku liczyło ono ok. 100 członków, jednak dziś rozrosło się do 4 tys. osób. W 300-tysięcznej Islandii oznacza to więcej niż 1 proc. ludności. W myśl obowiązującego w tym kraju prawa wspólnota religijna, która posiada więcej niż 8 tys. wyznawców, może liczyć na wpływy z tzw. podatku kościelnego, a także na zgodę na budowę własnych świątyń. Bractwo Wiary już przygotowuje się do tego momentu. Rozstrzygnięty został nawet konkurs architektoniczny na projekt przyszłego ośrodka kultu.

Niegdyś zwolennicy powrotu do religii pogańskiej byli głównie sympatykami ugrupowań nacjonalistycznych lub fanami zespołów heavymetalowych. Dziś to się jednak zmienia – pojawiają się reprezentanci tzw. ekologii głębokiej, rzecznicy powrotu do natury, przedstawiciele New Age. Niektórych do zapisania się w szeregi Bractwa dopinguje to, że należy uzbierać odpowiednią liczbę członków, by wejść na wyższy poziom akceptacji przez państwo. Zgłaszają więc oni swój akces do pogaństwa głównie po to, by wspomóc rdzenne (w ich mniemaniu) wyznanie. Przyszła świątynia ma zostać poświęcona Thorowi, a jej drugorzędnymi patronami będą bogowie wojny: Odyn i Tyr.

Jeśli to nastąpi, Islandia stanie się pierwszym krajem, w którym dojdzie do odrodzenia pogańskich kultów nordyckich oraz ich oficjalnego uznania przez państwo. Nie byłoby to możliwe bez dechrystianizacji oraz zapaści chrześcijaństwa. Według statystyk 75 proc. Islandczyków deklaruje się jako luteranie, jednak tylko 31 proc. mieszkańców wyspy wierzy w istnienie Boga. W tej sytuacji powrót Thora nie wydaje się tak dziwny.

Grzegorz Górny



Fot. Matteo Provendola/Shutterstock.com

eprasa.pl 4dac2b45fe

Serbia

Znów afera szpiegowska

W Serbii niemal jednocześnie wybuchły dwa skandale. Jeden szpiegowski, związany z ujawnieniem przez anonimowe źródło nagrania, na którym zarejestrowano, jak attaché wojskowy rosyjskiej ambasady Gieorgij Kleban wręcza torbę z pieniędzmi emerytowanemu wysokiemu stopniem oficerowi serbskiej armii, oraz drugi, związany z eksportem na Ukrainę serbskich pocisków, które – jak informują miejscowe media – były używane w walkach w Donbasie. W związku z tym drugim skandalem silne w Serbii prorosyjskie formacje już oskarżyły prezydenta Vučicia, że ten dopuścił do eksportu amunicji, od której mogli ginąć przedstawiciele „bratniego narodu rosyjskiego". Obydwa wydarzenia odbyły się przed zaplanowaną na 4 grudnia wizytą serbskiego prezydenta w Moskwie, co dodatkowo komplikuje sytuację. Tym bardziej że Serbia uchodzi za jedno z najbardziej zaprzyjaźnionych z Federacją Rosyjską państw na Bałkanach. Putin spotkał się w tym roku z Vučiciem już trzy razy, a niedawno, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia ze strony Brukseli, Belgrad wstąpił do kontrolowanej przez Moskwę Unii Euroazjatyckiej.

Vučić musiał się całą sytuacją poczuć wyraźnie zaniepokojony, bo, jak informuje Radio Swoboda, przed konferencją prasową kilkakrotnie spotykał się z ministrem obrony oraz szefem kontrwywiadu. Powiedział też, po posiedzeniu specjalnie zwołanej w tym celu Rady Bezpieczeństwa, że serbskim służbom specjalnym udało się zarejestrować co najmniej kilka podobnych sytuacji – spotkań rosyjskiego oficera wywiadu z czynnymi oraz emerytowanymi oficerami serbskich sił zbrojnych, w trakcie których przekazywane były pieniądze. Serbski prezydent wspomniał też, że kontrwywiad jest w posiadaniu dowodów na kontakty Rosjanina (który notabene już opuścił Serbię) z przedstawicielami wywiadu Chorwacji.

Zaniepokojenie serbskiego prezydenta wynikało z tego, że od dłuższego czasu oskarżany jest on przez prorosyjską opozycję, lecz również przez niektórych członków rządu (takich jak minister obrony Aleksandar Vulin, który niedawno gościł w Belgradzie Aleksandra Dugina, ideologa rosyjskiego imperializmu) o to, że prowadzi wobec Moskwy podwójną grę. Z jednej strony werbalnie opowiada się za współpracą, z drugiej zaś realnie dąży do integracji Serbii ze strukturami Zachodu.

Dobrym przykładem jest tutaj współpraca wojskowa. Jak powiedział mediom Boško Jakšić, niezależny komentator, wcześniej redaktor naczelny belgradzkiego dziennika „Politika", w latach 2012–2019 serbskie siły zbrojne odbyły 15 wspólnych z Federacją Rosyjską manewrów (z kolei podobnych ćwiczeń z NATO było aż 112).

Ujawnione afery miałyby nadwątlić pozycję prezydenta Vučicia i pokazać serbskiej opinii publicznej, że nie cieszy się on pełnym zaufaniem Moskwy.

Marek Budzisz



Chybiony zarzut

USA

Nie tak dawno temu ulubienica skrajnej lewicy (nie tylko w USA) kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez dostała zaproszenie do odwiedzenia byłych niemieckich obozów zagłady. Stało się to po tym, jak porównała ośrodki dla imigrantów na granicy USA i Meksyku do hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Zaproszenie, które wystosowali pod jej adresem ocalały z Holokaustu Edward Mosberg i prezes fundacji From The Depths Jonny Daniels, zostało oczywiście odrzucone. Ale choć dziś kongresmenka nadal pomstuje na fatalne warunki, w których przetrzymywani są nielegalni imigranci, to przynajmniej nie używa już takich porównań.

O ośrodkach na granicy z Meksykiem mówią jednak nie tylko politycy przeciwni Donaldowi Trumpowi, ale i przedstawiciele organizacji międzynarodowych. Wysoka komisarz Narodów Zjednoczonych ds. praw człowieka Michelle Bachelet powiedziała w lipcu, że jest zszokowana warunkami, w jakich władze USA przetrzymują uchodźców, w tym dzieci. Chodziło o spanie na podłogach w przeludnionych pokojach i stan sanitarny nieprzystający do dzisiejszych standardów. Zła sytuacja w ośrodkach jest więc faktem, choć oczywiście absurdem jest porównywanie jej do obozów koncentracyjnych. Przy czym warto dodać, że studzeniu emocji nie sprzyja sposób, w jaki media relacjonują kryzys imigracyjny.

Kilkanaście dni temu Reuters podał, że Ameryka ma najwyższy na świecie odsetek dzieci przetrzymywanych w zamkniętych ośrodkach. Tekst agencji rozszedł się błyskawicznie. Podał go na swoim Twitterze (8 mln śledzących) m.in. walczący o prezydencką nominację demokratów Bernie Sanders. Skrajnie lewicowy senator z Vermont napisał, że to niemoralne, iż pod rządami Trumpa Ameryka przewodzi światu w liczbie zamkniętych dzieci. Problem w tym, że dane podane przez Reutersa (i powtórzone przez media na całym świecie) pochodziły z 2015 r., a więc z czasów prezydentury Baracka Obamy.

Reuters sprostował potem swoją depeszę w lakonicznej notce. Komentator „New York Post" Kile Smith zauważył, że zaraz po sprostowaniu informacja o Ameryce jako kraju z największą liczbą przetrzymywanych w zamknięciu dzieci zniknęła z przestrzeni publicznej. Dlaczego? Bo, jak pisze publicysta, czarnym charakterem rodem z komiksów (użył specjalnego słowa „vilain") okazał się nie Trump, lecz Obama. Co więc zrobiły media? Wyciszyły podniesioną wcześniej wrzawę.

Skasowano historię, która była prawdziwa, ale nie pasowała politycznie międzynarodowej lewicy. Fałszywe informacje nie zawsze polegają na podawaniu nieprawdy, czasem opierają się na manipulacji lub braku rzetelności. Sprawa Reutersa pokazuje to doskonale.

Łukasz Adamski

Fot. Erin Alexis Randolph/Shutterstock.com

eprasa.pl 4dac2b45fe

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Test niepodległości



Jan Pietrzak

Dobrze się stało, że sprawą, którą wielokrotnie poruszałem na tych łamach, zajęły się władze państwowe. A jest to wielkie zadanie budowy Łuku Triumfalnego Bitwy Warszawskiej. Ten pomnik jest testem naszej niepodległości. Jeżeli my, naród, nie potrafimy postawić pomnika zwycięstwa, to wzniosłe przemówienia z okazji 100. rocznicy są mało warte. Liczą się czyny, nie gadulstwo, dokładnie tak jak w 1920 r.

Po paru latach przekonywania władz Warszawy do tego projektu zwątpiłem w ich dobrą wolę. Prowadzili grę pozorów, organizowali narady, ale nigdy nie godzili się na żadną konkluzję. Mówiąc językiem ulicy, grali ze mną w bambuko. Odpuściłem, kiedy zaproponowano, by zamiast monumentu zrobić coś bardziej użytecznego, czyli kładkę rowerową nad Wisłą. Niestety, tak zostali potraktowani bohaterowie wywalczonej przez nich niepodległości.

Niezbyt długo trwała II Rzeczpospolita. Jedynie 20 lat dali nam swobodnie odetchnąć opętani nienawiścią agresorzy. Dzięki tym dwóm dekadom wyrosło pokolenie znające cenę wolności. I kiedy w 1939 r. nastąpił czwarty rozbiór Polski, miał kto walczyć na wszystkich frontach, miał kto przelewać krew, by „jeszcze nie zginęła, kiedy my żyjemy". Przeżyło nas 24 mln, a przed wojną było 36 mln. Jedna trzecia narodu przepadła. Tych, co przeżyli, czekało 45 lat szkoły przetrwania w Peerelu.

Jeździłem po 1990 r. z generałową Andersową na koncerty. Kiedy spotykały nas jakieś kłopoty, co na trasach się zdarza, nie mogła się nadziwić, że zachowuję pogodny nastrój. Wyjaśniałem – komunistyczna szkoła przetrwania, pani generałowo. Ale to dygresja.

Po morderczej wojnie z faszyzmem Polacy pół wieku pracowali dla sowieckich okupantów. Na ich bomby atomowe, na imperialne szaleństwa. Pod oszukańczym szyldem realnego socjalizmu trwał kolonialny wyzysk Polski. Dopiero święty papież „z rodu Polaków" wezwał Ducha Świętego, by odnowił oblicze tej ziemi. I słowo ciałem się stało. Duch przyjął imię Solidarność i doprowadził do kolejnego odzyskania niepodległości.

Według naszych wrogów ta historia nie wymaga pomników. A jeżeli już, pomniczki mają być niewielkie, poupychane w krzakach i między drzewami. Chwała Bogu, obecny rząd wie, jakie znaczenie ma prawda historyczna i jej symbole.

Czuję się jak „Superhero"

Z Wiktorią „Viki" Gabor, zwyciężczynią tegorocznej Eurowizji Junior, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy tytuł utworu może zwiększyć szansę na zwycięstwo? Myślisz, że jesteś jak bohater twojej piosenki?

Wiktoria Gabor: Czuję się trochę jak „Superhero" [uśmiech]...

W końcu to dzięki tobie pierwszy raz w historii Eurowizji Junior ten sam kraj zwyciężył dwa razy z rzędu.

To prawda, ale dla mnie prawdziwymi bohaterami są moi fani i wszyscy, którzy mnie wspierają.

Wśród najbliższych, w rodzinie, wśród przyjaciół... ktoś jest dla ciebie superbohaterem?

Nie potrafię wybrać. Wszyscy moi bliscy są dla mnie bardzo ważni i nie umiem wskazać jednej osoby.

Masz 12 lat, w lutym tego roku znalazłaś się w finale drugiej edycji „The Voice Kids", teraz zwyciężyłaś w 17. Konkursie Piosenki Eurowizji dla Dzieci. Co dalej?

Teraz skupiam się na pracy, chcę tworzyć nową muzykę, a co będzie później, los pokaże.

Co zrobiłaś tylko dla siebie, jaką przyjemność sobie sprawiłaś, kiedy pogasły światła na Arenie Gliwice? Kiedy byłaś już Wiktorią, a nie sceniczną Viki? Zadzwoniłaś do przyjaciółki? Poszłaś na pizzę, a może na spacer z ukochanym psem?

Po wygranej spędziłam bardzo przyjemny wieczór z rodziną i przyjaciółmi, którzy tego dnia odwiedzili mnie w Gliwicach.



eprasa.pl 4dac2b45fe

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk, czyli liberalna demokracja



Fot. Andrzej Wiktor

Odstąpienie Donalda Tuska od startu w wyborach prezydenckich w kraju i przyjęcie prezesostwa EPP, Europejskiej Partii Ludowej, świadczą, że definitywnie wycofał się on z polityki polskiej. Pisałem i mówiłem o tym, kiedy pięć lat temu zrezygnował ze stanowiska premiera, czyli najważniejszej funkcji w państwie, na rzecz głównie reprezentacyjno-organizacyjnej roli przewodniczącego Rady Europejskiej. Kandydatką na to miejsce była również premier Danii. Zapytana, odpowiedziała, że może propozycję rozważyć, naturalnie, po zakończeniu swojej misji w kraju. Tusk się nie zastanawiał. Rzucił główne stanowisko w Polsce na rzecz prestiżowej i dochodowej synekury w Europie, która jednak nie wiąże się z poważnym wpływem na politykę. Dowiodły tego zresztą obie pełnione przez niego kadencje.

Zejście kapitana z pokładu w trakcie rejsu, aby w innym porcie zająć się odmiennym, intratnym zajęciem, jest kompromitacją i powinno powodować co najmniej skreślenie go z listy osób godnych pełnienia odpowiedzialnych zadań – w tym wypadku politycznych. W kraju nie wywołało to jednak właściwego oddźwięku. Stało się tak, gdyż gigantyczna osłona medialno-wizerunkowa zorganizowana szefowi PO przez siły III RP, do ekstremum grające na ciągle żywych kompleksach polskich, spowodowała, że w miarę powszechnie przyjęta została interpretacja, zgodnie z którą jego wybór stanowi wielki honor dla kraju, a jego funkcja ma nas wszystkich dowartościować. Sądzę jednak, że głębsze poczucie konfuzji w rodakach pozostało i uwolniłoby się w jakimś stopniu w trakcie prezydenckich wyborów, czego inteligentny polityk mógł się spodziewać.

Stosunek Tuska do rodaków i kraju zademonstrowała także ostatnia rejterada z prezydenckiego starcia na rzecz kolejnej zyskownej i prestiżowej funkcji, która nie przekłada się na realne znaczenie polityczne. W rzeczywistości EPP, która wprawdzie nazywa się partią, stanowi wyłącznie ośrodek porozumienia europejskich, formalnie centrowo-prawicowych ugrupowań politycznych. Głównie ma koordynować ich kampanię do Parlamentu Europejskiego. Gdyż, wbrew temu co usiłują propagować ośrodki III RP, polityka w Europie dzieje się na szczeblu państw, a na poziomie europejskim wyłącznie się ją uzgadnia.

Nie znaczy to, że europejskie ośrodki nie mają na nią wpływu. Przede wszystkim wykorzystują ogromny aparat unijny do narzucenia słabszym woli silniejszych. Dodatkowo wzmacniają establishment europejski, który funkcjonuje już zupełnie poza demokratycznymi regułami. Dobrą tego ilustracją jest ogromna rola, jaką odgrywają w jego funkcjonowaniu politycy, którzy przegrali lub wycofali się (co zwykle oznacza to samo) z konkurencji politycznej w swoich krajach. Postacie takie jak były prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing, specyficzna postać polityki włoskiej Romano Prodi czy dołączający do nich obecnie Donald Tusk.

Zajmowane przez nich urzędy nie są decydujące, ale oni sami mają spore możliwości nieformalnego wpływu na kreowanie rozmaitych europejskich działań. Ten stan rzeczy wskazuje kierunek, w jakim zmierza ustrój nazywany dziś demokracją liberalną.

Z założenia miał to być system, w którym potencjalne ekscesy większości ograniczane byłyby przez przyjmowane w naszej kulturze normy i wartości, zwykle wpisane w konstytucję. Obecnie przekształcił się w rodzaj oligarchii, w której najbardziej wpływowe gremia usiłują maksymalnie ograniczyć demokrację i zredukować ją do wyborczych procedur, aby już poza jakąkolwiek kontrolą ogółu decydować o najważniejszych sprawach. To, że coraz więcej przegranych postaci nie można definitywnie usunąć z europejskiej polityki, zwanej demokratyczną, demonstruje, jak bardzo umowne stały się jej mechanizmy. W tym kontekście uznanie, że Tusk zniknął z polskiej sceny, jest tylko do pewnego stopnia prawdziwe. Oświadczył on zresztą, że nie ma zamiaru tego robić, oczywiście w imię wyższych racji. Wszystko wskazuje, że racje owe każą mu intrygować przeciw obecnej władzy bez szczególnego zainteresowania losami kraju. Z zachowania opozycji III RP wynika zresztą, że jego dobro utożsamia ona ze swoją władzą. Jeśli jej nie sprawuje, bez żadnych oporów podejmie się wszystkiego w celu jej odzyskania. Możemy więc być pewni, że staniemy się świadkami publicznych wystąpień Tuska w obronie norm i zasad, które tak się składa, że działają wyłącznie na korzyść jego środowiska. Spotkają się one z wielkim aplauzem tych, którzy oburzają się, że dominującą rolę w Polsce odgrywa inteligent z Żoliborza, i domagają się jej dla urzędnika z Brukseli.

eprasa.pl 4dac2b45fe

OGNIEM NA WPROST

Zooreligia i nawiedzony dom



Kandydat TVN na kandydata na urząd prezydenta RP Szymon Hołownia właśnie się objawił jako znawca, a także interpretator Ewangelii. Ponieważ wygląda na to, że celebryta jest zwolennikiem tzw. Kościoła otwartego, zwanego również „katolicyzmem łagiewnickim", uzurpuje sobie prawo do wykładni słów samego Chrystusa, na ogół połączonej ze zmianą ich sensu. Jego zdaniem Chrystus, umierając na krzyżu, wziął na siebie „ból, krzyk, krew tysięcy zwierząt ofiarnych, które byłyby zabijane, jeżeli On nie złożyłby swojej ofiary". Powiedział także, że Jezus stał się nie tylko człowiekiem, lecz i zwierzęciem. Stwierdzeniem tym Hołownia tworzy jakąś ekoreligijną sektę czy – jak to dosadniej ujął ks. prof. Paweł Bortkiewicz – zooreligię, tłumacząc, że „Jezus stał się Barankiem nie dla ratowania stad baranów, ale dla zbawienia człowieka". Herezje kandydata na prezydenta in spe są o tyle dziwne, że celebryta, zanim stał się tefauenowskim pieszczoszkiem, uczęszczał do seminarium duchownego. Co prawda bodajże po dwóch latach zaniechał kroczenia tą drogą, jednak miał okazję choć trochę się otrzeć o prawdę objawioną. Czekamy teraz na występ w świetle kamer razem z Wojciechem Lemańskim, którego progresywnym lejtmotywem będzie z pewnością pozytywny stosunek Zbawiciela do osób LGBT.

W ramach tzw. ustawy dezubekizacyjnej obcięto do 2 tys. zł emerytury byłym pracownikom aparatu represji PRL. Dotknęło to ok. 37 tys. resortowych. Największe apanaże funkcjonariuszy na stare lata sięgały aż 18 tys. zł miesięcznie. Ale nie wszyscy mogli się pogodzić z tym finansowym ciosem zadanym przez surowy reżim Prawa i Sprawiedliwości. Wiesław R. pracował od 1977 r. w SB w wydziale ds. gospodarczych, a później w wydziale paszportów. Natomiast jego małżonka Józefa R. była sekretarką w wydziale polityczno-wychowawczym WUSW we Włocławku, a od 1990 r. pracowała w wydziale dochodzeniowo-śledczym komendy miejskiej. „Dostałam zawału mózgu, przestaliśmy płacić czynsz, ponieważ brakowało nam pieniędzy na opłaty, lekarstwa, jedzenie. Męża emerytura wynosiła niecałe 1,5 tys. zł netto, bo nasze świadczenia zajął komornik. Mieliśmy także inne kredyty, które spłacaliśmy do 5 października 2017 r." – pożaliła się towarzyszka Józefa gazecie „Rzeczpospolita". „Nie widzieliśmy ratunku. Po długich rozmowach podjęliśmy wspólną decyzję o popełnieniu samobójstwa. Mężowi się udało, mnie niestety nie". Nie wiem, czy cieszyć się z tego, że żonie udało się przeżyć, czy płakać z powodu targnięcia się na życie Wiesława R. zakończonego tragicznie. Dylemat iście szekspirowski. Romeo i Julia w resortowej odsłonie.

Wiceprezydent stolicy Paweł Rabiej skomentował decyzję Rady Warszawy o budowie Łuku Triumfalnego z okazji 100-lecia pogromu bolszewików przez odrodzone Wojsko Polskie. Co prawda nie będzie on osadzony w Wiśle, tylko na placu Na Rozdrożu, ale może być. Rabiej: „Pomysł łuku triumfalnego, zbudowanego jeszcze na środku Wisły, niestety kojarzy mi się, a dużo jeżdżę po świecie, z republikami postsowieckimi, a nie z nowoczesnym krajem". Coś jednak Rabiej gubi się w zeznaniach. Poza stolicą Francji, gdzie znajdują się aż trzy łuki (w tym La Grande Arche de La Défense zbudowany w 1989 r.) stoją one również w Londynie, Brukseli, Lizbonie czy Mediolanie. Ale wiceprezydentowi stolicy (LGBT) marzy się zapewne inna na wskroś nowoczesna konstrukcja – Łuk Erosa z przejeżdżającym pod nim „tramwajem równości".

Jak informuje lubuska policja, w jednym z podsulechowskich osiedli doszło do zdarzenia z udziałem lokalnej ludności oraz przedstawicielki jednej z mniejszości etnicznych osiadłych od wieków w naszym kraju. Według relacji funkcjonariuszy, trzymających się twardych zasad politycznej poprawności, „starszej kobiecie z czarnymi włosami i śniadą cerą" udało się wmówić mieszkańcom, że ich dom jest siedliskiem „złej energii" i należy odprawić rytuał. Kazała przynieść ręcznik i jajko, które rozbiła w ręczniku, cały czas powtarzając jakieś „zaklęcia". Potem kazała przynieść kurę, każąc właścicielce domu na nią dmuchać. Kiedy kura zdechła – prawdopodobnie uduszona przez „kobietę o śniadej cerze", co miało być dowodem na istnienie „złej energii" – zażądała ona, by dla powodzenia rytuału przynieść w reklamówce wszystkie pieniądze znajdujące się w „nawiedzonym" domu. Właścicielka spełniła jej żądanie. Wtedy szamanka nakazała kobiecie odwrócić się i modlić przez bite osiem godzin. Po czym spokojnie wyszła. Kiedy po skończonych medytacjach właścicielka zajrzała do plastikowej torby, okazało się, że brakuje w niej 13 tys. zł. Pytanie: do jakiej grupy etnicznej należała oszustka?

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4dac2b45fe

Pieskie życie w stolicy



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich dniach listopada prezydent Warszawy przedstawił projekt budżetu stolicy na rok 2020, wedle którego znane w całej Polsce schronisko dla bezdomnych zwierząt Na Paluchu miałoby zostać pozbawione blisko 1,5 mln zł dotacji. Placówka jest głównym podmiotem realizującym „Warszawski program przeciwdziałania bezdomności zwierząt". Zamieszkuje w niej obecnie ok. 700 psów i 80 kotów. Kilka miesięcy przed ogłoszeniem założeń odnoszących się do zmniejszenia zakresu finansowania schroniska jego przedstawiciele zwracali uwagę na trudną sytuację zarządzanego przez nich ośrodka.

Decyzja władz Warszawy o minimalizacji kwoty przeznaczonej na pomoc zwierzętom budzi kontrowersje w wielu środowiskach i należy mieć nadzieję, że ostatecznie nie zostanie zrealizowana. Po bezprecedensowej awarii oczyszczalni ścieków Czajka i skandalu z ekologicznym eksperymentem z umierającymi kozami na wiślanej wyspie byłaby to kolejna kłopotliwa rysa na wizerunku obecnych władz Warszawy, kreujących się na obrońców przyrody.

Program przeciwdziałania bezdomności zwierząt w stolicy ma długą historię. Za prezydentury Lecha Kaczyńskiego w jego ramach zrealizowano modernizację schroniska Na Paluchu, podjęto działania popularyzujące adopcję zwierząt, przeprowadzono akcję „Serce za serce", a także wprowadzono elektroniczny system identyfikacji zwierząt oraz fotograficzną bazę „rezydentów" placówki umożliwiającą właścicielom szybkie rozpoznanie swoich zagubionych pupili. Prezydent stworzył w magistracie stanowisko pełnomocnika ds. zwierząt. Na rozbudowę Palucha miasto przeznaczyło 15 mln zł.

W rezultacie powstała jedna z najbardziej nowoczesnych placówek tego typu w Europie i wiodący ośrodek dla czworonogów w Polsce (boksy z ogrzewaną podłogą i indywidualnymi wybiegami), który już w 2005 r. według założeń mógł pomieścić 450 psów i 160 kotów. Pod koniec 2005 r. w schronisku znalazło schronienie ponad 1 tys. psów. Zwierzęta ze wspomnianego schroniska zakwalifikowane do adopcji są odrobaczone, odkleszczone, zaszczepione, wysterylizowane i włączone do systemu identyfikacji zwierząt. Schronisko współpracuje ze szkołami oraz innymi instytucjami oświatowymi. W okresie świątecznym w centrach handlowych prezentowane były fotografie podopiecznych oraz materiały edukacyjne opisujące problem bezdomności zwierząt.

Na stołeczny program zapobiegania bezdomności zwierząt „Serce za serce" w 2005 r. przeznaczono 2,5 mln zł. Dzięki niemu zapewnione zostały dotacje na rzecz organizacji pozarządowych działających w zakresie ochrony zwierząt, usługi weterynaryjne, działania edukacyjne, a w szczególności zadania realizowane we współpracy z grupą ponad 1 tys. wolontariuszy. Program umożliwił także powołanie czterech dwuosobowych patroli Straży Miejskiej. Funkcjonariusze zostali wyposażeni w profesjonalny sprzęt, a także ukończyli specjalistyczne kursy. Ich zadaniem miało być reagowanie na wszelkie informacje o zdarzeniach z udziałem zwierząt, przeciwdziałanie zagrożeniom powodowanym przez zwierzęta oraz udzielanie im pomocy. Wyznaczono także kilkanaście lecznic weterynaryjnych, których zadaniem miało być opatrywanie i operowanie zwierząt rannych w wypadkach drogowych.

Warto wspomnieć, że w drugim roku prezydentury Lecha Kaczyńskiego w Warszawie pojawiła się inicjatywa wsparcia osób zajmujących się dokarmianiem bezdomnych kotów. Na zakup karmy dla zwierząt przekazano wówczas 170 tys. zł. Z myślą o kotach prezydent zainicjował również jesienno-zimową akcję otwierania okien w piwnicach. W 2009 r. Lech Kaczyński powołał w kancelarii prezydenta pełnomocnika ds. ochrony zwierząt. Stanowisko to zostało zlikwidowane w 2010 r. przez następcę tragicznie zmarłego prezydenta.



Koledze i przyjacielowi,

BARTŁOMIEJOWI WNĘKOWI

Dyrektorowi kluczowych jednostek organizacyjnych Telewizji Polskiej,

Wyrazy najgłębszego współczucia i żalu z powodu odejścia ukochanej żony

Ś.P.

ANNY

Składają, pogrążeni w smutku

Zarząd i Pracownicy TVP S.A.

42/1119/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Bezpiecznie jak w Polsce



„Według najnowszych danych Eurostatu Polska jest jednym z najbezpieczniejszych państw do życia dla kobiet w Europie. W naszym kraju występuje dużo mniejszy odsetek gwałtów niż w Europie Zachodniej" – informuje polskieradio24.pl. Z danych Eurostatu wynika m.in., że Polki są 49 razy bezpieczniejsze niż kobiety w Wielkiej Brytanii i 37 razy bezpieczniejsze niż mieszkanki Szwecji. W Wielkiej Brytanii na 100 tys. mieszkańców przypada 92,08 gwałtu, w Szwecji – 69,72, w Islandii 62,95, w Norwegii 43,89, w Niemczech 10,07, we Francji – 25,17. W Polsce – 1,89. Wypada tylko westchnąć z ulgą, że polski rząd nie zgodził się na kulturowe ubogacanie, którego tak bardzo chcieli lewica i liberałowie.

5 proc.

– tyle wyniosło bezrobocie w Polsce w październiku wg danych GUS. We wrześniu było to 5,1 proc.

840,5 tys.

– tyle osób bezrobotnych jest zarejestrowanych w urzędach pracy.

100 tys.

– o tylu mniej zarejestrowanych bezrobotnych jest w Polsce w stosunku do października 2018 r.



Fuj

Ze stołówki uniwersytetu w Cambridge zniknęła kopia XVII-wiecznego obrazu. Domagali się tego wegańscy studenci. Chodzi o obraz flamandzkiego malarza Fransa Snydersa „Targ ptactwa". Na płótnie widać m.in. zabitą oraz oprawianą dziczyznę i dzikie ptaki, a to miało się nie podobać i psuć apetyt niejedzącym mięsa. Dlatego obraz został usunięty z jadalni w Hughes Hall, najstarszej z podyplomowych uczelni University of Cambridge. O sprawie informował „The Daily Telegraph". Okazuje się, że w grudniu ub.r. obraz został oddany do muzeum, gdzie przeszedł wiele zabiegów konserwatorskich. „Niektórzy goście nie mogli jeść z powodu obrazu na ścianie – przyznała rzeczniczka muzeum. „Ludzie, którzy nie jedzą mięsa, uznali obraz za odpychający i poprosili, aby go zdjęto". A przecież wystarczyłoby, żeby weganie siadali tyłem do obrazu.

Na słodko

Za to obrzydzenia do słodyczy nie czuł pewien złodziej, który ukradł 20 ton czekolady Milka z fabryki koncernu Mondelez. Do kradzieży doszło w austriackim Bludenz. Złodziej ukradł słodycze warte ponad 50 tys. euro. Całą sytuację opisuje m.in. portal wiadomoscihandlowe.pl: „Złodziej przyjechał do fabryki, podając się za kuriera, który został zatrudniony przez firmę z Czech, pośredniczącą w transporcie czekolady do Belgii. Budynek opuścił z kilkudziesięciotonowym ładunkiem słodkości i ślad po nim zaginął. Okazało się, że mężczyzna był oszustem, miał przy sobie fałszywe dokumenty, a samochód miał zainstalowane fałszywe tablice rejestracyjne. Austriaccy policjanci dotąd nie odnaleźli złodzieja ani ładunku". Może św. Mikołajowi skończyły się prezenty i elfy postanowiły pomóc?



eprasa.pl 4dac2b45fe





Mordercza dieta

Zarzuty nieumyślnego zabójstwa i zaniedbania dziecka usłyszeli rodzice 18-miesięcznego chłopca, który we wrześniu zmarł z powodu niedożywienia. Dziecko w dniu śmierci ważyło zaledwie 7 kg. Rodzice chłopca zostali aresztowani przez policję na Florydzie. Przekazali funkcjonariuszom, że stosowali wegańską dietę. „Sheila i Ryan O'Leary uzupełniali dietę syna mlekiem matki, a cała rodzina żywiła się owocami, warzywami i surowymi produktami. Dziecko przyszło na świat w domu, po czym nie było już kontrolowane przez żadnego z lekarzy" – czytamy na portalu tvp.info. Przyczyną śmierci dziecka było niedożywienie i odwodnienie – wykazali biegli przeprowadzający autopsję. Niedożywiona była także pozostała dwójka dzieci tej pary. Dieta czy nie, niektórzy po prostu nigdy nie powinni być rodzicami.

Zgodnie z deklaracją złożoną w lipcu tego roku powróciłem do biznesu. Poniższa strona przedstawia zakres usług, który oferujemy polskim przedsiębiorcom, jak również osobom indywidualnym" – ogłosił Ryszard Petru na Twitterze. Niestety okazało się, że pod wskazanym adresem pojawia się komunikat: „Przepraszamy, strona jest w budowie". Krótko mówiąc: u Ryszarda bez zmian.



Coraz bliżej święta

Ale skoro o św. Mikołaju mowa, to sieć sklepów Netto Polska prowadzi świąteczną kampanię reklamową pod hasłem „Święta są bezcenne. Spędź je z nami". Akcję przygotowała duńska agencja Ocean, a sprawę opisuje portal wirtualnemedia.pl. W związku z akcją na niektórych nośnikach zewnętrznych można było zobaczyć hasła „Święty Mikołaj nie istnieje. Ale nie martw się, nasze ceny są bardzo prawdziwe". Druga część kampanii może uspokoić tych, którzy chcieliby oprotestować ogłoszony brak św. Mikołaja, ponieważ pojawiają się w niej hasła typu: „Święty Mikołaj nie istnieje... bez prezentów. Dlatego wie, gdzie je znaleźć w niskich cenach". Uff. Jedno jest pewne: „Coraz bliżej święta, coraz bliżej święta..."

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), Fitzwilliam Museum

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

J-23. Czerwona gwiazda



Dominik Zdort

Ktoś wymalował na masce jego samochodu czerwonym sprejem gwiazdę. Na klatce schodowej napisali mu „Miś Kolabor". Był moim sąsiadem przez wiele lat. Uwielbiałem serial, w którym zagrał. Ale wtedy, w czasie stanu wojennego, nie było mi go żal.

Pięć lat temu zmarł Stanisław Mikulski. Od wielu lat mieszkam w budynku, w którym mieszkał i on. Chyba na piątym piętrze. Jeździłem razem z nim dziesiątki razy windą. Nie mówiłem „dzień dobry". Najpierw dlatego, że byłem nieśmiałym dzieciakiem, a widok kultowego aktora onieśmielał mnie jeszcze bardziej. A potem zrozumiałem, że był złym człowiekiem i mogłem się do niego nie odzywać z oczywistych powodów.

„Stawkę większą niż życie" ogląda się do dziś świetnie. Szczególnie kiedy porównać ten serial z „Czterema pancernymi". Co jest niezrozumiałe, bo film „Czetyrie tankista i sobaka" wylansował wielkie gwiazdy polskiego aktorstwa z Januszem Gajosem na czele (który potem przez lata pozbywał się piętna Janka Kosa).

Mikulski – przynajmniej wedle znawców tematu – w „Stawce" był drewniany, sztywny. No ale może dzięki temu tak dobrze na nim leżał mundur Abwehry. Podobno w przystojnym hitlerowcu kochały się zastępy Polek, których ojców Niemcy zabili ćwierć wieku wcześniej. Rola agenta ZSRR wspomaganego przez komunistyczną Armię Ludową (co w filmie było pokazane w sumie dość dyskretnie) dała aktorowi popularność w całym bloku sowieckim. Był z tego jakiś pożytek, bo przynajmniej część świata się dowiedziała o tym, że Polacy nie tylko zbudowali Auschwitz, lecz również walczyli z Niemcami.

Aktor z roli i popularności korzystał, jak się dało. Jego samochód, łada (ta później wymalowana sprejem), był marzeniem zwyczajnych mieszkańców PRL. Moi rodzice wiedzieli, że nigdy talonu na takie auto nie dostaną.

Ale w latach 1980–1981 coś się zmieniło. Nawet takie dawne sługusy komuny jak Tadeusz Łomnicki – wielki aktor i parszywy członek KC PZPR – zrywały związki z komunizmem, rzucały partyjne legitymacje. Mikulski pozostał wierny totalitarnemu systemowi. Przyjmował kolejne godności, czniał to, że publiczność wyklaskiwała go w teatrze. Nie zapomnę, jak mi było wstyd (jako sąsiadowi), kiedy w końcówce lat 80. bezwstydnie w telewizji kadził czerwonym.

Pięć lat temu zmarł Stanisław Mikulski. Sługus Sowietów, komunistyczny aparatczyk. Niech mu ziemia lekką będzie. W podziękowaniu za Hansa Klossa. J-23 znowu nadaje.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4dac2b45fe

RZECZY POSPOLITE

Sardynki po bolońsku



Tomasz Łysiak

W trakcie bolońskich protestów młodzieży przeciwko Matteo Salviniemu powstał swego rodzaju ruch społeczny tzw. sardynek. Oto młodzi ludzie zaczęli się pojawiać w miejscach publicznych, nazywając sami siebie „sardynkami", co ma symbolizować wykorzystywanie zwykłych ludzi przez konserwatywne „rekiny" polityki i „potwory prawicy", jednym z nich jest w ich oczach szef Ligi. Ruch natychmiast zyskał popularność przede wszystkim dzięki swojej zabawnej nazwie. Jego twórcami jest troje 30-latków: Roberto Morotti, Giulia Trappoloni i Andrea Garreffa, a jednym z kreatorów ruchu – Mattia Santoni, absolwent studiów politologicznych, związany z magazynem prasowym będącym własnością Romana Prodiego. To on wyjaśniał w wywiadach, jak doszło do powstania inicjatywy. Chodziło o to, by – przed mającymi się odbyć na koniec stycznia wyborami lokalnymi w regionie Emilia-Romania – zaprotestować przeciwko Salviniemu, gdy ten przyjedzie do Bolonii, a potem Modeny. Ludzie gromadzący się na placu mieli stanąć tak blisko siebie, by być ściśnięci jak sardynki w puszce. „Żadnych obraźliwych słów, żadnego symbolu, żadnej partii" – klarował Santoni. Jednak poza pewną spektakularnością sukcesu trzeba też dodać jeszcze jedno określenie: „żadnej myśli". Owszem, „żadnej partii" czy „żadnego symbolu", w trakcie wymierzonych w kampanię wyborczą Salviniego protestów nie ma, ale też właśnie nie ma w tym „żadnej idei". Jednym słowem, to pusty sprzeciw dla sprzeciwu, w którym jedynym nośnikiem jest nienawiść wobec Salviniego. Notabene to właśnie podchwytują krytycy „sardynek" od prawa do lewa. Główni gracze MoVimento Cinque Stelle wytykają pustkę właśnie i bezideowość sardynkowej rebelii (przez zazdrość, nie da się ukryć, bo ktoś zabiera im antysystemowy „chleb"). A konserwatywni dziennikarze, jak Alessandro Sallusti, twierdzą, że na szczęście głupawe „sardynki" to nie cała włoska młodzież.

Co robi Salvini i jego sympatycy? Reaguje także z humorem, publikując w mediach społecznościowych coraz to nowe zdjęcia kotów z rybkami w pyskach. Lub sardynki na talerzu. Być może zresztą, gdy dojdzie w końcu do wyborów, łyknie on głupkowatą lewicę jak rybną przekąskę. Smacznego.

Moja mowa nienawiści



Piotr Cywiński

Kocham ludzi. Ale nie wszystkich. Czy to znaczy, że – jeśli powiem, kogo nie kocham, nie lubię, nie szanuję, ba, nie chcę widzieć – to będzie tyrada nienawiści?

Więc: nie kocham, nie lubię, nie szanuję, ba, nie chcę więcej widzieć Tuska. Za cyniczne rozniecenie wojny polsko-polskiej i skłócenie Polaków, na czym zrobił karierę polityczną. Czyż nie są prawdą afery i skandale za jego rządów, okłamanie obywateli, ileż to ma w kraju do zrobienia i ucieczka onego „kapitana" z tonącego, platformianego, partyjno-rządowego okrętu? Było to może wyróżnienie dla Polski? Za co? Za twór, który po nim został, „państwo teoretyczne" i „chdikk"...? – czy to mój wymysł, czy definicja jego ministra? Czy zatem, jeśli powiem: nie lubię tego zakłamanego, obłudnego człowieka i nie chcę go widzieć na świeczniku polityki, to uprawiam mowę nienawiści?

Nie chcę też widzieć Schetyny oraz wszystkich tych Tusko- i Schetynopodobnych. Za wredne hasło „ulica i zagranica", za „zlikwidujemy IPN, zlikwidujemy też CBA", ze „szarańczę", jak aspirant na premiera w gruncie rzeczy określił większość polskich wyborców, którzy nie chcieli już i nie chcą PO u steru władzy. Nie powiem: nienawidzę Platformy, choć jest już tylko z nazwy Obywatelska, bo i w jej szeregach znam ludzi, którzy mają podobne zdanie, widać jednak są zbyt słabi wobec tej kamaryli.

Nie lubię ani nie szanuję wszystkich tych, którzy przez blisko półwiecze namiestnikowali w naszym kraju z nadania Moskwy, i ich politycznych spadkobierców, których nie stać było na choćby uderzenie się w piersi i zrównanie z ziemią stalinowskiego „Pekinu", do krwi ostatniej cynicznego, szyderczego prezentu, ciernia w oku polskiej historii i panoramy Warszawy, z grobów mnóstwem kwiatu powstańców w tle... Czy jeśli powiem, że brzydzę się bezkarnymi postkomunistami, to uprawiam mowę nienawiści?

Nienawidzę nienawidzić. A jednak czuję odrazę na widok Biedronia, nie dlatego, że jest gejem, póki – jak mawiał Adenauer – taki nie łapie mnie za kolano, jest mi „scheissegal". Czuję odrazę, jaką czułbym do każdego bydlaka, który pobił własną matkę, czy to nieprawda? Czuję obrzydzenie, bo ów osobnik na swym gejostwie robi karierę polityczną. Najpierw w kraju, dziś już w europarlamencie, gdzie jęczy: „Są w Polsce sklepy, restauracje, hotele, do których nie mogę wejść". Czy jeśli na furtce do mojego domu nakleiłbym informację: „Strefa wolna od Biedronia", którego nie lubię, nie szanuję ani w ogóle nie chcę widzieć, to będzie „dyskryminacja"? Czy do obrzydzenia też już nie mam prawa?

eprasa.pl 4dac2b45fe

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

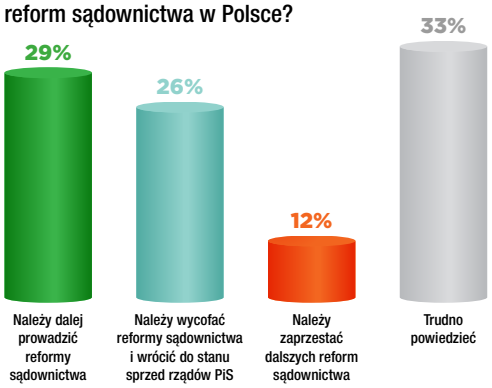
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, PROJEKT SCENOGRAFII STUDIO TVP SPORT – MAGDALENA KLUSZCZYK, MATERIAŁY PRASOWE

nasz sondaż

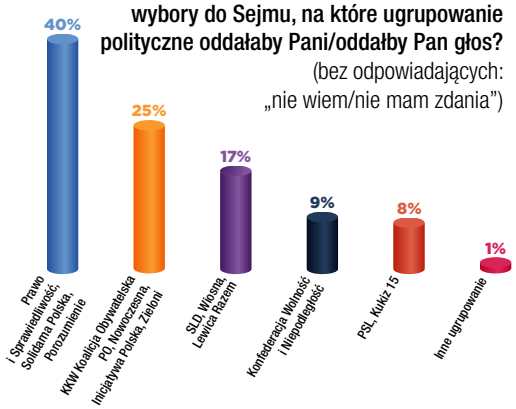
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Jaka jest Pani/Pana opinia na temat reform sądownictwa w Polsce?

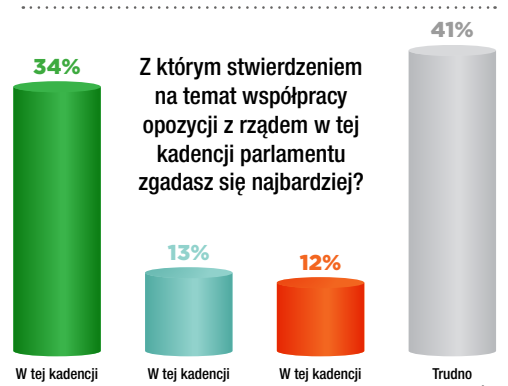


Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory do Sejmu, na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos?

(bez odpowiadających: „nie wiem/nie mam zdania")



Z którym stwierdzeniem na temat współpracy opozycji z rządem w tej kadencji parlamentu zgadasz się najbardziej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1029.

Zakres czasowy badania 15–19 listopada 2019 r.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Obiecuję, że nie odpuścimy

Gdyby „Wiadomości" lub nasz kanał informacyjny TVP Info nadawały propagandę, nikt by tego nie oglądał, bo w warunkach tak dużego pluralizmu, mediów społecznościowych i krytycyzmu widzów natychmiast zostałoby to dostrzeżone i odrzucone. Oglądalność by spadała. A rośnie

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prezesem zarządu Telewizji Polskiej Jackiem Kurskim

Słodko-gorzkie jest pana prezesowanie w telewizji publicznej. W tych samych kilkudziesięciu godzinach ponad 5,5 mln widzów zorganizowanej przez TVP w Gliwicach Eurowizji Junior, sukces młodej polskiej piosenkarki Wiktorii Gabor, a jednocześnie w internecie wpisy wpływowych osób, także z prawicy, że wstydzą się, oglądając „Wiadomości". Mocna mieszanka. Nie rozbija emocjonalnie?

Jacek Kurski: Przyzwyczaiłem się do tego, że z telewizją publiczną jest jak z pogodą, medycyną i piłką nożną – wszyscy się na tym znają. Dziś tym bardziej, bo TVP jest jedynym masowym medium realnie broniącym tych wartości, które legły u podstaw dobrej zmiany w 2015 r. Dlatego wywołuje aż takie emocje. Recenzje TVP są często pełne sprzeczności, nielogiczne, co może wynikać ze złej woli. Np. ci sami recenzenci potrafią domagać się kultury wysokiej w tzw. prime timie na głównych antenach oglądanej przez 1–2 proc. widzów (jak niedawno w Salonie Dziennikarskim jeden z waszych gości), a gdybym ich posłuchał – być pierwszymi, którzy zaatakują za niską

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4dac2b45fe



oglądalność. Tymczasem to ja ponoszę odpowiedzialność za wszystkie elementy telewizji: jakość programową, oglądalność, wynik finansowy. I bogatszy o prawie cztery lata doświadczeń wiem, co jest optymalne zarówno dla misji, jak i oglądalności. Pamiętajmy też, że wiele osób chciałoby być prezesami TVP, zwłaszcza teraz kiedy jest ona tak odbudowana, silna i rozpędzona; część krytyki wynika z takich ambicji. A panom się Eurowizja Junior podobała?

To nie do końca nasza bajka, ale w swojej kategorii telewizyjnych show na pewno widowisko wielkie, udane. Raził brak słowa „Polska" w logotypie wydarzenia, była tylko „Silesia".

Mnie też to raziło, ale takie mamy kadry. Osobę na kierowniczym stanowisku, zresztą z bardzo wysokimi referencjami, która na coś takiego się zgodziła, pożegnałem i natychmiast zarządziłem zmianę. Nie wszędzie było to już niestety możliwe. Łyżka dziegciu w beczce miodu widać musi być zawsze, ale to nie zmienia mojej radości, że się udało. Radości tym większej, że zbudowaliśmy to od początku do końca. Tu nie było nic: przez 11 lat, decyzją moich poprzedników, nie było Polski w tym konkursie, nie było tradycji, formatu, nawyku widzów. Jedną z pierwszych moich decyzji w 2016 r. był powrót do Eurowizji dziecięcej, w 2018 r. wygraliśmy ten konkurs,

eprasa.pl 4dac2b45fe

a w tym roku zorganizowaliśmy całe widowisko i ponownie wygraliśmy. Cały proces wyboru reprezentantów to też nasze dzieło. Mam nadzieję, że teraz nikt już nie będzie nas pouczał, jak walczyć o pozycję Polski w Europie, bo na tym drobnym przykładzie – ale i na wielu innych – widać, iż my to wiemy lepiej.

Do nas często dochodzą głosy: rozrywkę prezes Jacek Kurski rozkręcił, sport rozkręcił, seriale też, ale w sprawach tożsamościowych, mimo wysiłków, jakby słabiej. A przecież tutaj było oczekiwanie największej zmiany. Co poszło nie tak?

Przede wszystkim większość poszła tak, jak trzeba. Nacisk na wszystko co tożsamościowe, propolskie jest w TVP ogromny. Moje ramiona są szeroko otwarte na każdy dobry projekt patriotyczny, historyczny czy współczesny. Kłopotem jest, że często tak stoję z tymi ramionami otwartymi, a tam nic nie wpada.

W jakim sensie?

Brak po prostu talentu, paliwa, profesjonalnych projektów po stronie tożsamościowej. To jest najbardziej traumatyczne i zaskakujące doświadczenie z mojej prezesury.

Gorzkie to słowa.

Gorzkie, smutne. Ale niestety muszą tutaj paść. Od pierwszego dnia w tym gmachu otworzyłem skup wszystkiego co tożsamościowe, związane z patriotyzmem, prawdą o Polsce czy obroną polskich wartości, opowieści o narodzie, o sprawach ważnych. Odzew był bardzo słaby.

Może dlatego, że we współczesnym świecie łatwiej produkować, wymyślać i sprzedawać opowieści dekonstruujące, rozwalające, atakujące wartości niż te pozytywne? A już telewizja z natury rzeczy kocha skandal.

Tak, to na pewno część odpowiedzi. Już Leopold Tyrmand w swoim „Dzienniku 1954" napisał, że dobro wymaga reklamy, bo jest z natury rzeczy nudne, a zło widowiskowe. Każdy spec od telewizji wie, że łatwiej przykuć uwagę widzą sceną np. wbijania się samolotów porwanych przez terrorystów w wieże World Trade Center z językiem buchającego ognia niż opowieścią o męstwie strażaków nowojorskich. Jednak filmy o dobru też powstają. Jest ich sporo, tyle że głównie dokumentalnych, a moją ambicją jest odwołanie się do środków wyrazu, które dotrą do widza wyobraźni, czyli fabuły.

> Wiele osób chciałoby być prezesem TVP, zwłaszcza teraz kiedy została ona tak odbudowana, jest silna i rozpędzona. Część krytyki mojej prezesury wynika z takich ambicji

Możliwe, że drugą częścią jest jakiś błąd w procedurach szukania projektów tożsamościowych, w pracy nad nimi?

Wszystko można poprawić, ale zapewniam, że poświęcamy tym sprawom ogrom czasu. Jak ktoś ma pomysł, wchodzimy w to bez wahania. Tak było np., gdy przyszli do nas autorzy projektu „Polska pod Krzyżem" – świetni ludzie, którzy wcześniej zorganizowali „Wielką Pokutę" i „Różaniec do granic". Wyszło świetnie. Mimo trudności wielokrotnie udało nam się połączyć misję, tożsamość, opowieść historyczną, prawdę z wielką oglądalnością i niezapomnianym, trwałym efektem artystycznym. Tylko niestety nie jest to najczęściej dzieło twórców bliskich dobrej zmianie.

O których konkretnie wydarzeniach pan teraz mówi?

„Wołyń" udało się opowiedzieć scenariuszem i kamerą Wojciecha Smarzowskiego, który ideologicznie jest po drugiej stronie, zrobił genialny, epicki film o tym straszliwym, za mało przypominanym ludobójstwie. Premierę telewizyjną obejrzało 3,5 mln widzów, powtórkę rok później – 2 mln. Przypuszczam, że długo albo nigdy nic większego, lepszego o Wołyniu nie powstanie. Wielki sukces półtoragodzinnego filmu dokumentalnego „Niepodległość", pięknie pokolorowanych materiałów z lat 1914–1923. Wyreżyserował to Krzysztof Talczewski, my mieliśmy licencję na premierę.

Opus magnum, najgenialniejszy film dokumentalny ostatniego 20-lecia. Zobaczyło to w kilku emisjach 7,5 mln widzów! Prawie 3 mln widzów filmu „Kamerdyner", epickiej sagi o kaszubskim pograniczu, która szerokiej opinii publicznej – ale i samym mieszkańcom Pomorza – uświadomiła zapomnianą niemiecką zbrodnię piaśnicką. Mogę panom zdradzić, że film będzie miał swoją serialową kontynuację. Ale znowu, to zrobił Filip Bajon, twórca raczej nie z tej strony politycznej barykady. Dalej „Smoleńsk" Antoniego Krauzego...

...to jednak już niestety nieżyjący, ale twórca związany z dobrą zmianą.

Tak, ale ze starej szkoły filmowej. Do kina poszło na ten film 400 tys., u nas – kiedy pokazaliśmy go w dobrej porze oglądalności – 2,6 mln widzów, powtórkę po roku 1,5 mln. Podobny mechanizm wystąpił z „Czarnym czwartkiem" Krauzego o masakrze grudniowej – dopiero za mojego urzędowania pokazano go w czasie najlepszej oglądalności, co przełożyło się na 1,5 mln widzów.

Widzimy, że do wszystkich swoich frontów postanawia pan otworzyć kolejny – z twórcami prawicowymi, którzy mają teraz usłyszeć kilka gorzkich słów.

Pokażcie mi nazwisko jednego człowieka, który przyszedł do mnie z dobrą propozycją i dostał kosza. Nie ma takiego. Po czterech latach mam tytuł, by to powiedzieć. Ale to nie żadne otwieranie frontu, ale obrona prawdy. Mam już dość słuchania, jak to Kurski

eprasa.pl 4dac2b45fe

blokuje czy nie chce! Drzwi są otwarte, próbuję, ale z dobrymi projektami kiepsko. To mój problem, ale i dramat twórców, którzy chcą robić projekty o sprawach, a nie umieją o ludziach. A widzowie chcą oglądać o ludziach – przez których historie można opowiedzieć o sprawach.

Szczerość za szczerość. Zetknęliśmy się z taką, też wyrazistą, opinią: jakoś w informacji i publicystyce prezes Kurski potrafił znaleźć nowych ludzi, zbudować ekipę sprawną, ale niezależną w myśleniu i działaniu. Dlaczego w kulturze to się nie udało? Bo – twierdzą krytycy – pan woli robić roztańczone koncerty niż weekendy tożsamościowe.

Odpowiem konkretem: w 2016 r., właśnie w wywiadzie dla „Sieci", zapowiedziałem weekend tożsamościowy poświęcony żołnierzom wyklętym. Sprawa bliska mojemu sercu. Naprawdę bliska. Były reportaże, łączenia na żywo, piękny artystycznie koncert, elita na widowni, gratulacje od uczestników i esemesy: „Jacek, świetna robota". Ale dane o oglądalności następnego dnia były zimnym prysznicem – zaledwie 3 proc. udziału w rynku. Jak na dużą antenę i włożony wysiłek, katastrofa. Wtedy zrozumiałem, że społeczeństwo po 26 latach karmienia demoliberalną papką nie jest przygotowane na tak dużą dawkę przekazu tożsamościowego, co w połączeniu ze wspomnianym brakiem superprofesjonalnych projektów wymaga innego podejścia.

Czy telewizja publiczna nie powinna odłożyć na bok słupków oglądalności i skupić się na tych trzech procentach?

Gdybym to zrobił, nie byłbym już prezesem, a niektórzy felietoniści „Sieci" masakrowaliby mnie za nieudacznictwo. Duża antena telewizyjna musi pozostać duża, telewizja publiczna ma sens tylko wtedy, kiedy łączy Polaków, kiedy oglądają ją całe rodziny. Anteny sprofilowane, tematyczne to inna sprawa. Tam proponujemy pełną – i myślę, że atrakcyjną – ofertę historyczną, kulturalną, tożsamościową. Na naszych głównych antenach musiałem pójść inną drogą: korekty zawartości przekazu w kierunku szacunku dla wartości propolskich, ale przy szukaniu kontaktu z masowym widzem i jednocześnie budowaniu projektów tożsamościowych, ale naprawdę dopracowanych.

Ponawiamy pytanie: w informacji i publicystyce powiodła się zmiana dużo bardziej radykalna. Dlaczego?

Po pierwsze, to są jednak formy krótsze, których szybciej można się nauczyć. Po drugie, przez lata opozycji środowiska konserwatywne w tym obszarze inwestowały, wychowywały kadry, w tym także panowie w swoich, tworzonych w trudnych warunkach mediach. Do TVP przeszło wielu wychowanków mediów niepokornych, po trzecie, tu akurat talentów nie brakło. Ale też włożyliśmy w to wielką pracę, wykonaliśmy ogromny skok technologiczny. Z dumą myślę o tym, że udało się zbudowanie prawdziwego pluralizmu w Polsce i odbudowanie widowni w tym segmencie. Studia Polsatu czy TVN to dziś przy „Wiadomościach" i TVP Info zabytki.

> Mam już dość słuchania, jak to Kurski blokuje czy nie chce! Drzwi są otwarte, próbuję, ale z dobrymi projektami kiepsko

Ludzie oczekują, że telewizja publiczna, prezes Kurski, będzie takim trochę wychowawcą narodu. Wszyscy widzimy złe zjawiska wokół siebie, agresywny atak laicyzacyjny, antykulturę. Oczekiwanie, że będzie się temu przeciwdziałać, jest słuszne. I kto jak nie TVP ma to robić?

Zgoda. Ale to nie czasy, kiedy była jedna telewizja i można było decydować, co ludzie obejrzą. To nawet nie lata 90., kiedy ten wybór stacji ograniczał się do kilku. Dziś trzeba widza zdobyć, przyciągnąć. No i powtarzam: nie jest tak, że ja rzeczy tożsamościowych nie chcę. Ja o nie wręcz błagam – ale o dobre. Telewizja musiała np. wycofać się z koprodukcji filmu o księdzu Kotlarzu, bo nie uznano zmian koniecznych do tego, by film nie był ośmieszający dla bitego i zaszczutego na śmierć przez bezpiekę księdza. Zażądaliśmy skrótu serialu o innym, niezwykle ważnym duchownym, z 13 odcinków niestrawnej hagiografii do czterech pełnokrwistej opowieści. I co rusz jest podobny problem. „Maluj mnie dobrze, nie na klęczkach" – mówił sam Bóg w znanej anegdocie. Gdy atakuje się społeczeństwo propagandą lewicową – pokazujemy, jak to wygląda od kulis w reportażu „Inwazja". Gdy próbuje się zredukować problem pedofilii do księży, przypominamy film „Pedofile" Latkowskiego. I zamawiamy nowy pt. „Nic się nie stało". Niedługo go pokażemy, wstrząsający. Będzie dym. Zmierzam do jednego – musi być lider tematu, musi być pomysł. Przykra to przechwałka, ale naprawdę sporo z tego, co w obszarze tożsamości się udało na antenie, musiałem po prostu wymyślić. A ja powinienem być od wyboru, selekcji najlepszych rzeczy, a nie od wymyślania pośród posuchy projektów.

Niektórzy się wyzłośliwiają, że głównie przywraca pan programy z PRL i lat 90.

To mały wycinek i absolutnie się tego nie wstydzę. To dorobek TVP, który warto próbować wykorzystać. Trzeba także wyciągać wnioski z tego, kto ogląda dziś telewizję – wszyscy wiemy, że nie młodzież. Sentyment do telewizji i pamięć widzów czy ich przyzwyczajenia to bezcenny kapitał.

Jak to? Przecież tzw. komercyjny widz w wieku 16–49 to główny cel, o jaki biją się stacje.

To w dużej mierze fikcja, ale i oddzielna dyskusja o badaniu rynku i reklamy. Odłóżmy to dzisiaj. Faktem jest, że tradycyjną telewizję oglądają głównie ludzie w wieku 40–45 plus.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Fot. Andrzej Wiktor

Stacje komercyjne i superkomercyjne też?

TVN oglądali młodsi, dlatego dramatycznie im spada oglądalność, bo uciekają do online. Stąd zmiany i zwolnienia w TVN i TVN 24. Dlatego tak bardzo szanujemy starszą widownię. Dowodem „Sanatorium miłości" czy „Voice Senior" wprowadzone do ramówki zimowej i myśl, że warto spróbować wrócić do niektórych starych formatów, które ci widzowie wspominają z sentymentem. I tu dwa zastrzeżenia: konieczne jest oczywiście ich odświeżenie oraz nie jest to automatyczna recepta na sukces. „Koło fortuny" i „Szansa na sukces" się udały. „Sonda 2" i „Teleranek" już nie, bo za duża jest konkurencyjna ofert tematyczna dla fanów nauki i dla dzieci. Rozwijamy więc z ogromnym sukcesem telewizję ABC, lidera rynku w segmencie dziecięcym.

„Czar par"?

Uszczknął sporo dominującemu w tym paśmie formatowi stacji komercyjnej, ale liczyłem na więcej niż średnio milion widzów.

My czekamy na powrót „Wielkiej gry", unikatowego w skali światowej teleturnieju dla inteligencji.

Myślałem o tym. Ale chyba na dzisiejsze czasy ma on za wolne tempo.

Jak za wolne? Książka też ma wolne tempo, a literatura istnieje.

No nie wiem... Ale skoro panowie podnoszą ten temat, przemyślimy to jeszcze raz.

Radykalni krytycy mówią, że reaktywował pan „Dziennik Telewizyjny", że „Wiadomości" przypominają tamten styl. My się z tym nie zgadzamy, bo to są zwykle opinie ludzi, którzy każdy odchył od „standardu" TVN odrzucą, którym często w gruncie rzeczy chodzi o to, by nie stawiać medialnego oporu III RP, jednak tych głosów jest sporo. Jak pan na nie odpowiada?

Telewizja przywróciła pluralizm do polskiej debaty publicznej. Jest faktem, że redakcja „Wiadomości" składa się z ludzi przejętych Polską, broniących wartości dla większości Polaków najważniejszych, jak rodzina, chrześcijaństwo, prawda o narodowej historii. Jednak wszystko co ważne w „Wiadomościach" jest. Zgoda, że często inaczej niż u konkurencji, ale często dlatego, że to tam rządzi polityczna namiętność i chęć użycia każdego tematu jako amunicji przeciw obozowi Jarosława Kaczyńskiego.

Żadnych błędów?

Pozwólcie dokończyć, bo o tym chciałem powiedzieć w kolejnym zdaniu. Oczywiście, że tak „Wiadomości", jak i TVP Info nie ustrzegają się błędów i gdy je wyłapiemy, naprawiamy.

Istotą stawianych zarzutów jest, że to program propagandowy.

To bzdura, na dodatek łatwa do wykazania. Gdyby „Wiadomości" lub nasz kanał informacyjny TVP Info nadawały propagandę, nikt by tego nie oglądał, bo w warunkach tak dużego pluralizmu, mediów społecznościowych i krytycyzmu widzów natychmiast zostałoby to dostrzeżone i odrzucone. Oglądalność by spadała. A rośnie – dzisiaj „Wiadomości" mają realnie średnio 4 mln widzów i już nawet badania Nielsena wykazują olbrzymie wzrosty. Sukces tego programu polega na tym, że jest on zaangażowany w obronę świata wartości konserwatywnych i polskich, a jednocześnie ma silny kontakt z rzeczywistością. Ten program opisuje to, co ludzie widzą wokół siebie, czego doświadczają na co dzień. Daje też normalną informację, co robi władza, a co opozycja. Tego z dzienników komercyjnych często nie sposób się dowiedzieć.

Były momenty, gdy miał pan poczucie, że zablokował próby zniszczenia dobrej zmiany?

Wiele. Przypomnę 14 stycznia 2019 r., dzień zabójstwa prezydenta Gdańska

eprasa.pl 4dac2b45fe

Pawła Adamowicza. Duża część prawicy była gotowa narzucić sobie odpowiedzialność za szaleńczy czyn osoby umysłowo niezrównoważonej, dokonany w trakcie skandalicznie źle zabezpieczonego koncertu organizowanego przez ikonę III RP. Skumulowany atak w tej sprawie, próby ubrania całego obozu w odpowiedzialność, doprowadziły do psychopaniki na prawicy. Wtedy „Wiadomości" wystąpiły zdecydowanie w obronie prawdy. A ona jest jasna: osób tak krytykowanych jak Adamowicz na scenie publicznej są dziesiątki, były powody, by go krytykować i pytać o jego majątek, a jak dziś wiemy, zabójca nie oglądał w ogóle TVP Info. Co więcej, z taśm Neumanna i tego, że PO wcześniej się od Adamowicza odcięła, wyrzuciła go ze swoich szeregów i wystawiła kandydata przeciw niemu – wiemy, co w samej Platformie o nim myślano. Gdybyśmy wtedy ulegli, także żądaniom płynącym z części prawej strony, i zaczęli przepraszać za rzeczy, za które nie odpowiadamy, to za chwilę przepraszalibyśmy za wszystko, za walkę z mafiami vatowskimi, 500+, wieże Srebrnej, strajk nauczycieli, pedofilię w Kościele, no i dobra zmiana byłaby już dzisiaj wspomnieniem.

Mocno krytykowano wtedy „Wiadomości" za przypomnienie przykładów mowy nienawiści, politycy opozycji zarzucali wam wzywanie do przemocy. Dlaczego to zrobiliście?

Bo te słowa padły i budowały atmosferę przyzwolenia na przemoc. Ktoś jednak mówił, że trzeba czasem wziąć dechę i lać przeciwników, dorżnąć watahy, strząsnąć pisowską stonkę. A słowa te padły z ust prezydentów RP, premiera i marszałków Sejmu związanych z PO, które przypomnieliśmy tylko dlatego, że przez kilka godzin tuż po śmierci Pawła i jeszcze przed „Wiadomościami" prominentni politycy opozycji próbowali wmówić Polakom, że mamy do czynienia z „mordem politycznym". Dziś widać, jakie to było kłamstwo. Mord polityczny nie jest mordem na polityku – jest mordem zleconym przez polityków. Nic takiego nie miało miejsca.

Opozycja przypominała: była też wypowiedź lidera PiS o gorszym sorcie, a jej nie przytoczyliście.

To opis podziału w Polsce, zresztą wyrwany z kontekstu, w żadnym momencie niewzywający do anihilacji przeciwników politycznych. Takich wypowiedzi: adekwatnych, padających z ust czołowych polityków prawicy, jak Kaczyński, Duda, Szydło, Kuchciński czy Morawiecki, po prostu nigdy nie było. Opozycji totalnej to się nie podoba, ale takie są fakty:

> Nacisk na wszystko co tożsamościowe, propolskie jest w TVP ogromny. Moje ramiona są szeroko otwarte na każdy dobry projekt patriotyczny, historyczny czy współczesny

ten język wzywający do zniszczenia fizycznego przeciwnika jest jej cechą szczególną. Symetrii zatem w tamtych „Wiadomościach" być nie mogło, bo nie ma jej w rzeczywistości.

Inne takie momenty przełamania?

Na pewno pucz grudniowy z 2016 r. Miałem wtedy pielgrzymki, by odpuścić wszystko, załagodzić, wystawić kozła ofiarnego i zacząć przepraszać tych, którzy właśnie podjęli próbę siłowego przejęcia władzy. Szokujące, jak wielkie są jeszcze kompleksy na prawicy, jak łatwo jej narzucić pewne strachy, sparaliżować ją.

Wiemy, co w TVP jest, ale wielu krytyków podnosi zarzut, że wielu spraw nie ma. Np. sprawa prezesa Banasia – od wielu tygodni temat numer jeden mediów komercyjnych.

Niczego nie pomijamy, ale nie pozwolimy, by nagonki sterowane przez opozycję decydowały o naszym programie. Za bardzo szanujemy widza, za dużą cenę wielu odważnych ludzi zapłaciło za walkę o obecny pluralizm medialny, by teraz wszystko było znowu takie samo. W sprawie prezesa Banasia – w sumie to TVP go pogrążyła. Słowa, które u nas wypowiedział na żywo w „Gościu »Wiadomości«", były dlań dużym problemem, przedmiotem ataku opozycji. A środowe posiedzenie komisji sejmowej, na którym został mocno zaatakowany przez opozycję, zostało obszernie zrelacjonowane. Ale znowu: daliśmy i jemu spokojną możliwość wypowiedzi. Duża część konkurencji na to już się nie zdobyła.

Rzecznik Praw Obywatelskich zapytał pana w liście, czy w TVP funkcjonuje jakaś „czarna lista" osób, których nie można zapraszać.

Nie dostałem jeszcze tego listu, ale to bzdura. Żadnej takiej listy nie ma. Każdy może spojrzeć na listę gości w programach publicystycznych, pełen pluralizm.

Swoją drogą czasy, gdy celebryci próbowali wchodzić w bojkoty TVP, dawno, choć po cichu, minęły. Można powiedzieć: od Opola, gdzie w 2017 r. próbowano rozbić festiwal, do Gliwic, czyli Eurowizji Junior i „Narodowego sylwestra".

Akurat sylwestra znowu próbowano nam zniszczyć, widać, że ten sukces wielu przeszkadza. Ale jedziemy dalej. Rzeczywiście oferta dla masowego widza jest czymś, z czego możemy być obecnie dumni: obok „Sylwestra marzeń" w Zakopanem, mamy „Narodowy roztańczony", Letnią Trasę Dwójki, Festiwal Muzyki Tanecznej w Kielcach, Eurowizję. Sport: nie było meczów reprezentacji Polski w piłce nożnej – teraz są. Podobnie Ekstraklasa, Liga Mistrzów, mistrzostwa świata w piłce koszykowej, siatkówka itp. Cały sport w dostępnym za darmo kanale TVP Sport.

Jest też disco polo.

Tak i zawsze będę tego bronił. Hejt wobec tej muzyki był wyznacznikiem pogardy elit III RP wobec większości społeczeństwa, stygmatyzacją ludzi. Włochy mają swoje disco, Niemcy też,

eprasa.pl 4dac2b45fe



Po konkursie Eurowizji Junior z polskimi laureatkami Roksaną Węgiel (2018) i Wiktorią Gabor (2019)

Fot. M. Kaźmierczuk/TVP

każdy liczący się kraj ma taką muzykę popularną. Nigdzie nie jest ona tak stygmatyzowana. Powiem więcej: te wszystkie próby bojkotów i robienie nabzdyczonych min skończyły się, kiedy świat artystyczny zrozumiał, że nie ma monopolu, że jest alternatywa. Że telewizja może zrobić bez nich koncerty oglądane przez miliony ludzi, na dodatek tańsze.

Mamy nowy, bardziej zróżnicowany Sejm, nieco inne nastroje społeczne, totalny język PO brzmi – możliwe że chwilowo – archaicznie. Prezes PiS nawołuje do współpracy, premier zaprasza opozycję do wspólnych działań. Może to moment, by kształt informacji i publicystyki jednak przemyśleć?

Zgadzam się i mam wrażenie, że „Wiadomości" są dużo spokojniejsze, chwilami nawet nudne. Mam wątpliwości, czy ta nowa epoka, o której panowie mówią, potrwa długo, bo słychać, jak grzeją się motory opozycyjnych czołgów, widać przygotowania do ofensywy w sprawach sądownictwa, cywilizacyjnych, przed nami wybory prezydenckie. Ale też mówię: spróbujmy wszyscy inaczej, we mnie jest dobra wola. Natomiast jasno też deklaruję: nie będzie miękkiej gry w walce o wolność słowa.

Zgadza się pan z tymi, którzy twierdzą, że czas nadziei na głęboką przebudowę III RP minął? Że ten etap się zamknął?

Jeżeli ktokolwiek w to uwierzy, szybko straci władzę. Taki obóz zostanie przez Polaków odrzucony. Powiem więcej: warunkiem trwania dobrej zmiany jest dokończenie reformy wymiaru sprawiedliwości i rynku medialnego. To właśnie robienie wody z mózgu przez media III RP i niesprawiedliwe wyroki sądów odwracały ludzi przeciwko własnym interesom, skłaniały do głosowania na siły, które niosły im biedę, które realizowały cele przeciwne. To się udało przełamać w 2015 r., to jeszcze udało się powstrzymać, w dużej mierze dzięki pluralizmowi zapewnianemu przez TVP w 2019 r., ale bez zmian strukturalnych w trzeciej i czwartej władzy wszystko może zostać utracone i okazać się odwracalne.

Nie wygląda, by ktoś poza panem i nami tak myślał. Nam już się nie chce o tym nawet pisać, szkoda życia.

Ale kanoniczne zdanie, które panowie kiedyś napisali, że „duża część zasobów dobrej zmiany jest używana nie do jej reprodukcji, ale kupowania przychylności dla poszczególnych polityków i firm w mediach III RP, i wykorzystywana przeciwko dobrej zmianie", pozostaje aktualne. Jeśli faktycznie tak ma być dalej, to o trzeciej kadencji prawica może już dzisiaj zapomnieć. Lenin kpił z Zachodu, że dostarcza mu sznur, na którym on Zachód powiesi. Tymczasem środki pozostające w dyspozycji części dobrej zmiany futrują wrogów, którzy planowo i metodycznie wykańczają medialnie i politycznie dobrą zmianę. To ostatni moment, żeby z tej drogi zawrócić. Są takie zapowiedzi. Zobaczymy, czy się sprawdzą.

Co dalej z finansowaniem TVP?

Wciąż kroplówka, czyli brak stabilnego systemu abonamentowego, są za to ciężko wywalczone rekompensaty za niezebrane przez państwo wpływy abonamentowe. Wszystko wskazuje, że podobnie będzie w tym roku. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że – z wyjątkiem doraźnego i realnego wsparcia w krytycznych momentach ze strony centralnego ośrodka dyspozycji politycznej dobrej zmiany – nie ma żadnego wsparcia ze strony większości instytucji otoczenia regulacyjnego. Prawdziwym skandalem jest np. to, że wskutek dość dowolnej interpretacji Ministerstwa Finansów to, co wpływa z abonamentu, ten wdowi grosz, jest jeszcze opodatkowany VAT-em! To 100 mln zł rocznie, które TVP zwraca do budżetu za wypełnianie misji! Polsat i TVN nie. Inna sprawa: MUX 4, zamrożony od lat zestaw częstotliwości telewizji naziemnej przez jednego z graczy komercyjnych, co blokuje rozwój dystrybucji telewizji publicznej. Dobro publiczne mające z definicji służyć ludziom jest udostępnione przez państwo za bezcen podmiotowi, który to realnie zamroził, bo sam ma biznes w sprzedaży dekoderów i od lat nie był zainteresowany rozwojem telewizji naziemnej.

Jest pewnie na tej liście także telemetria, badanie oglądalności?

Tak. Mamy już pełną wiedzę, jak system może być zhakowany przez niektórych graczy komercyjnych, którzy wypaczają wyniki. Nasza próba audytu Nielsena blokowana przez siedem miesięcy ostatecznie zakończyła się fiaskiem. Gdy napisałem o tym do jednej ze służb specjalnych, dostałem odpowiedź jakby żywcem podyktowaną przez tych graczy, których dotyczyła informacja. No i wisienka na torcie: wydajemy jako państwo ogromne pieniądze na ośrodki terenowe, ale ustawa nakazuje operatorom platform cyfrowych emitowanie jednego takiego sygnału, a nie 16 – więc TVN

eprasa.pl 4dac2b45fe

i Polsat włączają we wszystkich województwach OTV Warszawa, choć widzów poza Warszawą nigdzie ona nie interesuje. W efekcie prawie połowa Polaków jest odcięta od lokalnej telewizji publicznej, a ustawodawca i KRRiT od lat się na to godzą.

To otoczenie instytucjonalne TVP zawodzi w wielu obszarach. Choćby filmy zespołu Kadr – dlaczego sprzedano licencję na duży pakiet polskiej klasyki nadawcy komercyjnemu?

To nie jest pytanie do mnie, ja zrobiłem wszystko, by te filmy, w tym „Seksmisję", „Jak rozpętałem II wojnę światową" itd., trafiły do nas. W sumie 200 filmów. Wszystko jest gotowe, ale bazarowym numerem, poza wiedzą ministra Piotra Glińskiego, państwowy zespół filmowy sprzedaje to tuż przed podpisaniem umowy nadawcy prywatnemu! Było to półtora roku temu i chyba wpłynęło na decyzję o połączeniu mniejszych zespołów filmowych w jednej większy. Premier Gliński został oszukany i zadziałał w interesie dostępu widzów do polskiej klasyki i dziedzictwa filmowego. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tzw. rozporządzeniem sprzętowym Ministerstwa Cyfryzacji.

Konkretnie?

W skrócie chodzi o to, że w wyniku postępu technicznego, powstania tzw. HBBTV, czyli telewizji hybrydowej łączącej telewizję linearną z internetem, korzystamy z renty technologicznej, czyli nagle możemy przeskoczyć etap dekoderów, przechodząc na platformy internetowo-cyfrowe, od razu zainstalowane w odbiorniku telewizyjnym! Czyli taki dekoder wirtualny i darmowy, na którym każdy, kto ma kontent, może go dystrybuować. Jest to w interesie absolutnie wszystkich widzów. Ale rozporządzenie ministra cyfryzacji, które powinno o ten interes widzów zadbać, stwierdzało, że telewizory sprzedawane w Polsce nie muszą (sic!) mieć tego rozwiązania. Mogą, ale nie muszą. Doszło do ordynarnego działania lobbystycznego w interesie operatorów platform cyfrowych. Bo jak nie ma HBBTV, to przedłuży to prosperity zacofanych dekoderów. Działanie blokujące rozwój tak jak z MUX 4. Minister Zagórski w porę się zorientował, zadeklarował zablokowanie tego rozporządzenia i przygotowanie nowego, uczciwego wobec odbiorców telewizji.

> Mam wrażenie, że teraz „Wiadomości" są dużo spokojniejsze, chwilami nawet nudne. Mam wątpliwości, czy ta nowa epoka potrwa długo, bo słychać, jak grzeją się motory opozycyjnych czołgów, widać przygotowania do ofensywy. Ale też mówię: spróbujmy wszyscy inaczej, we mnie jest dobra wola. Natomiast jasno też deklaruję: nie będzie miękkiej gry w walce o wolność słowa

Wnioski?

Jeśli przy tych wszystkich wiatrach i śniegach w oczy telewizja publiczna jednak udźwignęła zadanie zapewnienia w Polsce pluralizmu, było to zasługą wyłącznie pomocy jednego człowieka, który w decydujących momentach kolanem dopychał rozwiązania doraźne, interwencyjne, przy dużej wrogości tych ludzi, którzy powinni pomagać, a tego nie robili.

To dobry moment, by zapytać o te ciągłe doniesienia medialne, że jest pan strasznie skłócony z premierem Mateuszem Morawieckim.

Nie wiem, z czego to wynika. Każda konferencja premiera Morawieckiego jest pokazywana w TVP, nieraz z napisem „Tylko w TVP Info", a widzowie „Wiadomości" mają pełną informację o pracach rządu. Pewne mylne interpretacje mogą się brać z tego, że zamysł premierostwa Mateusza Morawieckiego odwoływał się do pozyskania środowisk tradycyjnie chłodniejszych wobec prawicy: wielkich miast, biznesu, części inteligencji. Z założenia więc jego wysiłek komunikacyjny nakierowany jest na inne kanały niż TVP. Tu widzę źródło tych nadinterpretacji.

Przed nami wybory prezydenckie. Podniosą temperaturę meczu?

To oczywistość. Ci, którzy myślą, że uda się ciepłą wodą i schodzeniem do centrum wygrać wybory, mogą się zawieść. To nie oni wybiorą temperaturę meczu. Będzie to walka na najwyższych poziomach emocji i mobilizacji. Jeśli się to przeoczy, można oddać pole. Politologicznie analizując, pozycje wyjściowe są korzystne dla Andrzeja Dudy: on jest kandydatem dynamicznym, zaprawionym w boju, obecnym na co dzień w powiatach, popularnym. Druga strona kandydata jeszcze nie ma, a pojawiające się nazwiska nie zapowiadają nowej jakości. Ale tu nic nie jest oczywiste. Wygra ten, kto będzie miał większą wolę walki, determinację, kto będzie sobą. Telewizja oczywiście będzie tu, zgodnie z powołaniem, czynnikiem relacjonującym, nie zaś kreującym.

Już tylko kilka tygodni do równo czwartej rocznicy objęcia przez pana prezesury TVP (8 stycznia 2016 r.). Z czego pan jest najbardziej dumny, a co się nie udało?

Nie udało się reaktywować żywego dobrego kabaretu. Ale tu też jest problem podobny do tego, o którym mówiliśmy w środku rozmowy. A sukces? Daliśmy radę, wytrzymaliśmy, nie wymiękliśmy. Wszystkim moim współpracownikom i widzom telewizji z całego serca i bardzo pokornie za to dziękuję. I obiecuję, że nie odpuścimy. Jesteśmy Telewizją Polską i obowiązki mamy polskie.

eprasa.pl 4dac2b45fe





W polityce idą zmiany

Nowe formacje w Sejmie nie zagrażają na razie głównym partiom, ale działają na nie podobnie, jak działa pole grawitacyjne, zaburzając ich dotychczasowy kurs. I choć odchylenie tego kursu jest dziś mało widoczne, to za pewien czas może się okazać, że wszystkie pionki na politycznej planszy poprzesuwały się w całkiem nowe miejsca



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Przewidywanie przyszłości w polityce jest trochę jak prognoza pogody. Mamy kilka zmiennych, które wyznaczają nam ogólną tendencję, choć bez żadnej gwarancji, że w pewnym momencie nie pojawi się coś nieoczekiwanego, co wywróci wszystko do góry nogami. Do tej pory zmienne były dość stabilne, bo od wielu lat wyznaczał je konflikt między PiS i PO, będący główną osią polskiej sceny politycznej. Raz wahadło przechylało się na korzyść PO, innym razem – tak jak w ostatnich kilku latach – na stronę PiS. Nie zmieniało to jednak ogólnej tendencji.

Tym razem jednak tendencja nie jest już taka oczywista jak dotąd. Wejście do Sejmu lewicy oraz Konfederacji i utrzymanie się w parlamencie skazanego – wydawałoby się – wcześniej na klęskę PSL, świadczą o tym, że wyborcy są coraz bardziej znużeni przedłużającym się w nieskończoność i coraz bardziej jałowym sporem PO-PiS. To jeszcze nie jest trzęsienie ziemi, ale da się już delikatnie wyczuć stopniowe przesuwanie płyt tektonicznych.

Dlatego październikowe wybory parlamentarne mogą się stać początkiem zmian. Nowe formacje w Sejmie nie zagrażają na razie głównym partiom, ale działają na nie podobnie, jak działa pole grawitacyjne, zaburzając ich dotychczasowy kurs. I choć dziś odchylenie tego kursu jest jeszcze mało widoczne, to za parę miesięcy może się okazać, że wszystkie pionki na politycznej planszy poprzesuwały się w dość nieoczekiwane miejsca. Niewykluczone nawet, że niektóre z nich będą z niej wypychane.

PO NIE MOŻE SPAĆ SPOKOJNIE

Pierwszym zwiastunem możliwej zmiany jest wychwytywany we wszystkich sondażach wzrost popularności lewicy. To oczywiście może być jedynie efekt nowości. Niektórzy zwracają uwagę, że podobnie było w poprzedniej kadencji z Nowoczesną, która w pewnym momencie stała się nawet równorzędnym rywalem PO wśród antypisowskiego elektoratu, oraz z Wiosną Roberta Biedronia, który tuż po ogłoszeniu swojej inicjatywy, miał – jak na formację pozaparlamentarną – całkiem wysokie notowania. Potem jednak entuzjazm wyborców opadł i wszystko wróciło do starego schematu, zgodnie z którym całą sceną polityczną w Polsce zarządzał duopol PO i PiS. Nowoczesna zo-

eprasa.pl 4dac2b45fe

stała wchłonięta przez PO, a Biedroń salwował się ucieczką na wspólną listę lewicy.

Platforma, która jest najbardziej zagrożona pojawieniem się rywala na swojej lewej flance, liczy, że i tym razem będzie podobnie. Politycy tej partii mogą się jednak przeliczyć. Są bowiem duże różnice pomiędzy sytuacją sprzed kilku lat, gdy Nowoczesna podbierała elektorat Platformie, a dzisiejszą utratą wyborców PO na rzecz lewicy.

Przede wszystkim Nowoczesna nie wnosiła żadnej nowej jakości na polskiej scenie politycznej. Pojawiła się w chwili kryzysu PO wywołanego ośmioma latami rządów tej partii i rejteradą Donalda Tuska do Brukseli. Była projektem stworzonym odgórnie, rodzajem szalupy ratunkowej zbudowanej na wypadek dezintegracji PO. Odwoływała się do tego samego elektoratu, który zachwycał się wcześniej Tuskiem, do zadowolonych z osiągniętej pozycji wielkomiejskich lemingów. Nie proponowała żadnych zmian, lecz dogmatyczne trzymanie się dotychczasowego neoliberalnego kursu przyprawionego jedynie szczyptą obyczajowego progresywizmu. Jedyną nowością, a zarazem – jak się potem okazało – największą słabością Nowoczesnej były twarze tworzących ją polityków. Gdy liderzy tej partii opatrzyli się już wyborcom i gdy dodatkowo się okazało, że mają raczej talenty kabaretowe, a nie polityczne, Nowoczesna przestała odgrywać jakąkolwiek rolę.

Również Robert Biedroń nie potrafił zbudować nowej jakości. Jego Wiosna miała przejąć lewe skrzydło wyborców PO, ale poza skierowaną do relatywnie niewielkiej grupy elektoratu ofertą wielkiej rewolucji obyczajowej odstraszała innych swoją silnie neoliberalną agendą. W tym sensie była po prostu „tęczową" odmianą Platformy. Inaczej mówiąc ani Nowoczesna, ani Wiosna, odwołujące się do niewielkich grup uprzywilejowanych zamożnych wyborców, nie były w stanie zbudować siły zdolnej do zakwestionowania status quo. Zwłaszcza że PO dość aktywnie przeciwdziałała zagrożeniom, podejmując rywalizację z nowymi formacjami, czasem nawet wbrew własnemu interesowi, tak jak w przypadku konkurowania o względy „tęczowego" elektoratu z Biedroniem, co doprowadziło Platformę do porażki w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

KUSZENIE ELEKTORATU

Tymczasem na lewicy już od dłuższego czasu nabierało znaczenia przekonanie, wzmocnione zresztą sukcesem programu społecznego PiS, że jedyną skuteczną metodą walki o wyborcę jest odrzucenie neoliberalnych dogmatów oraz umiejętne połączenie postulatów socjalnych z obyczajowymi i kulturowymi. Taki pogląd, najszerzej reprezentowany przez Partię Razem, zdobył sobie dużą popularność wśród wielkomiejskich grup hipsterskiej lewicy, dla której oddanie głosu na PO lub jej akolitów stawało się coraz trudniejsze, a nawet niemożliwe do przełknięcia.

Teraz, po wejściu Partii Razem do Sejmu, lewicowi zwolennicy socjalnej rywalizacji z PiS zyskali możliwość szerokiego promowania swoich poglądów. I – jak dowodzi tego spektakularny występ Adriana Zandberga w trakcie dyskusji po exposé premiera Mateusza Morawieckiego – potrafią być skuteczni. Z sondażu przeprowadzonego przez IBRiS dla Wirtualnej Polski wynika, że Adrian Zandberg mógłby dziś liczyć na trzecie miejsce w wyborach prezydenckich (9,5 proc. w skali kraju), wygrywając przy tym większością 28 proc. w dużych miastach. Co charakterystyczne potencjalna kandydatka PO Małgorzata Kidawa-Błońska znalazła się w tej kategorii dopiero na czwartej pozycji z poparciem zaledwie 8 proc.

Oczywiście należy odróżniać duże miasta w sondażu (od 250 tys. do 0,5 mln mieszkańców) od największych miast (powyżej 0,5 mln mieszkańców), gdzie proporcje są już inne. W największych miastach Kidawa-Błońska wraz z prezydentem Dudą dzielą się głosami niemal na równi (29 do 30 proc.) i pozostawiają Zandberga daleko w tyle. Jednak z cytowanego badania wynika, że to właśnie duże miasta, gdzie typowe dla mniejszych ośrodków problemy socjalne nakładają się na wielkomiejskie aspiracje mieszkańców, są miejscem, w którym dochodzi do największych zmian w nastrojach elektoratu. I że elektorat ten gotów jest przyjąć ofertę lewicy.

Oczywiście nie jest jeszcze przesądzone, czy lewica wykorzysta swoją szansę, którą dostrzega Zandberg i jego otoczenie. Partia Razem jest zaledwie jedną z trzech, i to wcale nie najsilniejszą, spośród tworzących klub Lewicy w Sejmie. Przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty jest politykiem inteligentnym, ale jednocześnie cynicznym. Marzy mu się rola głównego antagonisty PiS, ale to wymaga marginalizacji PO i objęcia znacznie szerszego spektrum wyborców niż zapatrzony w Zandberga aspirujący elektorat socjalny dużych miast. Trudno więc oczekiwać, że Czarzasty całkiem odżegna się od wolnorynkowej agendy. Przeciwnie, zapowiadane wchłonięcie Wiosny Roberta Biedronia może jedynie wzmocnić nurt neoliberalny w SLD (skądinąd zawsze tam silny). Ale to może prowadzić z kolei do wewnętrznych konfliktów na lewicy, bo nie należy się raczej spodziewać, że Zandberg będzie autoryzował liberalną politykę gospodarczą.

Czarzasty ma wprawdzie kij na Zandberga, ponieważ to lider SLD kontroluje finanse na lewicy, ale – z drugiej strony – to Zandberg wyrasta na najbardziej popularnego i rozpoznawalnego lidera. Wynik tej rywalizacji może przesądzić w przyszłości o kierunku, który obierze lewica, ale na razie, po wchłonięciu Wiosny Biedronia, lepiej chyba rozwija się koncept Czarzastego, w którego ramach lewicy parlamentarnej wyrastają dwa skrzydła: liberalne będące zagrożeniem dla PO i socjalne – nakierowane na konkurowanie z PiS. To projekt w swoim założeniu imperialny, tyle że nie służy on spójności formacji. Ma jednak tę zaletę, że jeśli się powiedzie, to przynajmniej w pierwszej fazie, zanim ta niespójność nie da się we znaki, może przyciągać zarówno tradycyjnego wyborcę PO, jak i socjalny elektorat z centrum, któremu odpowiada wprawdzie program społeczny PiS, ale którego zniechęca zbyt konserwatywna w jego mniemaniu linia partii rządzącej.

NOWY PROJEKT TUSKA

Powodzenie tych planów zależy jednak w dużym stopniu od tego, jak rozwinie się sytuacja w PO. Dziś Platforma pogrążona jest w największym od początku istnienia tej partii kryzysie. Przyczyny tego kryzysu, którego najbardziej widocznym objawem jest spór o przywództwo, mają swoje źródło w porażce wyborczej PO z 2015 r. i przyjętej wówczas strategii „totalnej opozycji". Jednak strategia ta po czterech latach nie przyniosła

eprasa.pl 4dac2b45fe

Platformie zwycięstwa. Przeciwnie, doprowadziła do tego, że Platforma jest dziś partią jałową, poobijaną i pozbawioną jakiejkolwiek wizji Polski. Jeśli kandydatka lub kandydat PO nie zdoła wygrać przyszłorocznych wyborów prezydenckich, dawna partia Donalda Tuska przekształci się w masę upadłościową, która będzie trwała przy życiu jedynie dzięki dotacjom budżetowym oraz obecności w parlamencie i samorządach. Trudno jednak oczekiwać, aby taka pozbawiona energii i żyjąca z synekur formacja mogła za cztery lata zawalczyć o władzę. Tym bardziej że jej korozję będzie przyspieszać znacznie bardziej energiczna lewica. Również umiarkowanie konserwatywni wyborcy mogą być skutecznie kuszeni przez PSL, a nawet – co w tej chwili może się wydawać nieprawdopodobne – przez szukające nowej przestrzeni w centrum PiS.

Wymownym potwierdzeniem fatalnej kondycji PO jest niedawna zapowiedź Donalda Tuska o budowie „za trzy, cztery lata" nowego ruchu politycznego w Polsce. Podobny manewr Tusk wykonał, porzucając w 2001 r. Unię Wolności i powołując Platformę Obywatelską. Były premier najwyraźniej dostrzega niebezpieczeństwo, jakim jest możliwa marginalizacja Platformy i stąd jego pomysł „nowego ruchu politycznego", który byłby tratwą ratunkową dla dryfującego wraku, w jaki może się zamienić PO. Oczywiście wszystko może wyglądać inaczej, jeśli Platforma wygra wybory prezydenckie. Jednak Tusk musi mieć co do tego wątpliwości. Gdyby było inaczej, zdecydowałby się na start już teraz. Niewykluczone nawet, że wcale tak gorąco nie kibicuje wygranej PO. Być może zakłada, że dla niego lepiej będzie, jeśli PiS wykrwawi się podczas zapowiadanego pogorszenia koniunktury gospodarczej i dopiero wtedy on, „na białym koniu", przyjedzie „zbawiać" Polskę.

Z głębokim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP

KS. BP. PROF. BRONISŁAWA JANA DEMBOWSKIEGO
PS. „SZARY"

urodzonego 2 października 1927 r. w Komorowie.
W sierpniu 1943 r. został zaprzysiężony jako żołnierz
Armii Krajowej w Radomskim Obwodzie Okręgu AK „Jodła".

Podczas Akcji „Burza" służył
w 72. Pułku Piechoty AK Ziemi Radomskiej.
W okresie stanu wojennego był
członkiem Prymasowskiej Rady Społecznej.
W latach 1981-1992 wiceprzewodniczący
Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom
Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom.

Od 1992 r. biskup, a od 2003 r. biskup senior diecezji włocławskiej.
W 1996 r. zamknął proces informacyjny
błogosławionych 108 męczenników
zamordowanych podczas II wojny światowej.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą
Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Armii Krajowej
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

48/1119/F

CZARNA DZIURA

Dziś sytuacja wygląda więc trochę tak, że wszyscy wyczekują dalszego rozwoju wydarzeń w PO. Bo jeśli ta partia, dotąd kluczowa na polskiej scenie politycznej, nie zdoła wygrać wyborów prezydenckich, to zapewne już wkrótce rozpocznie się jej powolny rozkład. I dlatego zaczynają nad nią krążyć sępy: nie tylko z lewicy, lecz również z PSL, a nawet Tusk i PiS. Każdy chciałby tu coś wyrwać dla siebie.

PSL, dość skutecznie wyeliminowane ze wsi, znalazło sobie za sprawą Władysława Kosiniaka-Kamysza przyczółek w miastach. Lider PSL próbuje się zaprezentować jako przedstawiciel nowej generacji polityków, niezaangażowany w ostre, ideowe i ambicjonalne spory sprzed ćwierćwiecza. W ten sposób udało mu się zdobyć przychylność umiarkowanie konserwatywnych wyborców miejskich, mocno zniechęconych rosnącą brutalnością i jałowością wojny pomiędzy PiS i PO. Jeśli jednak Kosiniak-Kamysz nie zdoła wkrótce przekonać wyborców, że oprócz strategii unikania konfliktu ma jeszcze jakąś własną wizję Polski, to jego gwiazda może zgasnąć równie szybko, jak zabłysła.

Niewykluczone zresztą, że PSL szukające nowego paliwa wśród umiarkowanych wyborców miejskich wkrótce może mieć konkurenta, który wcześniej pozbawił ludowców wsparcia na wsi. Chodzi oczywiście o PiS, które – jak można wnioskować po rozłożeniu akcentów w niedawnym exposé premiera Morawieckiego – coraz uważniej zerka w stronę centrum. Gdyby rzeczywiście doszło do marginalizacji PO, to trudno sobie wyobrazić, aby PiS zrezygnowało z takiej okazji. I wbrew temu, co można dziś sądzić, nie byłoby wcale pozbawione szans, choć oczywiście musiałoby się to wiązać z dalszym przesuwaniem akcentów w stronę liberalnej gospodarki. Uzasadnieniem mogłoby tu być zresztą zapowiadane spowolnienie gospodarcze. Trudno sobie przecież wyobrazić, aby w zmienionych warunkach dało się utrzymać kierunek dotychczasowej polityki społecznej. Dodatkowo na prawej stronie pojawiła się jeszcze Konfederacja, która z pozycji libertariańskich próbuje uderzać w strategię socjalną partii rządzącej.

Można sobie zatem wyobrazić i taki scenariusz, w którym PiS – nie rezygnując z podstawowych założeń obecnej polityki – przesunie się w stronę liberalizacji gospodarczej, pozostawiając jednocześnie najostrzejsze spory tożsamościowe Konfederacji. Wszystko po to, aby nie dopuścić do ekspansji lewicy, utrudnić rekonwalescencję PO lub aby zablokować polityczny projekt Tuska w przypadku dalszego rozkładu Platformy.

Wszystkie te manewry pokazują, że główny kierunek polskiej polityki prowadzi dziś w stronę centrum i tworzy wolne miejsce na skrzydłach, co na razie wykorzystuje lewica i Konfederacja. Jednocześnie jednak centrum stanowi rodzaj czarnej dziury pochłaniającej wszystko, co w nią wpadnie. Taki los może czekać również Platformę, jeśli nie zdoła się wydostać z kryzysu. Ci, którzy ewentualnie zajmą jej miejsce, zarówno z lewej, jak i z prawej strony, powinni być świadomi istnienia tego zagrożenia. Bo wpaść w tę dziurę może każda formacja, której nie chroni w centrum wystarczająco silna programowa lub tożsamościowa kotwica.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Ustawione prawybory



STANISŁAW JANECKI

Grzegorz Schetyna zrobi wiele, żeby kandydatem Platformy Obywatelskiej na prezydenta został Jacek Jaśkowiak. Dlaczego?



Konia z rzędem temu, kto wie, może poza Grzegorzem Schetyną, choć i to budzi pewne wątpliwości, o co chodzi w prezydenckich prawyborach w Platformie Obywatelskiej. W bardzo małym stopniu celem obecnych prawyborów jest to, co zamierzano, gdy 16 lutego 2010 r. prawybory prezydenckie w PO ogłosił ówczesny przewodniczący partii i premier Donald Tusk, czyli żeby na kilka tygodni zdominować polską politykę i główne media, zamienić prawybory w wybory i wywindować wewnętrzne sprawy partii wtedy rządzącej do rangi najważniejszego wydarzenia sezonu. I kreować ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego oraz szefa MSZ Radosława Sikorskiego na najważniejszych, a przynajmniej „najgorętszych", polityków w Polsce (będzie jeszcze o tym mowa).

W listopadzie i grudniu br. wydawałoby się, że chodzi o wyłonienie zwycięzcy w rywalizacji wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej z prezydentem Poznania Jackiem Jaśkowiakiem. Ale i to nie jest pewne, skoro część polityków PO dopuszcza taki wariant, że zwycięzca prawyborów może ostatecznie nie być kandydatem tej partii na prezydenta. Posługując się analogią do „Kubusia Puchatka" Alana Alexandra Milne'a, można powiedzieć, że im bardziej zagląda się do środka przedsięwzięcia PO, tym bardziej prawyborów tam nie ma.

ANATOMIA USTAWKI

Formalnie 14 grudnia br. podczas Krajowej Konwencji Platformy Obywatelskiej (ok. 1,3 tys. delegatów z wszystkich

Fot. Szymon Mucha/Shutterstock.com

eprasa.pl 4dac2b45fe

regionów) zostanie wybrany kandydat tej partii na prezydenta RP. Podczas konwencji nie będzie już debaty rywalizujących pretendentów, lecz tylko ich prezentacje. Jedyna debata Małgorzaty Kidawy-Błońskiej z Jackiem Jaśkowiakiem odbędzie się 7 grudnia, ale nadal (przed 1 grudnia br., czyli w momencie pisania tego tekstu) nie wiadomo, na czym ma ona polegać i gdzie się odbędzie. Początkowo politycy PO mówili, że debaty mają być trzy, lecz okazało się, że będzie tylko jedna. Nie wiadomo też, jaką metodą delegaci zebrani na Krajowej Konwencji PO RP będą głosowali i czy w ogóle. A owi delegaci to, zgodnie z art. 56 statutu PO RP, osoby wybrane w wyborach bezpośrednich w powiatach, członkowie Rady Krajowej, Krajowej Komisji Rewizyjnej, Krajowego Sądu Koleżeńskiego oraz członkowie PO pełniący funkcje publiczne w państwie (zgodnie z uchwałą Zarządu Krajowego określającego, kto to konkretnie jest). Wszystko wskazuje na to, że wśród ok. 1,3 tys. delegatów dominują ludzie Grzegorza Schetyny, a przynajmniej byli nimi jeszcze kilka miesięcy temu. Czy nadal nimi są, to już może być problematyczne.

Zakładając, że Grzegorz Schetyna ma największy wpływ na delegatów, wynik prawyborów może się zasadniczo różnić od preferencji partyjnych dołów. A nawet od poparcia partyjnej nomenklatury najszerzej reprezentowanej wśród delegatów. Bo podziały widoczne ostatnio w Radzie Krajowej Platformy oraz klubie parlamentarnym zaszły już tak daleko, że wszystko jest możliwe. W gruncie rzeczy nie będzie zatem wiadomo, kogo właściwie reprezentuje kandydat wskazany na konwencji ani dlaczego został wybrany głosami delegatów i innych uczestników. Gdy więc tacy byli członkowie PO i przeciwnicy Grzegorza Schetyny jak Jacek Protasiewicz mówią, że prawybory w 2010 r. były ustawione, a te w 2019 r. będą ustawione jeszcze bardziej, to nie musi to być tylko wyraz ich frustracji i niechęci do obecnego przewodniczącego partii.

Formalnie kandydaci w prawyborach będą dysponować funduszem w wysokości 25 tys. zł dla każdego. Choć Małgorzata Kidawa-Błońska ma przewagę rozpoznawalności i uczestnictwa w ogólnopolskiej polityce, to Jacek Jaśkowiak może być promowany tak, że te 25 tys. zł będzie tylko ułamkiem realnych kosztów jego lansowania. Może otrzymać bowiem wszelką pomoc organizacyjną podczas spotkań i podróży po Polsce. Podobnie jak w 2010 r. taką pomoc otrzymał Bronisław Komorowski, a nie miał jej Radosław Sikorski. Jacek Protasiewicz mówi w listopadzie br., że gdy organizował na Dolnym Śląsku spotkanie z działaczami dla Sikorskiego, blokował je ówczesny szef regionu Grzegorz Schetyna działający na rzecz Komorowskiego. W szczegółach wyglądało to tak, że skarbnik regionu nie przyznał funduszy, spotkanie odbyło się w małej salce, a nielicznymi gośćmi byli działacze z Wrocławia. I tak miało być w całej Polsce.

> Dla Grzegorza Schetyny priorytetem jest wygrana w wyborach na szefa Platformy. Prezydenckie prawybory w partii są tylko po to, by ułatwić mu drogę do tego celu

PLAN SCHETYNY

To nie prawybory zdecydują, kto będzie kandydatem na prezydenta Koalicji Obywatelskiej, gdyż poza władzami PO nikt inny nie ma w tej sprawie nic do gadania (wygra ten, kogo wskażą). Ich reguły są wciąż tak niejasne dlatego, że wyłonienie kandydata PO na prezydenta to bodaj ostatni cel tego spektaklu. Wiedzieli o tym Rafał Trzaskowski, Bartosz Arłukowicz i Radosław Sikorski, gdy po kolei ogłaszali, że w prawyborach nie wystartują. Wiedzieli prezydent Łodzi Hanna Zdanowska i były prezydent Gliwic, a obecnie senator Zygmunt Frankiewicz, gdy nie dali się przekonać do startu mimo intensywnego namawiania. A zdaje się, że i sam główny macher, czyli Grzegorz Schetyna, jeszcze do końca nie wie, co chce prawyborami załatwić.

Jego absolutnym priorytetem jest wygrana w wyborach na szefa PO, a wszelkie krygowanie się i pogłoski, że nie musi wystartować, to żarty i zasłony dymne. Wyłanianie kandydata na prezydenta ma Schetynie pomóc w osiągnięciu tego najważniejszego celu. Dlatego w najbliższym otoczeniu przewodniczącego PO nie mają wątpliwości, że nie będzie on grał na Małgorzatę Kidawę-Błońską, mimo że sam ją wylansował jako kandydata na premiera w wyborach parlamentarnych, lecz na Jacka Jaśkowiaka. Wcale nie jest pewne, wbrew sondażom i powszechnym opiniom, że Kidawa-Błońska może prawybory wygrać. Gdyby chodziło o wybory powszechne wśród członków PO, jak było w 2010 r., miałaby ona zdecydowaną przewagę. Ale w wypadku wyboru przez delegatów na krajową konwencję proporcje mogą być inne. Dlaczego? Bo Grzegorz Schetyna uważa, że Jaśkowiak może mu pomóc wygrać wybory w partii, a Kidawa-Błońska nie kiwnie w tej sprawie palcem, a nawet może wspierać jego rywali, czyli Borysa Budkę i Bogdana Zdrojewskiego.

Prawybory na krajowej konwencji to także rozpoznanie aktualnego układu sił w Platformie i możliwość uwikłania głównych wrogów Schetyny w dodatkowe zadania, tak by nie mieli czasu knuć przeciw niemu lub ich zmarginalizowania jeszcze przed wyborami szefa partii. Powszechna formuła wyborów przewodniczącego PO, jak to było w styczniu 2016 r., wcale nie jest przecież pewna, mimo że statut partii stanowi, iż „przewodniczący Platformy wybierany jest w wyborach powszechnych przez wszystkich członków Platformy posiadających czynne prawo wyborcze" (par. 65 pkt 1). Statut może przecież zmienić krajowa konwencja, np. ta zbierająca się 14 grudnia br. A jeśli na konwencji udałoby się przeforsować Jacka Jaśkowiaka i zmienić statut tak, żeby przewodniczący partii też był wybierany przez to ciało, szanse Grzego-

eprasa.pl 4dac2b45fe

rza Schetyny na zwycięstwo wzrosłyby znacząco. Taki scenariusz jest możliwy, na razie bowiem na kształt prawyborów ma właściwie wpływ jedynie Grzegorz Schetyna. I musiał mieć kontrkandydata dla Kidawy-Błońskiej, żeby jego plan się nie zawalił. Prawybory to dla niego zbawienny czas, bo szybkie wybory przewodniczącego partii mogłyby znacznie ograniczyć jego szansę na sukces.

O ile podczas prawyborów w 2010 r. szef PO Donald Tusk nie musiał robić widowiska pod własne potrzeby, lecz zrobił je dla Bronisława Komorowskiego, a dla Radosława Sikorskiego zarezerwowano rolę drugoplanową, o tyle obecnie widowisko ma służyć głównie Grzegorzowi Schetynie, a lansowanie Jacka Jaśkowiaka jest zrozumiałe, skoro przewodniczący PO przewidział dla niego ważną rolę w swej ostatecznej rozgrywce – rolę głównego pomocnika w wyborach na przewodniczącego partii.

W 2010 r. chodziło także o to, żeby dzięki prawyborom na dalszy plan zeszły niewygodne dla rządzącej PO tematy, takie jak nadal wtedy gorąca afera hazardowa, oraz o to, by media interesowały się prawie wyłącznie sprawami PO. Obecnie również chodzi o ukrycie niewygodnych walk wewnętrznych i prób wysadzenia Schetyny z siodła, bo narzucenie własnej agendy większości mediów nie jest już możliwe, choć w pewnym sensie się udało.

KONFLIKT MIĘDZY CELEBRYTAMI

W 2010 r. prawybory były nowością w polskim systemie politycznym i to procentowało szczególnie w mediach. Z debaty między Bronisławem Komorowskim i Radosławem Sikorskim 22 marca 2010 r. w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego uczyniono polityczne wydarzenie sezonu i przedstawiono tak, jakby to były właściwie wybory prezydenckie. Były premier Józef Oleksy mówił wtedy: „Z powodu zaangażowania mediów w ten prawyborczy spektakl ludzie odnoszą wrażenie, że to już są wybory. To jest diaboliczny efekt tego pomysłu. W umysłach wielu ludzi wybory rozstrzygną się przed ich zarządzeniem".

PO całkowicie kontrolowała medialny przekaz, przez co ze swojej wewnętrznej imprezy uczyniła ważne wydarzenie ogólnopolskie. Teraz już tak łatwo nie będzie i pewnie Grzegorzowi Schetynie nie jest to potrzebne. Ale to, że także prawybory w 2019 r. mają być pokazem politycznego marketingu i manipulacji, czym były prawybory w 2010 r., byłoby dla lidera PO bardzo użyteczne.

Schetyna zapewne liczy na to, że skoro zmierzą się tak różne osobowości, jak Kidawa-Błońska i Jaśkowiak, zadziała mechanizm opisany przy okazji prawyborów w 2010 r. przez Jacka Żakowskiego, czyli tabloidowy „prosty konflikt między celebrytami, w dodatku uszlachetniony poważnym kontekstem wyborów prezydenckich". PO wydała w 2010 r. na prawybory nieco ponad 600 tys. zł, osiągając taki efekt, jak gdyby wydała grube miliony. A to dlatego, że prawybory zdominowały na kilka tygodni media informacyjne. Tylko w „Faktach" TVN i „Wiadomościach" TVP w okresie prawyborów pojawiło się 85 informacji (prawie 8 proc. wszystkich) odnoszących się do wyboru kandydata PO na prezydenta. Od tego tematu 18 razy rozpoczynały się „Fakty" i 6 razy „Wiadomości". A już ogłoszenie wyników prawyborów 26 marca 2010 r. na Politechnice Warszawskiej, transmitowane przez najważniejsze media, wyglądało jak ogłoszenie wyników prawdziwych wyborów prezydenckich: z pokazami grafik, podziałów na województwa, grupy wiekowe i typ wykształcenia czy miejsce zamieszkania (jako prezenter wystąpił wtedy Sławomir Nowak). A przecież chodziło tylko o partyjną imprezę z udziałem zaledwie 21 tys. głosujących – internetowo i drogą pocztową (na 46 tys. uprawnionych), a zwycięzca, Bronisław Komorowski, zyskał poparcie zaledwie ok. 14,4 tys. członków PO (68,5 proc. głosujących). Ale wielki spektakl medialny bardzo wzmacniał PO i jej kandydata na prezydenta.

> Dla Schetyny lepiej byłoby, gdyby wygrał Jaśkowiak, ale i wygrana Kidawy-Błońskiej go nie zmartwi, jeśli prawyborczy show pomoże odciągnąć uwagę od walk wewnętrznych o przywództwo

Obecnie kampania w stylu tej sprzed ponad dziewięciu lat nie jest już możliwa, a i nie jest potrzebna przede wszystkim Grzegorzowi Schetynie. Jeszcze mniejszym kosztem niż w 2010 r. PO zyskuje ogólnopolski rozgłos, czemu ma się przysłużyć wystawienie tak kontrowersyjnego kandydata jak Jacek Jaśkowiak. Ale właśnie o to chodzi, gdy Małgorzata Kidawa-Błońska jest do bólu poprawna i przewidywalna. Ma być show, a jego reżyserem Grzegorz Schetyna. W 2010 r. reżyserem był Donald Tusk. Wtedy główną rolę grał Bronisław Komorowski, obecnie Jacek Jaśkowiak. W 2010 r. łatwiej było „ustawić" wybory, choćby w sposób opisany przez Jacka Protasiewicza, mimo że były powszechne. Ale akurat Grzegorz Schetyna lepiej się czuje w rozgrywkach mniejszej skali, dlatego formuła z krajową konwencją jest dla niego efektywniejsza i wygodniejsza.

Dla Schetyny lepiej byłoby, gdyby wygrał Jaśkowiak, ale i wygrana Kidawy-Błońskiej go nie zmartwi, jeśli prawyborczy show pomoże odciągnąć uwagę od walk wewnętrznych o przywództwo, da mu rozeznanie w aktualnym układzie sił i czas na związanie rąk przeciwnikom w partii, a ostatecznie pozwoli wygrać wybory na przewodniczącego. A może wtedy, gdy wygra Kidawa-Błońska, pojawi się ktoś trzeci, kto w prawyborach nie brał udziału?

Tak czy owak show nie będzie już tak okazały jak w 2010 r., ale i cele są obecnie skromniejsze, a szansa na wygraną kandydata PO mniejsza. A ci, którzy traktują prawybory w PO bardzo serio, powinni zadać sobie pytanie, o co w tym wszystkim chodzi. Bardzo wiele wskazuje na to, że najmniej o same prawybory.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Fot. Andrzej Wiktor

Ludowy trybun

Zandberg ma zupełnie nowy pomysł na walkę z PiS. Siłą tego pomysłu jest to, że niczego nie gra i jest najzupełniej autentyczny w wierze w każdy z owych projektów, których zgłoszenie zapowiada. To właśnie owa wiara różni Zandberga od cynicznej, postkomunistycznej „starej lewicy" milionerów typu Czarzastego



JAN ROKITA

W sejmowej debacie nad inwestyturą dla rządu politycznie najciekawszy był głos Adriana Zandberga w imieniu lewicy. Widać to było szczególne wyraźnie na tle nużącej i tak dobrze znanej listy antypisowskich (słusznych i niesłusznych) sloganów, z jakich złożona została mowa Grzegorza Schetyny w imieniu PO. Albo w zestawieniu z wypowiedzianym bez przekonania, błahym przemówieniem Kosiniaka-Kamysza w imieniu PSL. Zandberg natomiast cały dotychczasowy konflikt rozdzierający Polskę (o konstytucję, praworządność, dyktaturę etc.) potraktował jednym zdaniem, w którym zapewnił premiera, iż komu jak komu, ale jemu samemu i jego partyjnym towarzyszom „nie zadrży ręka, kiedy nadejdzie czas rozliczeń". Zabrzmiało to (nawiasem mówiąc, chyba po raz pierwszy) tak wiarygodnie, że w sejmowych szeregach PiS nikt z sali nie zaprotestował, niczego obelżywego do mówcy nie krzyknął, nie roześmiał się z ironią. Panowała cisza.

Ale siła mowy Zandberga bierze się z czegoś całkiem innego. Była to bowiem mowa wygłoszona w kompletnie nowej dla polskiego Sejmu retoryce politycznej. Z takich pozycji jak Zandberg nikt nigdy dotąd nie krytykował żadnego polskiego rządu, a już zwłaszcza nie czynił tego wobec rządu PiS. Przeciwnie, przyzwyczailiśmy się do tego, iż to pisowcy skutecznie zwykli zamykać usta swoim oponentom, zarzucając im lekceważenie ludu, wzgardę dla społecznej sprawiedliwości, przywileje dla bogaczy, poniewieranie biednymi i słabymi. To zwłaszcza premier Morawiecki lubił dotąd występować w roli ideologicznego krytyka kapitalizmu, cytując przy tym Piketty'ego oraz piętnując nieuzasadnione zyski kapitału zagranicznego i liberalną wizję wzrostu gospodarczego jako „rozwoju zależnego".

Zandberg w całości przejął ów język opisu świata przez PiS, odwracając go i używając przeciwko Morawieckiemu i jego rządowi. Odwołał się więc do tych samych ludowych namiętności i pragnień, które dotychczas tak skutecznie potrafiło poruszać PiS, zyskując dzięki nim decydującą przewagę nad „starą opozycją". Tyle że jak każdy prawdziwy ludowy trybun Zandberg chce te namiętności i pragnienia jeszcze mocniej zradykalizować, dowodząc tezy, iż w gruncie rzeczy ekipa Morawieckiego to rząd liberalnych „banksterów" ukrywających się pod socjalną retoryką. I trzeba przyznać, że w sejmowej mowie z precyzją brzytwy ciął w te wszystkie rządowe polityki, w których można by obnażyć „złowieszczo liberalne" korzenie obecnej władzy.

Przechwałki premiera o mieszkaniach dla biednych to jakiś „ponury żart", skoro w ciągu czterech lat zbudowano 900 mieszkań. Dlaczego jest tak źle? Bo rząd za wszelką cenę chce się dogadywać z deweloperami, zamiast stworzyć państwową agencję budującą tanie

eprasa.pl 4dac2b45fe

mieszkania za budżetowe pieniądze. A przy okazji programu Mieszkanie+ PiS „przemyciło jeszcze ułatwienia eksmisji lokatorów". Opowieści premiera o drenażu Polski przez obcy kapitał są nie na miejscu, skoro Morawiecki nadal dopłaca przecież do „budowy amerykańskich i niemieckich montowni". Przekreślenie ustawy gwarantującej kres reprywatyzacji kamienic wzięło się nie z czego innego, jak z układności wobec interesów kamieniczników. „Sypanie się państwowej służby zdrowia" następuje dlatego, że w gruncie rzeczy obóz władzy pogodził się ze stanem, w którym bogaci „żyją o kilkanaście lat dłużej niźli biedni". Albowiem dla realnego zapewnienia bezpłatnej służby zdrowia (a to fundament „państwa dobrobytu, które premier odmieniał w exposé w co trzecim zdaniu") trzeba wielkiego wkładu pieniędzy. „Te pieniądze są – mówi Zandberg – tylko wy boicie się po nie sięgnąć". O ile bowiem rząd faktycznie „pogonił paru złodziei vatowskich" (co godne uznania), o tyle „stchórzył", gdy przyszło mu obciążyć bogaczy i korporacje wysokimi podatkami.

Morawiecki uprawia propagandę przeciw międzynarodowym korporacjom, ale to pozór, bo przecież tylko po to, „aby się im podlizać", skapitulował przy podatku od platform cyfrowych, liście leków refundowanych czy konfrontacji z taksówkami Ubera. Dlatego „ludzie pracujący dla państwa" są dyskryminowani płacowo i brakuje z hukiem zapowiadanych wielkich inwestycji publicznych. Tymczasem sam premier obnaża teraz „prawdziwą twarz bankstera", proponując opozycji rzecz – zdaniem Zandberga – niesłychaną: wspólne wpisanie do konstytucji „przywilejów dla banków" w dziedzinie emerytalnych planów kapitałowych. A z kolei „niepełnosprawnym dzieciakom" każe zapłacić za „podlizywanie się rynkom kapitałowym" obietnicą zrównoważonego budżetu (mowa o rządowej ustawie o zabraniu pieniędzy z Funduszu Niepełnosprawnych). Tu raz jeden padła obelga pod adresem władzy: ten ostatni pomysł oburzony mówca nazwał „podłością".

Zandberg idzie jednak dalej i zapowiada, że już wkrótce da Morawieckiemu i PiS „szansę" na dowiedzenie szczerości prospołecznych intencji. Lewica złoży bowiem w nowym Sejmie projekty następujących ustaw: o lekach na receptę za 5 zł; o wynagrodzeniach „ludzi pracujących dla państwa" co najmniej na poziomie 3,5 tys. zł; o likwidacji „śmieciówek"; o stałej indeksacji płacy minimalnej (tak by „nie zależała ona od widzimisię Kaczyńskiego"); o przeznaczeniu 7,2 proc. PKB na zdrowie; oraz o „certyfikacie płacowym" gwarantującym równość płac kobiet i zwiększającym uprawnienia Inspekcji Pracy. W każdym z tych projektów Zandberg „będzie z ciekawością czekać na głosowanie PiS". Jest jasne, że obalenie albo „zamrożenie" przez PiS każdego z tych projektów (a musi tak się stać), to uderzenie w kapitał ludowego zaufania, jaki PiS gromadziło z determinacją przez cztery lata.

> W samym PiS chyba tylko Kaczyński byłby jeszcze zdolny do przeciwstawienia się racjom Zandberga, w imię kluczowych interesów polskiego państwa i gospodarki

Zandberg ma zupełnie nowy pomysł na walkę z PiS. Siłą tego pomysłu jest to, że jako radykalny warszawski inteligent, wychowany na „oburzeniu" wobec liberałów i kapitalizmu, Zandberg niczego nie gra, ale jest (zwłaszcza na tle współczesnych polityków) osobiście przyzwoity i najzupełniej autentyczny w wierze w każdy z owych projektów, których zgłoszenie zapowiada. To właśnie owa wiara różni Zandberga od cynicznej, postkomunistycznej „starej lewicy" milionerów typu Czarzastego czy też od trzpiotowatego bon vivanta i libertyna Biedronia. Choć swoją drogą, to tylko dzięki nim Zandberg mógł się znaleźć w końcu w tym miejscu, w którym właśnie teraz się znalazł.

Istota kłopotu obozu władzy tkwi w tym, że Zandberg z wiarą i przekonaniem mówi to, co po kątach skrycie szepczą między sobą posłowie i działacze PiS. Posługując się przekonującą dla wielu pisowców ekonomiczną demagogią, skutecznie uderza w ich prawdziwe lęki i obawy. To wielce znamienne, iż po jego sejmowej mowie na portalu wPolityce, można było przeczytać redakcyjną analizę, wedle której: „intelektualna uczciwość każe przyznać, że Zandberg dość sprawnie recenzował socjalne obietnice PiS". Ta opinia dobitnie unaocznia obawy, jakie Zandberg budzi teraz w obozie władzy. Dla przeciętnego prosocjalnego pisowca retoryka tego ludowego trybuna musi być nie lada wyzwaniem. Każdy bowiem, kto go słucha, wyczuwa, że – inaczej niż Morawiecki, który musi „politykować", udawać, kluczyć – Zandberg wali prosto z mostu to, w co naprawdę wierzy. To właśnie z tej racji Zandberg jest i będzie na przyszłość lepszym ludowym trybunem od (jak się dotąd wydawało) niezłego w tej roli Morawieckiego.

Owszem, z Zandbergiem mogą walczyć ludzie o autentycznie liberalnych przekonaniach, tacy jak Jarosław Gowin – jeden z ostatnich polityków niekryjących się ze swą wiarą w rynek, albo kandydujący na szefa PO Bogdan Zdrojewski, otwarcie domagający się powrotu do podwyższenia wieku emerytalnego. Oni bowiem mają własny, radykalnie przeciwny wobec Zandberga język argumentacji, którym uczciwie mogą się w tej konfrontacji posługiwać. Już jednak dla Tuska czy Schetyny, którzy w ślad za PiS zabrnęli w retorykę „reform przyjaznych ludziom" (to słynny termin Tuska), polemika taka przyjdzie z trudnością. A dla Morawieckiego Zandberg w co drugim zdaniu przypominający mu o bankierskiej proweniencji jest polemistą zabójczym, niemal zamykającym usta. W samym PiS chyba tylko Kaczyński byłby jeszcze zdolny do jawnego i zuchwałego przeciwstawienia się racjom Zandberga, w imię kluczowych interesów polskiego państwa i gospodarki. Ciekawe, czy któregoś dnia zostanie zmuszony do takiej otwartej konfrontacji z Zandbergiem, jak równy z równym.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Jak przypisuje się Polsce antysemityzm i kto w kraju w tym pomaga

Najłatwiej byłoby wybrać z działalności jednej żydowskiej organizacji publikację zawierającą oskarżenia wobec Polaków, następnie zacytować płomienne przemówienia Grzegorza Brauna, wspomnieć o miliardach, które Polska musi zapłacić Żydom, i gładka opowiastka byłaby gotowa. Ale postarajmy się nie iść na łatwiznę



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Opisywanie mrocznych mocy dybiących na katolicką Polskę jest chwytliwe, ale naszemu państwu nie pomaga. Wręcz przeciwnie. W świecie naukowców badających Holokaust powstała machina, z której korzysta wielu nieuczciwych ludzi – dla sławy, pieniędzy i kariery. Autorzy szukają, wskazują lub sami wymyślają zjawiska antysemickie, a potem korzystają z grantów akademickich i poklasku establishmentu. Paliwem tej machiny jest rzekomy lub prawdziwy antysemityzm (ten autentyczny jest paliwem dużo lepszym). Prawicowi radykałowie skopiowali ten wynalazek, tylko napędzają go pomówieniami drugiej strony wobec Polaków. W ten sposób obie machiny się uzupełniają – ultraprawica krytykuje lewicowych profesorów i pozwala sobie na antysemickie wstawki, a nieuczciwi badacze Holokaustu pokazują radykałów i mówią: „Mamy materiał do badań". Istne perpetuum mobile.

OSKARŻYCIELE Z BROOKLYNU

Słuszne oburzenie wywołał tegoroczny raport Ligi Antydefamacyjnej (ADL), żydowskiej organizacji z USA. Publikacja wskazuje, jakoby w Polsce wzrost nastrojów antysemickich należał do największych spośród 18 badanych krajów. Metodologia ankiety była więcej niż wątpliwa. Ankietowani mieli np. określić, czy zgadzają się z takimi twierdzeniami jak: „Żydzi wciąż za dużo mówią o tym, co się im przydarzyło podczas Holokaustu" – najwięcej odpowiedzi na „tak" było w Polsce (73 proc.), a zdaniem ADL oznacza to stereotypowe antysemickie myślenie. Hiszpanie natomiast w 62 proc. są przekonani, że „Żydzi są bardziej lojalni wobec Izraela niż wobec państwa lub państw, w których mieszkają". Jak widać, marna to miara antysemityzmu. W Hiszpanii bowiem właśnie takie uzasadnienie o nielojalności było powodem wygnania Żydów w XV w.

Ale ułomna metodologia nie została stworzona z myślą o Polsce – na działalność ADL skarżą się także inne narody. Ormianie do dziś są oburzeni umniejszaniem przez nowojorską organizację rangi tureckiego ludobójstwa na swoim narodzie. Wielu publicystów i socjologów, także żydowskich, oburza się na próbę zredefiniowania antysemityzmu przez działaczy ADL. Historyk Edward Shapiro potępił pojęcie „nowego antysemityzmu", ukute w 1974 r. przez Arnolda Forstera i Benjamina Epsteina. Opisał tę manipulację jako polityczne narzędzie niektórych środowisk żydowskich. Jego zdaniem ADL postanowiło wykorzystać opinię publiczną w różnych krajach, wspierających w latach 70. Izrael. Shapiro pisze, że doszło jednak do skrajnej przesady: „Jeśli obojętność na żydowskie obawy [o Izrael] miała być papierkiem lakmusowym antysemityzmu, to cały świat był antysemicki". Inny żydowski autor, Norman Finkelstein, oskarża w swojej książce „Przedsiębior-

eprasa.pl 4dac2b45fe

stwo Holokaust", że niektóre środowiska zrobiły z tematu Zagłady maszynkę do robienia pieniędzy.

W tej kwestii uproszczenia, jakie stosuje wielu prawicowych publicystów, de facto wspierają koncepcje ADL, a utrudniają działalność tych żydowskich intelektualistów, którzy nie traktują innych narodów z góry. Jeśli jeden z ważnych portali prawicowych informuje o raporcie ADL słowami: „Żydzi ogłosili wyniki nowego raportu", to kogo uznaje za słuszny głos Izraela: szanujących nas amerykańskich Żydów czy tych, którzy chcą nas edukować? Skrótami myślowymi czy nawet prymitywnymi określeniami sami produkujemy paliwo dla nieżyczliwych środowisk.

OSKARŻYCIELE ZNAD WISŁY

Naukowcy, którzy zajmują się Holokaustem ze z góry założoną tezą o polskiej współwinie, mają swoje – nomen omen – złote żniwa. W 2017 r. prof. Barbara Engelking dostała z Narodowego Centrum Nauki grant w wysokości ponad 522 tys. zł na, jak czytamy w opisie projektu, „pogłębienie refleksji i doprecyzowania" kwestii obojętności na Zagładę Żydów w czasie II wojny światowej. „Celem projektu jest także redefinicja samej kategorii – »świadek« bowiem może oznaczać zarówno widza, obserwatora, jak i biernego czy czynnego uczestnika wydarzeń" – pisze prof. Engelking. Gdyby bukmacherzy pozwolili obstawić wyniki badania, warto by postawić swój cały życiowy dorobek na taki jego rezultat, w którym Polacy okażą się takimi „świadkami Holokaustu", że powinni być traktowani jako współsprawcy. Prof. Engelking wraz z innymi autorami, m.in. Janem Grabowskim, wydali przecież książkę „Dalej jest noc", w której dzięki manipulacji źródłami, zmianie nazw instytucji i jednostek mundurowych oraz wybiórczemu traktowaniu źródeł przekonywali, że Polacy byli w czasie okupacji bestiami ze szczególnym okrucieństwem mordującymi Żydów.

Schemat jest bardzo przemyślany. Badacze najpierw opracowują źródła dotyczące Holokaustu, źródła, do których bardzo nieliczni mają dostęp – Grabowski wydał np. wspomnienia Żyda Fajwela Bielawskiego, który przeinaczył przebieg likwidacji getta w Węgrowie. Następnie Grabowski wydał książkę „naukową", opierając się na źródłach, które sam wydał (m.in. Bielawskim). Na tej podstawie sformułował tezę, że Polacy zamordowali 200 tys. Żydów. To stwierdzenie wykorzystał „Newsweek", który w kwietniu 2018 r. zaskoczył Polskę okładką z podpisem: „Jak Polacy dobijali Żydów".

Oto etapy oskarżania Polaków o mordowanie Żydów: wydawanie zakłamanych źródeł – publikacja nierzetelnych książek na podstawie tych źródeł – formułowanie oszczerstw – antypolska publicystyka. Proste? Być może – ale przygotowywane starannie i od wielu lat.

> Obie te machiny się uzupełniają – ultraprawica krytykuje lewicowych profesorów i pozwala sobie na antysemickie wstawki, a nieuczciwi badacze Holokaustu pokazują radykałów i mówią: „Mamy materiał do badań"

PRZEWAGI OSKARŻYCIELI

Liga Antydefamacyjna powstała w 1913 r., gdy antysemityzm, jak się później okazało, zaprowadził świat do ludobójstwa. Choć założenia ADL były słuszne, przez lata Liga ewoluowała jednak w stronę politycznych nadużyć, wypracowując skuteczne metody działania. Engelking i Grabowski swoją aktywność prowadzą od ponad dekady, a ich publikacje zyskują wsparcie medialne, słowem: darmową reklamę na okładkach czasopism. Ich strategia idzie śladami Jana Tomasza Grossa. Zanim powstanie książka w pełny sposób rozprawiająca się z błędami publikacji, „Dalej jest noc" będzie przetłumaczona na angielski.

LEKARSTWO GORSZE NIŻ CHOROBA

Przy słuszności oburzenia na tę kampanię budzi wątpliwości np. to, czy aby strategia Wojciecha Sumlińskiego i wspierających go polityków Konfederacji przyniesie Polsce korzyści, czy też stanie się paliwem dla wspomnianej lewicowej machiny propagandowej. Właśnie ukazała się publikacja „Powrót do Jedwabnego" z okładką przedstawiającą klęczącą Polskę wręczającą pieniądze – w domyśle Żydom, reklamowana słowami, że Gmina Żydowska zabrania jej promocji. Praca Sumlińskiego, Ewy Kurek i Tomasza Budzyńskiego pozbawiona jest przypisów, a przy tak delikatnej materii transparentność powinna być na pierwszym miejscu. Atakują oni także Jonny'ego Danielsa, który działa na rzecz historycznej prawdy o polsko-żydowskich relacjach, tym samym osłabiając poparcie dla działacza, który Polskę wspiera.

Do tego wiec czytelników Sumlińskiego z 25 listopada, na którym mówcy negatywnie wypowiadali się o Żydach, nie ułatwia dyskusji. Bo jak bronić słów, które padły ze sceny, że co prawda Żydzi są starszymi braćmi, ale „pamiętajmy, że starszym bratem był także Kain".

Określenie Żydów Kainami, a więc mordercami młodszych braci, w kontekście ofiar niemieckiej, hitlerowskiej Zagłady to więcej niż niestosowność. Braun drwiący po odśpiewaniu „Roty", że grozi nam nie „krzyżacka", ale – w domyśle żydowska – zawierucha, to dobry materiał dla ADL, by szkalować Polskę. A kampania wyborcza związana z histeryczną interpretacją amerykańskiej ustawy 447 i sugerowanie, że Żydzi zrujnują Polskę, to intoksykowanie społeczeństwa tezą nie do udowodnienia.

Czy wśród Żydów są środowiska niechętne Polsce? Owszem. Czy powinniśmy się bronić przed oszczerstwami? Absolutnie tak! Jednak demokratyczny i osieciowany instytucjami świat Zachodu zmienia się poprzez mozolną pracę, edukację i soft power, przez to, nad czym pracują Instytut Pamięci Narodowej (przygotowując opracowania naukowe), Polska Fundacja Narodowa (rozwijając sieć kontaktów, także z żydowskimi organizacjami), przez działania stowarzyszeń (m.in. From the Depths Foundation Jonny'ego Danielsa). Ale łatwiej wołać na tłumnych spotkaniach, że oto zagrażają nam Żydzi (wszyscy?), niż powołać think tank zmieniający zły wizerunek Polski. Łatwiej pokrzyczeć – lepsze to dla polityków potrzebujących wyborców. Ale lepsze też dla antypolskich organizacji na Zachodzie.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Pozwólmy dzieciom być dziećmi



DOROTA ŁOSIEWICZ

Dziewczynki wyglądające jak dorosłe kobiety, w mocnych makijażach i dalekich od niewinności kreacjach. Lolitki. Show-biznes, lansując nastoletnich idoli, kreując kulturowe wzorce, coraz częściej odziera dzieci z dzieciństwa. Ale uruchamia także bardziej niepokojące zjawisko

Nie wierzę, to niemożliwe! – taki wrzask rozległ się w moim domu, gdy okazało się, że Viki Gabor wygrała konkurs dziecięcej Eurowizji. Wrzeszczała oczywiście moja 14-letnia córka, która wierzyła w zwycięstwo reprezentantki Polski. Ja uparcie twierdziłam, że to niemal niemożliwe, bo do tej pory żaden kraj nie wygrał dwa razy z rzędu. Choć nie miałam wątpliwości, że piosenka reprezentantki Polski była idealnie „skrojona" pod ten konkurs, a jej wykonawczyni po prostu świetna. Jedna rzecz tylko nie dawała mi spokoju. Że dzieci na scenie coraz częściej wyglądają jak dorośli.

– Tylko nie widać po niej, że ma 12 lat – skomentowałam.

– A myślisz, że lepiej wyglądałaby w różowej sukience i z kokardą we włosach?! – rzuciła się w obronie Viki moja Maja.

Aż tak, to może nie, ale nie musi od razu wyglądać na 20-latkę – pomyślałam w duchu, żeby już nie mącić radości córki. Okazało się, że jednak nie tylko ja miałam po konkursie taką refleksję. „Może i się czepiam, może nie znam się na modzie, ale czy to odpowiedni strój dla 14-latki? Przecież to ogląda cała Europa!" – pytał na Twitterze użytkownik o nicku Mateusz o stylizację Roksany Węgiel, która współprowadziła show.

– Z mojego doświadczenia zawodowego, a często maluję dzieci na scenę teatralną, wynika, że dzieciom tylko delikatnie podkreśla się urodę: trochę pudru, transparentny błyszczyk, tusz do rzęs. Scena muzyczna rządzi się oczywiście nieco innymi prawami niż teatr – zauważa Joanna Wasilewska, charakteryzatorka.

Na powszechne wśród nastolatków naśladownictwo i pęd do identyczności zwraca natomiast uwagę Anna Śmigielska, mama trzech synów.

– Dziś dzieci chętnie stylizują się na starsze. Widać to w mediach społecznościowych, w galeriach handlowych, na ulicach. Wszystkie dziewczynki są do siebie podobne, fotografują się z wydętymi w dzióbek ustami. Dziewczynki wyglądają jak klony influencerek – zauważa Anna Śmigielska z Fundacji Wolność i Demokracja. – Może tu chodzi o brak autorytetów lub o to, że jak się nie ma nic do powiedzenia, to się nadrabia wyglądem – zastanawia się.

Nie będzie kłamstwem, jeśli napiszę, że dziewczynki od zawsze lubiły uda-

eprasa.pl 4dac2b45fe

wać dorosłe kobiety. Moja czterolatka chętnie paraduje po domu w moich szpilkach, a dziewięciolatka bawi się moją szminką.

Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy niewinna zabawa przybiera formę przedwczesnej seksualizacji nastolatek. W Polsce tym tematem od lat zajmuje się m.in. Stowarzyszenie „Twoja Sprawa". Temat żywy jest także na świecie. W 2005 r. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne (American Psychological Association – APA) powołało grupę roboczą, by zajęła się zjawiskiem seksualizacji dziewcząt. Dyskusję o przedwczesnej dorosłości ożywiła kilka lat temu m.in. okładka magazynu „Vogue", na której pokazano ucharakteryzowaną na wampa 10-letnią dziewczynkę. Nieletnia modelka pozowała, leżąc na łóżku w pełnym makijażu, w wyzywających kreacjach i szpilkach. Na jednej z fotografii prowokowała nawet dużym dekoltem. Zdjęcia wyzywającej lolitki wywołały falę oburzenia. „To przerażające, gdy dorośli wykorzystują dzieci w ten sposób. Walczymy z pornografią dziecięcą i pedofilią, a tutaj otrzymujemy zdjęcia 10-latki, które pokazują ją w sposób prowokacyjny" – grzmiała wówczas Bernice Dietrich, słynna komentatorka „Los Angeles Times".

– Faktycznie mamy taką tendencję, że dzieci chcą jak najszybciej być dorosłe, żeby osiągnąć ten swój wymarzony i upragniony sukces – mówi Joanna Radziwiłł, żona świeżo wybranego wojewody mazowieckiego, mama ośmiorga dzieci. – Dzieci mają przekonanie, że świat stanie przed nimi otworem, dopiero jak będą dorosłe. Nie doceniają tego, że są dziećmi, i mając 12 czy 14 lat, powinny żyć po prostu jak dzieci. Także dorośli nie mogą zapominać o tym, że mają do czynienia z dziećmi i nie powinni ich traktować jak dorosłych, żeby im nie odebrać dzieciństwa. Dzieci rozwijają się w określonym tempie, dojrzewa ich psychika, dostosowuje do dorosłego świata. Tego procesu nie można przyspieszyć – nie ma wątpliwości Joanna Radziwiłł. – Przeskoczenie czy też próba pominięcia dzieciństwa mogą być zwyczajnie niebezpieczne dla psychiki młodego człowieka. Poza tym, gdy inne 12-latki patrzą na swoją idolkę, też chcą tak wyglądać – dodaje.

Wreszcie warto zadać sobie pytanie, czy przebierając dzieci za dorosłych, niechcący nie stwarzamy pożywki dla wszelkiej maści dewiantów.

– Z przedwczesną seksualizacją mamy do czynienia wszędzie. W telewizji, reklamie, na billboardach. Dotyczy to także stroju. Jak się potem dziwić, że ktoś nie odróżnił osoby 18-letniej od 12-letniej czy 14-letniej, skoro gołym okiem nie widać między nimi różnicy – zauważa Anna Śmigielska. – Z drugiej jednak strony mamy taki trend, że matki wyglądają na coraz młodsze i chętnie upodobniają się do swoich córek. Takie więc zamazywanie wieku jest coraz powszechniejsze – zauważa Śmigielska.

> Dziewczynki od zawsze lubiły udawać dorosłe kobiety. Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy niewinna zabawa przybiera formę przedwczesnej seksualizacji nastolatek

Bez wątpienia podejście rodziców do tzw. kariery czy wyglądu ich dzieci jest nie do przecenienia. Rega Bailey, dyrektor zarządzający jednej z największych organizacji brytyjskich Mothers' Union, pytał kilka lat temu na konferencji „Odebrana niewinność" zorganizowanej w polskim Sejmie: „Czy będziemy dalej pozwalać na to bezmyślne płynięcie z prądem zseksualizowanego społeczeństwa, w którym żyjemy, czy też postaramy się odwrócić ten trend, a także dać naszym dzieciom emocjonalną odporność? Musimy zaciągnąć hamulec, by zatrzymać ten bezmyślny dryf i pomóc dzieciom zrozumieć wpływy potencjalnie szkodliwe, a także stawić opór, kiedy się z nimi zetkną. Jeśli chcemy, by dzieci były dziećmi, rodzice muszą być rodzicami".

– Pamiętajmy, że za każdym dzieckiem stoi rodzic. Rodzice mają dużo do powiedzenia. Czasem za dużo. Przeważnie to właśnie rodzice naciskają, żeby dzieci malować mocniej, a najbardziej robią to mamy – twierdzi Joanna Wasilewska. – Często rodzi się konflikt między rodzicami a reżyserem czy charakteryzatorami, gdy rodzice zbyt mocno naciskają na „dorosłą" charakteryzację. Z drugiej strony dzieci chcą wyglądać jak dorosłe, bo czują, że właśnie tego oczekują od nich rodzice, i błędne koło się zamyka – tłumaczy charakteryzatorka.

Stowarzyszenie „Twoja Sprawa" w raporcie „Odebrana niewinność" opublikowanym w 2014 r. biło na alarm: „Seksualizacja powoduje z jednej strony ogromne koszty społeczne i ekonomiczne, ale, co ważniejsze, jest procesem, który wynaturza drugiego człowieka, zmienia perspektywę jego postrzegania, kradnie niewinność i odbiera dzieciństwo chłopcom i dziewczętom".

– Widzę zasadniczą rolę ojców w tym, by nie pozwalać dziewczynkom przedwcześnie i niepotrzebnie dorastać – punktuje Śmigielska. – To ojciec ma pokazać córce, że akceptuje jej wygląd. Każdy. Kocha ją taką, jaka jest. Dziewczynka nie musi wyglądać jak modelka czy gwiazda estrady, by czuła się kochana i doceniania.

– Racja. W naszym domu mąż miał duży wpływ na wygląd córek. Często też zwracał uwagę na to, jaką niepożądaną reakcję może wywołać taki, a nie inny strój u płci przeciwnej – zauważą Joanna Radziwiłł. – Tak sobie myślę, że to szczęście, że moje córki nie żyły w czasach takiej presji na wygląd, makijaż. Szkoła stawiała wymagania, trzeba było się odpowiednio ubrać. Zresztą w większości szkół obowiązuje dress code: nie można malować paznokci, farbować włosów, nosić zbyt krótkich spódnic czy spodenek. Jeśli będziemy się trzymać tych reguł, będzie dobrze – podsumowuje Joanna Radziwiłł.

Ciesząc się wielkim sukcesem reprezentantki Polski na Eurowizji Junior, pamiętajmy także o tym, by po prostu pozwolić dzieciom być dziećmi. Na dorosłość mają całe życie.

Fot. PAT

eprasa.pl 4dac2b45fe



„Solid Gold”, czyli prawicowa narracja o III RP

To zupełnie absurdalne, że akurat ten film podczas tegorocznego festiwalu filmowego w Gdyni został uznany za półkownika obecnej władzy. Jacek Bromski nakręcił plakatowy, sensacyjny film, w którym widzimy esbeków sterujących całym systemem w Polsce



ŁUKASZ ADAMSKI

„Solid Gold” w zupełnie kuriozalny sposób stał się elementem politycznej walki w Polsce. Nie dlatego, że jest wariacją na temat afery Amber Gold i powinien być szczególnie mocno po myśli rządzącej ekipy, a nie opozycji. A jednak przez nieporozumienia na linii współproducenta filmu TVP i jego reżysera Jacka Bromskiego został on usunięty i chwilę potem przywrócony do Konkursu Głównego 44. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Według Bromskiego film wycofano pod naciskiem TVP, po tym jak nie zgodził się na „przemontowanie filmu i jego propagandowe wykorzystanie przed wyborami”. TVP odpowiedziała w oświadczeniu, że to właśnie Bromski zdecydował się go ocenzurować, wycinając kluczowe sceny nawiązujące do afery Amber Gold, dlatego film ostatecznie nie przeszedł kolaudacji. „W rezultacie powstał wyabstrahowany z realiów film o niczym, który na domiar złego reżyser wydłużył o pół godziny (!) do 140 minut, łamiąc umowę koproducencką zakładającą fabułę o długości 110 minut” – można było przeczytać w oświadczeniu władz TVP. Ostatecznie TVP rozwiązała umowę z producentem Akson Studio. Producent musiał zwrócić koproducentowi TVP 2,5 mln zł. Nie chcę oceniać tej sprawy, na festiwalu byłem bowiem z ramienia TVP Kultura i nadal pracuję telewizji będącej jedną ze stron konfliktu. W całej awanturze interesuje mnie coś innego.

ABSURDALNA WOJNA O FILM

Los filmu Jacka Bromskiego na festiwalu pokazuje, że wszystko już w Polsce ma wymiar walki politycznej. Nie ideologicznej, lecz właśnie politycznej i partyjnej. Sugestia, że „Solid Gold” został usunięty z festiwalu, bo był niewygodny dla rządu Zjednoczonej Prawicy, wydaje się absurdalna w kontekście tego, jak ten obraz wygląda. Bromski nie tylko nakręcił film o aferze symbolizującej lata rządów obecnej opozycji, lecz również roztoczył wizję wpisującą się w wielu kwestiach w prawicową narrację.

Jest to wizja mówiąca, że w Polsce prawdziwe rządy sprawują... generałowie byłej SB stojący za każdą większą aferą. „Solid Gold” przypomina film Ryszarda Bugajskiego „Układ zamknięty”. Nie tylko dlatego, że oba się rozgrywają w Trójmieście i jedną z głównych ról gra Janusz Gajos. Oba filmy w podobny sposób pokazują patologię III RP. Oba są też staromodnymi sensacjami rodem z lat 90. Nie jest to zaskoczenie, skoro reżyserem jest Bromski, twórca „Zabij mnie glino”, „To ja złodziej” czy „Anatomii zła”. Tym razem Bromski jest jeszcze bardziej dosłowny i plakatowy. „Solid Gold” to obraz trójmiejskiego układu ochrzczonego mianem „małej Sycylii”, gdzie gangsterzy, politycy, biznesmeni i policjanci żyją w symbiozie. Nikt nikogo nie sypie, wszyscy się znają, a organa ścigania są jak małpka z zasłoniętymi uszami i oczami. Każdy, kto oglądał posiedzenia komisji śledczej ds. Amber Gold i czytał artykuły śledczych dziennikarzy, ten poznał to specyficzne hermetyczne środowisko.

Kaja Miller (Marta Nieradkiewicz) podczas nieudanej policyjnej obławy na trójmiejskiego gangstera zostaje porwana i zgwałcona. Udaje jej się zabić oprawcę i uciec. Zamiast medalu zostaje jednak zwolniona z pracy. Policja nadepnęła na odcisk potężnym w Trójmieście ludziom i potrzebuje kozła ofiarnego. Po ośmiu latach ściąga

eprasa.pl 4dac2b45fe



Fot. Kino Świat

ją do specjalnej jednostki jej były szef Nowicki (Janusz Gajos), rozpracowujący sprawę piramidy finansowej, za którą stoi „nietykalny" biznesmen Tadeusz Kawecki (Andrzej Seweryn). Kawecki to ikona Pomorza. Na jego imprezach bawią ministrowie, celebryci, dziennikarze i śmietanka towarzyska z całej Polski. Kawecki za maską filantropa i szanowanego biznesmena kryje twarz brutalnego gangstera, który za pomocą swoich siepaczy (Piotr Stramowski, Krzysztof Stroiński) bezwzględnie eliminuje wrogów.

ZGODNY Z NARRACJĄ ZWOLENNIKÓW LUSTRACJI

A więc klasyczna sensacja? Tak. I to momentami bardzo schematyczna. Mamy tu wyświechtane postacie na czele z niedogolonym i spoconym gliniarzem, twardzielem o twarzy Marcina Czernika. Mamy starego psa (Gajos) z przetrąconym przez system kręgosłupem, który ostatni raz chce złapać złych ludzi. Mamy też obsadowe wtopy. Piotr Stramowski bawi jako kiler w gajerze, zamiast wzbudzać niepokój. Szczególnie kiedy wypowiada swoje teksty z gracją kogoś, kto nie może się wypróżnić. Był bardziej wiarygodny jako Majami u Vegi, a przecież i tam przywdział znoszone garnitury Dorocińskiego.

Najbardziej jednak zaskakuje wymowa „Solid Gold", która jest wyjęta z prawicowej publicystyki. Okazuje się, że wszechmocny Kawecki nagle zamienia się w przestraszonego kundelka, gdy idzie prosić o pomoc tajemniczego generała (Olgierd Łukaszewicz). Ten kręci wszystkim. Jest wręcz komiksowym generałem (w domyśle z byłej SB), mającym swoje macki w każdej branży polskiej gospodarki. „Jesteśmy zaniepokojeni naturą twoich interesów. Ale pomożemy ci. Raz z nami, na zawsze z nami" – mówi Kaweckiemu. A więc za aferami III RP stoją agenci SB i ich mocodawcy? Ba, generał przyznaje, że „ci z listy najbogatszych Polaków zaczynali z nami". Takie tezy w filmie artysty kojarzonego z prawicą zostałyby brutalnie wyśmiane przez liberalne media. Zresztą za to był krytykowany podobny w wymowie film Bromskiego „Uwikłanie". Bromski, jak wielu na prawicy, podobnie diagnozuje problemy III RP, do czego nieraz się przyznawał. Realizując zbiorczy film na 25. rocznicę powstania Solidarności, nakręcił etiudę „I wie pan co?", gdzie były opozycjonista zostaje upokorzony, prosząc o kredyt prezesa banku. Prezes banku, w tej roli Janusz Gajos, w PRL był prokuratorem i skazywał opozycjonistów.

„Zaraz po zmianie ustroju podchodziliśmy do tych przeobrażeń bardzo optymistycznie. Kapitalizm i gospodarka rynkowa jawiły nam się jako idealistyczne twory mające wprowadzić do naszego życia zachodnioeuropejską normalność. Z czasem zaczęliśmy się orientować, jakie tkwią w tym systemie pułapki i zagrożenia. Teraz, po 30 latach, widać dokładnie, jakich błędów można było uniknąć, ale wtedy cały ten proces w swojej gwałtowności musiał generować różnego rodzaju koszty, z którymi borykaliśmy się przez wiele lat" – mówił Bromski, odpowiadając na pytanie portalu sfp.pl o podobieństwa „Solid Amber" do swojej etiudy. Czyż nie jest to ponura ironia, że taki film jak „Solid Gold" zyskał miano niemal półkownika IV RP? Co prawda takiego zamkniętego na 48 godzin i wypuszczonego z braku dowodów winy, jednak to jest kuriozalne.

> Sugestia, że „Solid Gold" został usunięty z festiwalu, bo był niewygodny dla rządu Zjednoczonej Prawicy, wydaje się absurdalna w kontekście tego, jak ten obraz wygląda

TO NIE JEST POLSKA „GORĄCZKA"

„Solid Gold" to obraz zrobiony według schematu kina sensacyjnego lat 90. w stylu „Ekstradycji". Film, który ma nawet kilka zabawnych i ironicznych wrzutek. Pijący bourbona Maciej Maleńczuk krzyczy, że ma wszystko w d... podczas oglądania w telewizji „Cichej nocy" Piotra Domalewskiego. Film ten wyprodukował i odebrał za niego Złote Lwy m.in. Jacek Bromski. Czy chce powiedzieć, że ma wszystkie artystyczne oczekiwania krytyków do jego sensacyjnego filmu, tam gdzie świat ma postać grana przez Maleńczuka?

Wielkiego dzieła sensacyjnego na miarę „Gorączki" Michaela Manna się nie spodziewajcie. Nawet jeżeli spotkanie na szczycie między uczciwym gliniarzem granym przez Gajosa i cynicznym bandziorem o klasie Seweryna jest wzorowane na aktorskim pojedynku De Niro z Pacino. „Solid Gold" to średniej klasy sensacja, która w USA od razu trafiłaby na rynek VOD. W Polsce się spodoba choćby przez obsadę i schemat sensacyjnego kina, które masowy widz lubi. Dystrybutorowi spadła więc awantura na festiwalu z nieba. Można budować mitologię, która takiemu filmowemu przeciętniakowi się bez wątpienia przyda.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Jestem przygotowany na zimny prysznic

Wiem, że w Sejmie nie zawsze będzie miło i cukierkowo – mówi Robert Gontarz, poseł Prawa i Sprawiedliwości, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Rocznik?
Robert Gontarz: 1993. Mam 26 lat.

Jest pan najmłodszy w tej kadencji. Studia?
Matematyka i ekonomia.

Jak to się stało, że 26-latek ma dziś legitymację poselską?
Stara benedyktyńska metoda: ora et labora.

Widziałem w lokalnej „Wyborczej": podobno wymodlił pan sobie Sejm.
Tak, ale pracy też było sporo. Podczas kampanii odmawiałem nowenny m.in. do św. Judy Tadeusza i św. Rity – patronów ds. beznadziejnych. Dobry, sprawdzony duet od czasów studiów.



Widział pan dostanie się do Sejmu jako sprawę beznadziejną?
To patroni spraw beznadziejnych i szczególnie trudnych. Powiedzmy, że kampania do Sejmu była szczególnie trudna.

Koledzy w partii pewnie zachwyceni, że 26-latek z 14. miejsca na liście przeskakuje w wyborach starych wyjadaczy.
Trzeba by pytać kolegów, ale nie było tak źle [śmiech]. Po wyborze dostawałem sygnały o wsparciu i zapewnienia o udzieleniu rad.

Proszę nie słuchać tych rad. Skąd w ogóle wziął się panu ten pomysł na politykę?
Moja przygoda z polityką zaczęła się w 2012 r., gdy zostałem wybrany na młodzieżowego marszałka Sejmu.

Czyli pan tu przy Wiejskiej już był.
Tak. To był dla mnie ogromny zaszczyt, traktowany raczej jako przygoda niż coś naprawdę poważnego.

Był pan wtedy w wieku maturalnym: pojawiła się z tyłu głowy myśl: „Chcę tu wrócić już na poważnie"?
Przyznam szczerze, że tak. Rozmawialiśmy z kolegami i zastanawiałem się, w tym roku 2012, pisząc trochę palcem na piasku: za trzy lata pewnie się nie uda, za siedem pewnie też nie, ale może w roku 2023... Tak to widziałem wtedy. Startowałem w roku 2015, zdobyłem jedynie 2877 głosów, ale to z założenia miało być przetarcie szlaków, później zostałem radnym wojewódzkim.

Mówią, że taka droga kariery w partii jest mocno zablokowana.
Przydatna w tej drodze jest metoda Adama Małysza: by nie myśleć o tym, żeby wygrać, ale oddać dwa dobre skoki. Przenosząc tę myśl na drogę partyjną, nie myślałem o sukcesie, ale o dobrze wykonanej robocie.

Czyli roznoszone ulotki. Brzmi super.
Tak, na początku trzeba było roznosić ulotki, zbierać podpisy, pomagać innym. W końcu ktoś zaczyna dostrzegać nasze możliwości i potencjał. W roku 2015 zdawałem

eprasa.pl 4dac2b45fe



sobie sprawę, że nie mam szans się dostać, ale chciałem się pokazać i udowodnić, że jeśli ktoś mi zaufa, to ja tego zaufania nie zawiodę. W końcu już wtedy spośród wszystkich kandydatów z mojego powiatu zrobiłem najlepszy wynik.

26 lat to w polityce wiek trampkarza.

Tak, odczułem to zresztą w kampanii. Mam 26 lat, startowałem z 14. miejsca, mało kto dawał mi jakiekolwiek szanse, a lokalny sondaż nie brał mnie nawet pod uwagę. Jednak wielu wyborców doceniało pracowitość i odbierało mnie jako młodego, dobrze wykształconego człowieka, który jest pełen energii.

Jak jeszcze wyglądają te barwy kampanii?

Kampania trwała kilkanaście godzin dziennie każdego dnia – codzienne spotkania i rozmowy z ludźmi na ulicach, ulotki, plakaty, łącznie kilkaset kilometrów w nogach. Bywało ciężko. Czasem bawiło mnie, gdy widziałem kandydatów do Sejmu, którzy chodzili w lakierkach, bo wiedziałem, że to tylko wyjście pod sesję zdjęciową. Nie da się codziennie po kilkanaście godzin rozdawać ulotek w takich butach.

Mówi pan jak młody poseł z KO Franciszek Sterczewski. On nawet w tych wygodnych butach do Sejmu przyszedł.

To zupełnie co innego. Nie można przychodzić do Sejmu w butach sportowych, chociażby przez szacunek i powagę tego miejsca. Poza tym takie zachowanie wygląda mi na polityczny teatr, w myśl zasady – nieważne, jak mówią, ważne, by mówili. Takie działania są zupełnie nie w moim stylu.

Dobrze, zostańmy chwilę w Sejmie. Wrzucił pan do internetu zdjęcie z obrad po pierwszej w nocy. Co prawda w towarzystwie marszałek Witek, ale jednak. Nie przeszkadza?

Pamiętam, jak jeszcze przed wyborami w 2015 r. pani marszałek, jako ówczesny rzecznik prasowy PiS, toczyła wiele słownych batalii z przedstawicielami PO, w mojej opinii zawsze wychodząc z nich zwycięsko. Jednocześnie podczas tych dyskusji zachowywała pełną kulturę i opanowanie, co nie zawsze jest takie łatwe. Już wtedy byłem pełen podziwu dla pani marszałek. Poza tym możliwość zrobienia zdjęcia z drugą osobą w państwie to zaszczyt.

Tak czy inaczej, nawet robiąc zdjęcia na fejsa, będzie pan siedział do pierwszej czy drugiej w nocy, a w Sejmie znaczył niewiele. Trybik w maszynie.

Jeśli dalej będę szedł dotychczasową drogą, to na pewno będę w stanie dużo zdziałać. Tak jak podczas kampanii była ciężka praca, tak i teraz trzeba ciężko pracować, a siedzenie do późna mi nie przeszkadza, szczególnie że jestem typowym nocnym markiem. Nie nakręcam się, małymi krokami można przejść długi dystans.

Jaki ma pan pomysł na siebie w Sejmie? Jedni wchodzą tutaj z przytupem, inni pozostają do końca niemal nieznani, jak szare myszki.

Przede wszystkim należy rozmawiać merytorycznie. Wykrzykiwanie zjadliwych słów nie na temat nie za bardzo pasuje do mojego charakteru. Można, a nawet czasem trzeba mówić ostro i dosadnie, jednak zawsze należy pamiętać o kulturze wypowiedzi. Poza tym szara myszka, choć czasem niewidoczna, może być bardzo skuteczna.

Co to całe młode pokolenie może wnieść do Sejmu?

Będę chciał mówić jedynie o naszym obozie politycznym, bo ciężko mi opowiadać o tym, co do Sejmu chce wnieść pewna posłanka KO, której dotychczasowa działalność polegała głównie na wywoływaniu skandali. W mojej opinii

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4dac2b45fe

młode pokolenie powinno wnieść dużo świeżych pomysłów, znaczne pokłady energii i otwarty umysł na niebanalne rozwiązania. Jednakże trzeba pamiętać, że rewolucja pokoleniowa nie jest dobra – w Sejmie trzeba nam doświadczonych ludzi. Premier Morawiecki powiedział kiedyś w przemówieniu, że młodzi ludzie szybciej potrafią biegać, ale starsi lepiej znają drogę, i o tych słowach trzeba pamiętać.

Jak pan widzi to szybkie bieganie dla siebie?

Oprócz szybkiego biegu ważny jest właściwy kierunek, a ten najlepiej poznać, pytając ludzi o drogę. Dlatego chcę dużo rozmawiać z mieszkańcami o tym, co jest dla nich naprawdę ważne, jakie dostrzegają problemy w naszym regionie i czym powinienem się zająć. PO przegrała wybory, bo w jej mniemaniu wiedziała wszystko najlepiej. Wiedziała, jak długo ludzie mają pracować i kiedy posyłać dzieci do szkoły. Takiego podejścia z pewnością będę unikał.

> Startowałem z 14. miejsca, mało kto dawał mi jakiekolwiek szanse, a lokalny sondaż nie brał mnie nawet pod uwagę

Dostał się pan z okręgu elbląskiego, w latach 90. startował stąd do Senatu...

... Jarosław Kaczyński. Myślę, że pan prezes ma sentyment do tych stron. Jasno widać, że Elbląg nie jest miastem pozostawionym samemu sobie, skazanym na wymarcie. Cały region znów ma szanse na rozwój dzięki kolejnym inwestycjom rządu Prawa i Sprawiedliwości, w tym dzięki przekopowi Mierzei Wiślanej.

Widzę i słyszę, że jest pan przygotowany do chwalenia swoich, sprawdzi się pan.

Chwalić jeszcze nie zacząłem, mówię tylko prawdę!

Strach się bać, jak zacznie pan chwalić.

Ogromnym wzorem jest dla mnie prezydent Andrzej Duda; nie tylko w sprawach politycznych, lecz i religijności, której prezydent się nie wstydzi. A zdolności retoryczne i merytoryczne pana prezydenta są naprawdę na bardzo wysokim poziomie.

Nie boi się pan tego regularnego podkreślania religijności? Różne zakręty są w życiu, także tym sejmowym, będą później panu wypominać te cytaty.

Ma pan rację, że różnie w życiu bywa, ale chcę iść drogą pokory i mam nadzieję, że do takiego zdarzenia nie dojdzie.

Mówię to tylko dlatego, że mieliśmy już w Sejmie osoby z Bogiem i ojczyzną na ustach, które potem kończyły w różnym stanie, z różnymi osobami, w różnej formie.

Mam 26 lat, ale zdaję sobie sprawę z tego, co jest ważne, a co ważniejsze. Mam za co dziękować Bogu, a mówię o tej pokorze, bo czasem obawiam się, że sodówka może uderzyć do głowy. Jednak strach przed porażką nie może zniechęcać do działania.

Nawet Jarosław Kaczyński mówił kiedyś, że polityka nie jest dobra dla pięknoduchów. Nieustanne gierki podjazdowe, frakcyjne, zakulisowe.

Wiem, że tak jest, ale mam nadzieję, że polityka mnie nie zepsuje, że te rzeczy ważniejsze będą przed ważnymi. Politykiem się bywa, a człowiekiem się jest.

To ma pan sprawę ochrony życia, gdzie na drugiej flance jest strategia i interes partyjny.

Kwestie moralne są dla mnie najważniejsze. Niemniej nie można być bardziej radykalnym niż papież, bo takie zachowania w dłuższej perspektywie mogą bardziej zaszkodzić, niż pomóc; oczywiście uważam, że życie jest święte i trzeba go bronić, a aborcja na życzenie oprócz amoralności jest pozbawiona jakiejkolwiek logiki.

Prezesa zdążył pan już poznać?

Pana prezesa poznałem już w roku 2015, gdy miał spotkanie w Elblągu z kandydatami do Sejmu. To bardzo miły człowiek, a jego codzienny obraz kompletnie nie pasuje do tego, co nieraz pokazują w mediach. Poczucie humoru i siła intelektualna u prezesa są niebywałe, cytował jak z rękawa kolejne fragmenty książek. Imponujące.

Gdzie pana umiejscowić na mapie Zjednoczonej Prawicy w Sejmie? Jastrząb? Gołąb? Ziobrysta? Gowinowiec?

Nie zastanawiałem się nad tym. Zobaczymy, co przyszłość pokaże. Frakcje z pewnością istnieją, ale nie są aż tak duże, media je zbyt koloryzują. Jestem w tej jednej drużynie i chcę w niej być za cztery lata, gdy szefem rządu nadal będzie pan premier Morawiecki.

Ostatni najmłodszy poseł też był z PiS, ale nie dokończył kadencji w tych barwach.

Nie zamierzam zmieniać partii.

To szersza obawa: jak się młodych wpuszcza do polityki, to z czasem im odbija sodówa: niekoniecznie z używkami, ale polityczna. Dostanie pan dwa razy zaproszenie do telewizji, trzy razy na wywiad i poczuje się pan królewiczem w Sejmie.

Groźbę uderzenia wody sodowej mam z tyłu głowy. Zacząłem pierwszy dzień w Sejmie od mszy świętej. Wiem, że nie od razu Kraków zbudowano – potrzebne jest doświadczenie. Mam naprawdę wiele pomysłów, jednak należy je skonsultować z bardziej doświadczonymi życiowo i politycznie. Tak po prostu trzeba.

A jeśli sodówa uderzy?

Jestem przygotowany na zimny prysznic. Wiem, że nie zawsze będzie miło i cukierkowo.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Szachy na granicy

Jako Wiktor Rebrow z serialu „Wataha” jak własną kieszeń poznał Bieszczady. Wpisał się też w ich mapę. W „Bożym Ciele” klęczał w błocie. Odpowiada także za wciągnięcie widzów w „Pułapkę”. A teraz Leszek Lichota zagra Stanisława Dygata w filmie o Kalinie Jędrusik

Fot. Xxx

eprasa.pl 4dac2b45fe



Z aktorem Leszkiem Lichotą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Poza panem nie znam człowieka, którego twarz zostałaby uwieczniona na mapie.

Leszek Lichota: To rzeczywiście przedziwny, a zarazem bardzo atrakcyjny pomysł. W limitowanej kartograficznej serii w mapę Bieszczad wkomponowana została twarz Rebrowa, bohatera serialu „Wataha", którego trzeci sezon już 6 grudnia pokaże HBO. Mapa powstała przy okazji drugiego sezonu. Wygląda intrygująco i jest tym mocniej pożądana, że nie ma zbyt wielu jej egzemplarzy. Niektórzy chodzą więc po Bieszczadach, wypatrując, gdzie jeszcze można ją znaleźć.

Potem wędrują z nią szlakiem bohaterów „Watahy"? Gdzie odnajdują strategiczne, kluczowe miejsca akcji?

Przez trzy sezony, myślę, spenetrowaliśmy z ekipą całe Bieszczady. Pierwsze dwie serie były realizowane w centralnej i wschodniej części. Blisko Tarnawy i Mucznego. Na szlaku nie mogło też zabraknąć słynnego słupka 164 ze szczytu nazywanego Rozsypańcem. Sama granica. I najpiękniejsza panorama, jaka się może zdarzyć, bo mamy całe Karpaty u stóp – i polskie, i ukraińskie. A widok jest tym cenniejszy, że wymaga dwugodzinnej wspinaczki. Niezbyt męczącej, bo pod górę idzie się łagodnie, za to długo, ale warto się w tę drogę wybrać, bo widok jest niesamowity.

Na tej limitowanej mapie środek twarzy Rebrowa wyznacza Muczne.

Ale już w tym sezonie poszliśmy na zachodnią część, bliżej Beskidów,

Fot. Gałązka/AKPA

czyli przejścia w Barwinku, Komańczy. W zasadzie, gdziekolwiek by pojechać, można być pewnym, że nasza ekipa tam była.

Tym, którzy znają je jedynie z ekranu, Bieszczady kojarzą się z „Bazą ludzi umarłych". Potem długo nie było nic, aż pojawiła się „Wataha".

Najciekawsze jest to, że kiedy przyjechaliśmy pierwszy raz na plan, plenery z „Bazy ludzi umarłych" ciągle były tam obecne. I nadal wygląda to dokładnie tak, jak zostało opisane przez Hłaskę i sfilmowane w 1958 r. przez Petelskiego. Buki pościnane wzdłuż drogi, wypalanie węgla drzewnego... Jakby czas się zatrzymał. My dorzuciliśmy własny kamyczek do tego regionu.

To już trzecie pana spotkanie z bohaterem „Watahy". Mam wrażenie, że za każdym razem Wiktor Rebrow jest trochę kimś innym. I w innych realiach działa.

Zgadza się. Myślę, że okoliczności wymuszają na nim te zmiany, a wraz z nimi trzy różne odsłony.

Rebrow z pierwszego sezonu to pogranicznik ideowiec, trochę harcerzyk, który myśli, że sam zbawi świat, że wystarczy sprawy ponazywać, wskazać problem, a wszystko się wyjaśni, że prawo działa, jak należy, więc przy odpowiednim poprowadzeniu sprawy wszystko się uporządkuje. Jednak w czasie pierwszej serii ten świat mu się rozpada i drugi sezon bohater zaczyna już jako banita. Musi udowadniać, że nie jest wielbłądem, uciekać przed światem, który chce go oskarżyć o wykroczenia, których nie popełnił, i oczyszczać się z zarzutów. Działa poza prawem, zna tego konsekwencje, ale też jako dobrze wyszkolony strażnik wie, jak omijać pewne sytuacje i strzec swojej prywatności. Udaje mu się i pod sam koniec drugiej serii dostaje propozycję powrotu do Straży Granicznej. Wraca i jesteśmy właśnie w tym momencie.

Jaki wpływ na to, kim jest dziś Rebrow, miał czas dzielący go od pierwszej serii? Ile to już lat?

Sześć, od kiedy pierwszy raz weszliśmy na plan „Watahy". Można powiedzieć, że jako aktorzy z tym serialem dojrzewamy, rozwijamy się, starzejemy się... Przeżywamy równolegle swoje prywatne życie i wnosimy te doświadczenia do świata swoich bohaterów.

Jaki jest Wiktor Rebrow z trzeciej serii?

Wrócił do Straży Granicznej bogatszy o te wszystkie doświadczenia, które niekoniecznie pozytywnie wpłynęły na jego relacje z ludźmi i otoczeniem. Myślę, że wręcz przeciwnie, Rebrow jeszcze bardziej się schował w sobie. W ogóle przestał wierzyć ludziom. Jedynymi osobami, którym może zaufać, na które stawia, to Dobosz i Markowski, ale jest to bardziej jego kalkulacja niż ślepa wiara w lojalność. Bo ta strata dla Rebrowa dawną niepodważalność. Już wie, na podstawie Grzywy, jego przyjaciela, że każdy może stanąć po drugiej stronie.



Szykują się dramatyczne spięcia?

Trzeci sezon „Watahy" jest na pewno bardziej skomplikowany. Przypomina raczej partię szachów niż igrzyska czy wyścigi. Konstrukcja wcześniejszych sezonów była prostsza: ktoś ucieka, ktoś kogoś goni. Więcej było akcji. Tutaj natomiast wchodzimy w rozgrywkę i jest to pole, na którym Rebrow nie czuje się najlepiej, bo on lubi proste rozwiązania, a tu musi zaakceptować warunki gry, które zostały narzucone z góry.

Czy jest coś, co łączy Rebrowa z bohaterem wyemitowanej niedawno w TVN drugiej serii „Pułapki"? Oczywiście poza panem w obu rolach?

Dla mnie to całkowicie inni ludzie. W „Pułapce" komisarz Czarny też zostaje postawiony w sytuacji, która go przerasta, determinuje jego działania, ale zupełnie nie jest gotowy na to, co się wydarza. Nie jest zadaniowcem jak Rebrow, który przeszedł wiele szkoleń i dzięki temu potrafi sobie poradzić w różnych sytuacjach, sprawnie posługuje się bronią, umie przetrwać w mrozie, błocie itd. Czarny przy Rebrowie to miejski gliniarz. Jest też prostszą figurą.

Czy „Wataha" wymaga od aktorów szczególnych predyspozycji? Można powiedzieć, że to rozłożony na odcinki survival, który dosłownie przeczołguje aktorów?

Poprzednie dwa sezony na pewno. Były dla mojej postaci bardzo akcyjne. Rebrow cały czas musiał albo kogoś gonić, albo przed kimś uciekać, i to dosłownie, natomiast trzeci sezon wymagał więcej koncentracji niż wytrwałości fizycznej. Skomplikowana intryga wzmagała bardziej czujność na to, co się dzieje dokoła niż gotowość do akcji.

Był pan gotowy na błotną akcję w filmie „Boże Ciało"?

Po doświadczeniach z planu „Watahy" tak, gorzej było z bohaterem, którego grałem u Janka Komasy. Przedstawiciel lokalnej władzy, wójt, ale też najważniejszy przedsiębiorca w okolicy mógł mieć problem z klękaniem w błocie, ale dzięki temu scena wyszła mocno. Swoją drogą kręciliśmy ją w Jaśliskach, czyli w Beskidzie Niskim, całkiem blisko Bieszczad.

Najnowsze filmowe zadanie zatrzymało pana w Warszawie. Co to za produkcja?

„Jesienna dziewczyna" w reżyserii Katarzyny Klimkiewicz. Film o Kalinie Jędrusik.

Główną bohaterkę gra Maria Dębska. W kogo pan się wciela?

W Stanisława Dygata. I tylko tyle mogę na razie powiedzieć.

eprasa.pl 4dac2b45fe

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wojenne misterium – tylko w TVP

Krótki dramat „Dzień gniewu" Romana Brandstaettera już kiedyś widziałem. Księża pallotyni zawieźli mnie, nastolatka i ministranta, do Ołtarzewa. A tam seminarium oferowało swoje przedstawienia teatralne. Jedno z nich pokazywało historię duchowego starcia nieugiętego przeora klasztoru z dawnym kolegą klerykiem, a podczas wojny nieubłaganym esesmanem Bornem.

Zdało mi się, że poza historią esesmana próbującego zabić w sobie Boga ważny jest w nim budowany pomost między Polakami i Żydami. Wtedy (połowa lat 70.) temat nie był nabrzmiały jak dziś bolesnymi debatami, ale jakoś nas nurtował. Ksiądz próbujący uratować Żyda był nie tylko wzorem etycznym, lecz i – można by rzec – ofertą kulturową.

Spektakl Jacka Raginisa-Królikiewicza w Teatrze Telewizji, autora znakomitej „Inspekcji" z roku poprzedniego, został przygotowany starannie. Kręcony (piękne zdjęcia Przemysława Niczyporuka) w scenerii klasztoru w Wąchocku, ozdobiony śpiewami gregoriańskimi, rozpięty między surowym realizmem wojennych czasów a symbolicznymi akcentami. To moralitet, misterium. Brandstaetter był pisarzem katolickim, skoncentrowanym na etycznych i religijnych dylematach.

Po obejrzeniu zostajemy z poczuciem, że pokazano nam coś ważnego. Aczkolwiek nie mogłem się oprzeć wątpliwościom co do tekstu. Oto dochodzi do ostatecznej próby, kiedy Born zastawia pułapkę na cały klasztor, żądając wyboru: męczeństwo albo zaparcie się siebie. Czy nie za łatwo przychodzi namalowanie portretu heroicznej zbiorowości? Czy naprawdę nikt by się nie zachwiał, nie załamał? Znając sporo wojennych i tużpowojennych historii, wiem, że i duchowni nie byli monolitem.

Inny przykład. Żydowski uciekinier, stolarz Blatt, oskarża chrześcijan o współsprawstwo tego, co się dzieje za oknami klasztoru. Ale osądza w ostateczności hitlerowców. Potrafi opowiadać o przypadkach moralnego upadku innych Żydów. Nie przytacza historii dotyczących Polaków. Autorem jest nawrócony Żyd z Tarnowa. On ma prawo do takiego rozkładu win. Z drugiej strony autor spędził czasy wojny w Jerozolimie. A po wojnie poruszanie tematu grzechów przeciw Żydom nie było dobrze widziane.

Niczego nie stawiam na ostrzu noża. Przy okazji zresztą sztuka stawia wiele pytań pobocznych – choćby o to, czy kapłan powinien pomagać w likwidowaniu zbrodniarza. Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Za to finał przynosi moralny triumf gorliwej wiary. Z szokującą dla narodowo-katolickich sekciarzy konkluzją, że cierpiącego Boga należy szukać w Żydach czasów Holokaustu. Ale też chyba ze zbyt łatwą drogą do tego triumfu. Łagodzi to wrażenie świetna obserwacja szczegółu. I zbrodniarz Born, i szmalcowniczka Julia nie są przecież postaciami jednoznacznymi.

Pomaga Raginisowi przekonać nas do surowej prostoty wymowy wysokiej klasy aktorstwo. Znakomity Jan Marczewski (Walery Sławek z „Piłsudskiego") jako Żyd Blatt, sugestywni Rafał Gąsowski (aktor z Wierszalina) jako Born i Natalia Rybicka jako Julia. W epizodzie – Daniel Olbrychski. Oglądałem pokaz przedpremierowy, siedząc obok Radosława Pazury, który grał przeora. Miałem poczucie, że dla aktora ta postać to coś więcej niż zlecone zadanie. Ta rola wiąże się z jego wyborami. To dlatego tyle w nim perswazyjnej siły, choć jest przeważnie zastygły, nieruchomy.



Brandstaetter dedykował ten tekst Polakom, którzy ratowali podczas wojny Żydów. Przy moich pytaniach i wątpliwościach mam poczucie, że tylko Teatr Telewizji podejmuje taką tematykę.

Piotr Zaremba

Praskie Credo



Adam Ciesielski

Wyjątkowy ładunek wrażeń przyniosła muzyka Krzysztofa Pendereckiego wykonana w katedrze na Hradczanach przez 120 artystów polskich i 80-osobową międzynarodową I, Culture Orchestra. Koncert „Podziękowanie za wolność" zorganizowany z okazji 30. rocznicy Jesieni Narodów nawiązywał nie tylko do przełomowych wydarzeń 1989 r., lecz i do historycznych związków obu krajów, od chrztu Polski poczynając.

Po „Hymnie do św. Wojciecha" zabrzmiało „Credo". To najważniejsze – obok „Pasji wg św. Łukasza" – dzieło religijne znakomitego twórcy. Wymagające olbrzymiej obsady. Obecna spotkała się w tym składzie 23 listopada w Lusławicach na 86. urodzinach Pendereckiego. Jak zabrzmiała teraz, w niełatwym akustycznie wnętrzu gotyckiej świątyni? Wyzwaniem był też przenikliwy chłód. Podziwiałem solistów, którzy wyszli w zimowych kurtkach narzuconych na wizytowe stroje, ale śpiewali jak natchnieni. Idealnie brzmiały chóry. No i rewelacyjna I, Culture Orchestra, stworzona w 2011 r. przez IAM, a składająca się z młodych muzyków z krajów Partnerstwa Wschodniego. Dyrygował Maciej Tworek. Po finalnych akordach wypełniona do ostatniego miejsca świątynia wybuchła długo niemilknącą owacją dla dzieła, wykonawców i – szczególnie gorąco witanego – maestro Pendereckiego. Wydarzeniu patronowali prezydenci: Polski – Andrzej Duda, i Czech – Miloš Zeman, oraz prymas Czech kard. Dominik Duka.



„Podziękowanie za wolność"
Program: „Hymn do św. Wojciecha" i „Credo" Krzysztofa Pendereckiego
Wykonanie: I, Culture Orchestra, Chór Filharmonii Krakowskiej
oraz Chór Chłopięcy tej placówki pod dyr. Macieja Tworka
Katedra św. Wita, Wacława i Wojciecha w Pradze, 25 listopada 2019 r.
Organizatorzy: Instytut Adama Mickiewicza oraz Instytut Polski w Pradze

Przechowalnia dusz

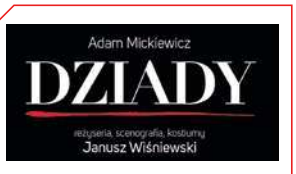


Przemysław Skrzydelski

W swoich „Dziadach" Janusz Wiśniewski okazuje się pilnym słuchaczem wykładów Mickiewicza. To paradoks sam w sobie. Janusz Wiśniewski, który już właściwie od 40 lat uprawia swój teatr śmierci, dopiero dziś decyduje się na „Dziady". Jakby tytuł ten brzmiał niczym zbyt łatwa motywacja dla reżysera, który przez wielu jest postrzegany jako naśladowca Kantora; ktoś, kto od mistrza wziął niemal wszystko. W tym rozprawianiu się z teatrem Wiśniewskiego zawsze było sporo przesady. Bez Kantora bowiem byłby twórcą diametralnie innym, ale też nie jest tak, że dekadami niebywałej konsekwencji nie wypracował sobie autonomii.

W „Dziadach" z warszawskiego Teatru Polskiego podąża wyznaczoną drogą, ale tym razem jako inscenizator i nawet jako reżyser wycofuje się na dalszy plan. Mniej tutaj nieustannego korowodu ludzi-kukieł, nawet esencjonalna dla Wiśniewskiego muzyka Jerzego Satanowskiego wybrzmiewa chyba ciszej i rzadziej. Znajdujemy się w izbie duchów i upiorów naszej historii, których polska świadomość od stuleci zmusza do wspólnej egzystencji. To imaginarium stało się naszą cechą rozpoznawczą. Przez cały spektakl trudno się pozbyć wrażenia, że Wiśniewski pozostaje pilnym słuchaczem paryskich wykładów Mickiewicza o wyjątkowości słowiańskiej kultury, która jedna tak godzi żywych i umarłych. Dlatego niektóre postaci z części III stają się świadkami obrzędu z części II; można powiedzieć, że jeden nasłuchuje drugiego, wszyscy zaś spotkali się, by jeszcze raz wrócić do dawnej opowieści. Powtarzający się cykl – to także dla Wiśniewskiego istotny wyznacznik scenicznej rzeczywistości. Do tego stopnia, że równie dobrze w tej izbie za chwilę mogliby się zjawić weselnicy Wyspiańskiego, co podpowiada nie tylko obraz Matki Boskiej.

Choć brakuje w tych „Dziadach" określonego miejsca dla Konrada (Jakub Kordas), którego reżyser traktuje jako jednego pośród innych (nic nowego w interpretacji dramatu), i choć jeśli chodzi o mocne role, musimy się zadowolić znakomitym diabelskim Senatorem z twarzą piękniśia w ujęciu Krzysztofa Kwiatkowskiego, to z pewnością ten spójny przekaz warto potraktować poważnie w szeregu inscenizacji „Dziadów" z ostatnich lat. Z pewnością też – wbrew krytykom – Janusz Wiśniewski jakoś uparcie nie chce być kustoszem martwego teatru.



Adam Mickiewicz
„Dziady"
reż. Janusz Wiśniewski
Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana
(Duża Scena)
premiera: 22 listopada 2019 r.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Ciasne więzy krwi

Wojciech Stanisławski

Druga przełożona na polski powieść Siergieja Lebiediewa znów pozostawi nas oniemiałymi

Kto przeczytał „Granicę zapomnienia", wie już trochę, czego może się po Lebiediewie spodziewać. Przede wszystkim, zdań, które opisują świat jak oczyszczony po burzy, obmyty wodami potopu. Zbudowane są z prostych słów, bez silenia się na wymyślne konstrukcje, na dziwoląg ze słowników: a jednocześnie ich rytm, ich szyk, każe nam słyszeć je niemal jak zaklęcie, które otworzy przed nami głębszy wymiar rzeczywistości, odwróci gobelin świata na właściwą stronę. „Latem stare, zdziczałe, zagubione wśród samosiejek jabłonie dworskiego ogrodu nagle ujawniały się dzięki szkarłatnemu pięknu owoców; jesienią i zimą, gdy liście opadały z gałęzi, brzozowy gaj stawał się przezroczysty i odsłaniał się widok samej Oki". Nic nadzwyczajnego, prawda? Najwyżej słowo „szkarłatne" chrupnie smacznie, jakby ktoś sięgnął po starkinga. A jednak to zdanie, jak wiele innych, jeśli czytać je powoli, stanie się epifanią.

I już to by wystarczyło: sposób, w jaki Lebiediew opisuje najzwyklejsze przedmioty – grzędy podmiejskiego sadu, stary zegar, współczesne miasto. Robi to tak, jak malowali swoje martwe natury obywatele Niderlandów: jakby przecierał szybę świata, ukazywał go w czystości stworzenia, jakby właśnie trwało nadawanie imion rzeczom. „Ćwierkanie wróbli, oddalone odgłosy uderzeń piłki, szczekanie psów, dźwięk tramwajów – wszystko nabrało rozpędu jak moneta wypadająca z przedziurawionej kieszeni, rozerwało powłoki ciszy".

Tam jednak, gdzie pisze się i maluje serio, muszą się pojawić i śmierć, i lęk. I u Lebiediewa ich nie brakuje: „Ze złamanych pni wyciekał pieniący się sok, lecz liście już zwiędły; jeszcze wczoraj były pełne życia, a teraz życie z nich uszło – ostatecznie i nagle". Panoramy, jakie stwarza w swojej powieści, obejmującej jedną rodzinę, dwa wieki i pół świata, są przestrzenią dla pojedynku elementarnych sił: życie trwa, prze ku górze, zaplata i krzyżuje pędy w obrzędach zaślubin, ale tuż obok jest i śmierć: czujna i nieustępliwa, „gotowa, jak się wydawało, zatruć źródła wody i zgasić życie we wnętrzu ziarna". Swoim narzędziem czyni historię – i powieściowy świat Lebiediewa pełen jest znaków bardzo konkretnej śmierci czasów Aleksandrów, Mikołajów i nade wszystko Stalina: pocałunki stają się jak ołowiana pieczęć, pranie, zrzucone ze sznura przez burzę, wygląda w oczach głównego bohatera – Kiriłła, późnego wnuka – jak świadectwo rozpaczliwej ucieczki, a chmury na mroźnym niebie są jak pościel rozrzucona podczas którejś z leningradzkich rewizji.

Bo przecież skoro to powieść Lebiediewa, w tle cały czas obecna będzie, nie tylko z racji urodzenia autora, Rosja. Rosja w biernym zakolu sytej dekady, zanim znów czas ruszy, a równina wypiętrzy się w tektonicznych wstrząsach w jakieś montagnes russes, jak przez lata określano kolejki górskie stawiane w lunaparkach. Rosja – zarazem tło, scena i żarłoczny Kronos dla siedmiu pokoleń rodziny, której początek dał zagubiony przybysz z kieszonkowego niemieckiego księstwa. Nakreślenie takiej panoramy – niespiesznej, bezlitosnej w opisywaniu, w jaki sposób płoną lub zamarzają poszczególne gałązki rodu – już by wystarczyło, żeby stworzyć powieść, którą recenzenci określaliby mianem „tołstojowskiej" czy może „pasternakowskiej".

Tym bardziej że powieść ta nie tylko dzieje się w rozciągniętym czasie rewolucji i wojen. Samym jej tematem jest historia i narody, zaplatanie się i przyżeganie dwóch pędów szczególnie naznaczonych biegunowymi uczuciami bliskości i obcości (by nie rzec „Hass-Liebe"): niemieckiego i rosyjskiego. Co najmniej od czasów Katarzyny, przybyszki z Anhalt-Zerbst, matki, Imperium czystej niemieckiej krwi trwa ten fenomen miłosnego nieledwie przyciągania – i stale obecnej możliwości odrzucenia, palącej nienawiści,

eprasa.pl 4dac2b45fe

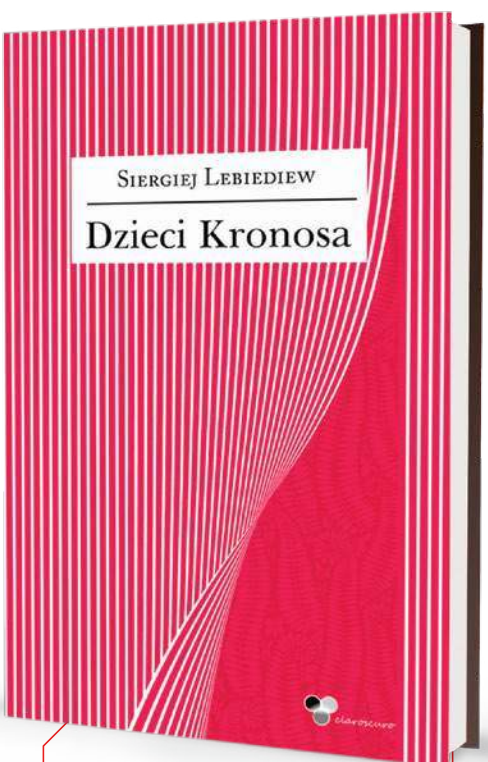
ort ekstremalny

uznania Niemca za uosobienie wrogiej inności. Powieściowy ród Schwerdt będzie pragnął wżyć się i wrosnąć w Rosję – i początkowo akceptowany, ba, triumfujący, doczeka czasów, kiedy brzmienie jego nazwiska okaże się wyrokiem. Ten splot, znany nam z kilku historycznych skojarzeń i haseł – od kamerjunkrów epoki Petersburga po „Dorżnij Germańca!" Ilji Erenburga – w tej powieści rozpisany jest na jednostkowe trwogi i klęski. Tak ciekaw jestem, jak czytane to będzie w Warszawie! Może z zawiścią, może z różnie ukierunkowanymi wektorami niechęci, może z tajemnym pragnieniem, by kiedyś z podobnym oddechem opisany został niemal równie spolaryzowany splot polsko-rosyjskiej bliskości i gniewu?

Panorama 200 lat – u progu opowieści, w mroźnym mikołajowskich latach, niemal bajkowa – kończy się stupudowym ciężarem czasów sowieckich. Nie znam drugiego współczesnego autora rosyjskiego, który z taką uczciwością docierałby do rdzenia komunizmu, ukazując zagłodzone miasta, ludzi grzebanych żywcem i to, co jeszcze straszniejsze: oficerów służb, dla których władza mordowania, rabunku i gwałtu jest niczym wobec pajęczej, diabelskiej radości, jaką daje supłanie ludzkich losów. Nienawiść czytelników literatury bucha wysokim płomieniem i prędko gaśnie: a jednak trudno mi sobie wyobrazić osobę zamykającą okładkę „Dzieci Kronosa", której nie ogarnie to uczucie na myśl o pewnym podpułkowniku.

A jednak wszystko to jeszcze nie jest istotą powieści Lebiediewa: nie po to sięga się po niderlandzkie pędzle, maluje przezroczystość szkła i ogórki w srebrzystej błonie narodzin, żeby skończyć na ciemnych panoramach piekła. Istotą jego pisarstwa i tym, co stanowi o jego niepowtarzalnej wartości, jest przekonanie Lebiediewa o znaczeniu. Jest ono obecne w każdym przedmiocie i scenie, na które spojrzymy wystarczająco uważnie. To niemal świat zanimizowany, świat bożków i duszków zasiedlających topolę, pościel lub szufladę. A jednak nie: duchy te nie biegają tam i sam, wszystkie odgrywają swoją jednoaktówkę – przesuwają wskazówkę, rozsadzają nagrobną płytę, zasypują śniegiem tory – w jednym celu: wskazania kierunku, w jakim zmierza czyjś (zwykle obserwatora) los.

To zabieg najgłębiej (kontr)rewolucyjny, skierowany przeciw całej współczesności, która na wszelkie sposoby



Siergiej Lebiediew, „Dzieci Kronosa", tłum. Grzegorz Szymczak, Claroscuro, 2019

zapewnia nas, że świat złożony jest z milionów osypujących się jak błyszczyk doznań, pozbawionych wszelkiego trwałego sensu. Kirił też tak go odbiera – osierocony podwójnie, wydziedziczony z ładu świata, ale i z ikonosfery, co w sposób przejmujący pokazuje jego wizyta na „Niemieckim cmentarzu" pośrodku Moskwy: „krzyże owinięte łoziną; kłosy, snopy pszenicy i kiście winogron; liście dębu i listki koniczyny, (...) lwy ryczące i lwy śpiące, orły z rozpostartymi skrzydłami; pływające ryby; młoty, siekiery i kilofy; przeplatające się pierścienie, strzały, kołczany, nietoperze (...) – dla niego, który urodził się w Związku Radzieckim, znaki te pozostawały martwe. Czytając nagrobny napis „pierwszy zastępca ministra średniego przemysłu maszynowego", potrafił rozszyfrować złowieszczą abrakadabrę „minśredprzemasz", potrafił też na wadze hierarchii zważyć jakiegoś generała-lejtnanta, patrząc na jego ordery wykute w kamieniu; lecz nawet po przeczytaniu Biblii nie umiał powiedzieć, co oznacza owinięty łoziną krzyż".

Lebiediewowska wizja świata idzie przeciw temu chaosowi wrażeń i ikonek w przekonaniu, że każdy gest, każde imię zawiera znaczenia, które trzeba odgadnąć. Dużo jest w tej wizji determinizmu: jak bardzo to antyczne, ale i rosyjskie! W XII-wiecznym latopisie o śmierci księcia Olega śmierć władcy czai się w kościach padłego konia: ta fraza wróci u Puszkina, a potem, w jednym zdaniu, w „Pierwszym kręgu" Sołżenicyna, ale i u Lebiediewa co chwila skądś wypełzają żmije, wschodzą dawno posiane smocze zęby. Łagry i lagry, między którymi rozpięta jest historia XX-wiecznej Europy, zapowiedziane są przez postój rosyjskiego krążownika w roku 1905 w Zatoce Lüderitza u brzegów Afryki Równikowej, gdzie szykowano właśnie obóz koncentracyjny dla ludu Herero – pierwszy w tym wieku...

To przekonanie o ukrytych sensach prowadzi Kiriłła, dociekającego historii rodziny, coraz dalej: zygzak błyskawicy spina na nowo przedmioty wokół niego, nadaje znaczenie pospolitym rzeczom – łuszczącej się farbie ogrodzenia, piórom martwego ptaka – i prowadzi go do kolejnych prawd. Pachnie siarką (od pioruna?), młody historyk próbuje bowiem głośnych, newage'owych „ustawień". I osiąga swój cel: zejdą się wskazówki, historia rodziny ukaże się w całym przeraźliwym blasku tłumaczącym powinowactwa ludzi i rzeczy, a losy dwóch najodleglejszych, jakich można sobie wyobrazić, kuzynów okażą się częścią tego samego cyrografu.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Adamski





Daleko do arcydzieła

VOD

Frank Sheeran (1920–2003) malował domy. W mafijnym języku oznacza to, że był zabójcą na zlecenie. W książce Charlesa Brandta „Słyszałem, że malujesz domy...” przyznał się, że to on w 1975 r. zabił swojego przyjaciela Jimmy'ego Hoffę. Ciała wszechmocnego w latach 1957–1971, zblatowanego z włoską mafią szefa związku zawodowego Teamsters nigdy nie znaleziono, natomiast śledczy z FBI mocno powątpiewają w wersję Sheerana. Hoffa stał się jednak częścią popkultury. W 1992 r. zagrał go w filmie Danny'ego DeVito Jack Nicholson. U Martina Scorsesego wciela się w niego Al Pacino. Trwająca 209 minut monumentalna opowieść jest nie tylko historią zabójstwa Hoffy, ale kolejnym wejrzeniem w świat włoskiej mafii, z ciekawą religijną klamrą nawiązującą do pierwszego mafijnego filmu Scorsesego „Ulice nędzy” (1973).

Pierwszą wielką rolę w „Ulicach nędzy” stworzył u boku Harveya Keitela młodziutki Robert De Niro. Niemal 50 lat później to Keitel gra w „Irlandczyku” epizod, a De Niro powraca po raz dziewiąty do współpracy ze Scorsesem. Ba, do filmu udało się ściągnąć będącego od dekady na emeryturze Joe Pesciego w roli bossa mafii Russella Bufalino. Obaj stworzyli nieśmiertelny duet w „Chłopcach z ferajny” i „Kasynie”. Teraz stawiają kropkę nad i, tworząc obraz mafiosów, którzy muszą się zderzyć ze starością i niepełnosprawnością. To największa siła „Irlandczyka”, gdzie Joe Pesci zamiast brutalnego i głośnego Nickiego Santoro/Tommy DeVito przepysznie kreuje obraz spokojnego i dożywającego sędziwych dni mafiosa. Scorsese, który wrócił „Milczeniem” do poważnej filmowej dysputy o wierze, obudowuje historię gangsterów wokół krzyża. Charlie w „Ulicach nędzy” szukał odkupienia na ulicy, nie wierząc w instytucję Kościoła. Bohaterowie „Irlandczyka” kapłana już potrzebują. Może ze strachu. Może z wyrachowania. Jednak uchylone drzwi w finałowym ujęciu nabierają bardzo metafizycznego wymiaru dla całej twórczości Scorsesego.

Wszystko, co kochamy u Scorsesego, tutaj jest. Narracja z offu, zatrzymywane kadry, piękne rozegranie ciszy i pozbawiona estetyzacji namacalna przemoc, uzmysławiająca potworność świata mafii. Jest też wielka historia w tle (zabójstwo JFK, Watergate) oraz epicki rozmach, godny „Gangów Nowego Jorku” (oba filmy pisał Scorsesemu Steven Zaillian). Dlaczego więc uważam, że ten film jest nierówny?

Dlatego, że nawet najdroższy efekt specjalny (film kosztował 159 mln dol.) nie przykryje tego, że w 20-, 30- i 40-letnich facetów wcielają się aktorzy dochodzący do osiemdziesiątki. „Irlandczyk” jest najlepszy w ostatniej części, gdy De Niro, Pacino i Pesci grają już ludzi po sześćdziesiątce. Wtedy pokazują nam, na czym polega ich wielkość i dlaczego mają status legend. Niestety w pierwszej godzinie filmu miałem wrażenie, że oglądam nabotoksowanych dziadków przebranych w ciuchy ze swojej młodości. Co z tego, że De Niro nie ma żadnych zmarszczek, skoro porusza się i, o zgrozo, bije się jak staruszek? Co z tego, że Pacino ma twarz jak po najlepszym liftingu, skoro można odnieść wrażenie, że zaraz padnie na zawał od nadmiernej ekspresji?

W „Oni” Paola Sorrentina udający młodego kochanka Silvio Berlusconi o twarzy mumii słyszy od młodziutkiej dziewczyny, że nie pójdzie z nim do łóżka, bo z jego ust wydobywa się zapach taki sam jak u jej dziadka. Nawet najlepsze operacje plastyczne i pieniądze nie ukryją bowiem wieku. Miałem tę scenę w głowie, gdy widziałem dinozaurów usilnie udających zwinnych i młodych gangsterów z odmłodzoną komputerowo twarzą. W jednej ze scen De Niro jako żołnierz rozstrzeliwujący Niemców wygląda wręcz jak postać z gry „Call of Duty”.

Momentami ten film wygląda jak muzeum żywych figur woskowych. Scorsese nie stracił umiejętności żywiołowego opowiadania, czego dowiódł w fantastycznym „Wilku z Wall Street”. Gdy nie ma jednak żywych aktorów, to nawet jego błyskotliwa narracja wpada na mielizny. Dlatego wielkie kino dostajemy dopiero mniej więcej od 90 minuty „Irlandczyka”. Mimo wszystko warto na nie czekać. Choćby dla kilku przebłysków wielkości twórcy „Taksówkarza”.

„IRLANDCZYK” DOSTĘPNY NA NETFLIKSIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 4dac2b45fe

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

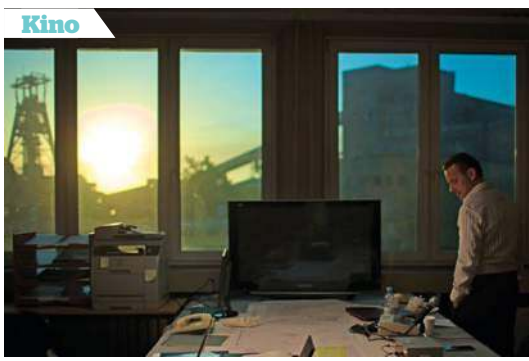
Trójkąt na Śląsku

Filmowe trójkąty to wdzięczny temat dla każdego reżysera. Kino przecież eksploatowało go na wszelkie możliwe sposoby i w każdym gatunku. Jest w takich opowieściach tyle uniwersalnych treści, że można je w pewnym sensie nazwać samograjem. Monika Jordan-Młodzianowska nie znalazła klucza, by na nowo opowiedzieć ten temat. Jednak jest w jej momentami kulawym i wyjątkowo drażniącym debiucie reżyserskim coś intrygującego.

Kacper (Bartłomiej Topa) przyjaźni się z Oskarem (Łukasz Simlat), którego żoną jest Magda (Julia Kijowska). Kacper i Oskar to twardzi górnicy. Łączy ich wyjątkowa więź. Codziennie muszą polegać na sobie pod ziemią. Pomagają też sobie w życiu osobistym. Wszystko zmienia się na jednej imprezie, gdy Kacper i Magda uprawiają seks w korytarzu, podczas gdy zamroczony alkoholem Oskar śpi w pokoju obok. Romans tak przybiera na sile, że Kacper wysyła przyjaciela pod ziemię, by samemu móc spotkać się z Magdą. Następuje tąpnięcie. Oskar zostaje sam pod ziemią. Żyje czy zginął? Zaczyna się akcja ratownicza. Ratować muszą się też kochankowie. Perspektywa śmierci oszukiwanego męża i przyjaciela rozbija ich moralnie i psychicznie.

Monika Jordan-Młodzianowska dotychczas pracowała jako reżyserka kastingu, co widać w jej debiucie. „Żelazny most" jest dobrze obsadzony. Między trójkątem aktorów jest na przemian chemia i napięcie. Widać to szczególnie w scenie domowej imprezy podlanej wódką oraz późniejszych próbach zakamuflowania przed Oskarem relacji kochanków.

Najmocniejsze są sceny finałowe, gdy widzimy rozmowę między uwięzionym na dole Oskarem z Kacprem oraz jego przełożonym Mikołajem (Andrzej Konopka). Mężczyźni porozumiewają się z poszukiwanym górnikiem tylko za pomocą sygnałów. Oskar słyszy ich przez radio. Oni słyszą tylko jego pukanie w rurę. Jedno uderzenia oznacza „tak". Dwa to „nie". Dramaturgicznie i aktorsko są to najlepsze sceny w filmie. Mimo że nie widzimy Oskara, czujemy jego dramat i ból. Cała istota tej sceny zamyka się w poruszających rolach Topy i Konopki. Twardych górników zderzających się z bezsilnością


Kino

i groźbą śmierci przyjaciela. Przyjaciela na dodatek zdradzonego. Jednak nawet wtedy górnicy rozumieją się bez słów. Łączy ich ten żelazny most wspólnego losu.

„Żelazny most" to opowieść o zdradzie i pokucie za nią. O zniszczonej przyjaźni i niemożliwym do osiągnięcia szczęściu ludzi budujących swój związek na krzywdzie trzeciej osoby. Jest to też kino katastroficzne. Nie tylko w scenach pokazujących akcję ratowniczą przysypanego górnika. To film o katastrofie, jaka dotyka trzy osoby. W wymiarze nie tylko osobistym.

„ŻELAZNY MOST", REŻ. MONIKA JORDAN-MŁODZIAKOWSKA, DYSTR. TVP

Magia biednego południa

Nie tylko dlatego, że kocham południe Italii ten film skradł moje serce. To po prostu uniwersalna i piękna opowieść o walce z wyzyskiem uciśnionych, którą można odbierać w najszerszym znaczeniu. Oparty na powieści Pietra Criaca film jest częściowo autobiograficzny, jego reżyser Mimmo Calopresti wychował się bowiem w niewielkim, odciętym od świata miasteczku w górach Kalabrii. Miasteczku, jak sam mówi, łączącym w sobie „niebo, piekło, baśń i tragedię". Czas w filmowym miasteczku się zatrzymał. Rządzący okolicą Don robi wszystko, by ludność nie miała drogi prowadzącej do pobliskiego miasta. Nie ma bieżącej wody ani elektryczności. Każdy, kto ma szansę, chce stąd uciec. Każdy poza lokalnym poetą (znany z „Dogmana" Marcello Fonte), przypatrującym się narastającemu buntowi społeczności. Po kolejnej bezsensownej śmierci przez brak lekarza lud buduje na własną rękę drogę. Wbrew lokalnym watażkom i włoskiej biurokracji. To jednak film o czymś więcej niż buncie. To poetycka, mądra i poruszająca opowieść o sile wspólnoty, rodzicielstwie i wiecznej tułaczce biednej ludności specyficznego południa Italii. Warto poszukać w małych kinach.

„ASPROMONTE", REŻ. MIMMO CALOPRESTI, DYSTR. AURORA


Kino

eprasa.pl 4dac2b45fe

UFO w renesansowej Italii?

Okrągły obraz z florenckiej kolekcji jest kunsztowny i bezsprzecznie piękny. Jest kolejnym dowodem na renesansową eksplozję geniuszu artystów Italii. Przedstawiony motyw: Madonna z Dzieciątkiem i małym św. Janem był bardzo często podejmowany w tym okresie, m.in. przez Rafaela. Obrazu z muzeum w Palazzo Vecchio nic szczególnego nie wyróżnia na tle podobnych osiągnięć epoki. Pospolitość obrazu jest jednak wielkim pozorem

Na obrazie na pierwszym planie przedstawione są trzy postaci: klęcząca Matka Boska z dłońmi złożonymi do modlitwy, leżące Dzieciątko oraz adorujący Je św. Jan. Matka odziana jest w czerwoną suknię, która, spływając na trawę, tworzy posłanie, na którym spoczywa jej Syn. Na suknię nałożony ma płaszcz w ciemnozielonym kolorze, podbity piękną, pomarańczową tkaniną, ujawniającą się w miejscach jego drapowania. Na lewym ramieniu okrycia złocą się gwiazdy symbolizujące dziewictwo Maryi. Welon, który ma na głowie, jest z tego samego, zielono-pomarańczowego materiału. Ponad głową unosi się lekka niczym piórko, półprzezroczysta aureola. Na trawie wokół rosną stokrotki – symbol wcielenia.

Przykryty zwiewną materią mały Pan Jezus, który wyciąga dłoń w kierunku kobiety, wspierany jest przez klęczącego chłopczyka, św. Jana. Scena, niemalże rodzajowa, pogodna i spokojna, niesie jednak zapowiedź przyszłej męki. O ramię św. Jana opiera się niewielki, smukły, złoty krzyż i nie trzeba być ekspertem chrześcijańskiej ikonografii, aby zrozumieć jego symbolikę. Zapowiedź pasji, wyrażona wkrótce po narodzinach, jest próbą ujęcia dwóch tajemnic na jednym planie: wcielenia oraz zmartwychwstania, poprzedzonego męką. Wyrazicielem tych trudnych prawd wiary, podobnie jak w przypadku wielu innych obrazów przestawiających motyw adoracji nowonarodzonego Pana Jezusa, jest Jan Chrzciciel.

Te trzy osoby urzeczywistniają na obrazie świętość, poza tym wokół panuje powszechność: osioł i wół, trawa, pnie drzew. Na dalszym planie mała postać św. Józefa. Za plecami przedstawionych postaci fantastyczny krajobraz. Fantastyczny w takim sensie, że nie odzwierciedla żadnej rzeczywistej panoramy czy okolicy obserwowanej przez artystę, lecz jego wyobrażenie pejzażu, który w najbardziej uroczysty sposób harmonizowałby z atmosferą świętości. Fantazja autora podyktowała mu szeroką rzekę pośród łagodnych wzgórz, skaliste zbocza, u których stóp stoi zamek, oraz zielone zarośla, trochę jakby w północnoeuropejskim charakterze.

Do tej pory nic nie wychyla się poza utarty od późnego gotyku kanon. W obrazie nie ma zgrzytu ani niepokoju. Przeciwnie: harmonia.

Taka narracja jest jednak przekłamana. Jest bowiem jeden element niepasujący do układanki. I to on, a nie talent autora sprawił, że obraz stał się sławny. Stawiam wszystkie złote rzeźby Berniniego przeciw drewnianym „instalacjom" Beresia, że obraz „Madonna adorująca Dzieciątko i św. Jan" byłby zupełnie zapomnianym dziełem sztuki, nie do wytropienia w internetach, gdyby nie ten autentycznie tajemniczy obiekt w prawym górnym rogu.

Mówię „autentycznie tajemniczy", gdyż automatycznie po pojawieniu się w jego kontekście słowa „UFO" mój mózg zaczął, z początku podświadome, racjonalistyczne zmagania z takim przedstawieniem sprawy; następnie, już zupełnie świadomie, zaczęłam oglądać ów spodek, analizując jego wygląd, aby w końcu zadać dramatyczne pytanie: „Dobrze, w takim razie, co to jest?". Po wykluczeniu niezidentyfikowanego obiektu latającego zostaje naprawdę zatrważająco mało opcji.

Co to jest?! Interpretację ufologiczną zostawiam „wścibskim dzieciakom" ze Scooby Doo, zwariowanym (mówiąc eufemistycznie) ezoterykom oraz wyznawcom teorii, że cywilizacja, kultura, religia, a nawet mistyka to w rzeczywistości manifestacja istot pozaziemskich, mających na celu... I tu każdy może dopowiedzieć cokolwiek, na co ma tylko ochotę. [...]

Dziarskie rozprawienie się z ufologicznymi koncepcjami szybko napotyka jednak okazałe rafy. Obiekt emituje bowiem promienie, ma kształt spodka i na domiar złego tuż pod nim pojawia się najprawdziwszy mistrz drugiego planu. Z psem.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Typ obiektu – obraz w formie tonda
Autor – nieznany, nazwany Maestro del Tondo Miller
Daty urodzenia i śmierci autora – nieznane
Tytuł – „Madonna adorująca Dzieciątko i św. Jan"
Data powstania – około 1515 r.
Technika – tempera na desce
Wymiary – średnica 90 cm
Lokalizacja – Palazzo Vecchio, Florencja

Mężczyzna ten mógłby się po prostu przechadzać, paść owce, skoro ma psa, lub robić coś typowego dla pagórkowatej okolicy z rzeką, skałami i zamkiem. Ale nie. On stoi, osłania ręką oczy i wpatruje się w obiekt na niebie, podkreślając jego niezwyczajność. Bez tej postaci łatwiej byłoby przejść nad latającym spodkiem do porządku dziennego. On jednak każdego, kto próbowałby to zrobić, strofuje swoją spokojną, lecz nieubłaganą postawą, wołając: „Hej, patrzcie, tam w górze coś jest, z pewnością nie ptak!".

Czy almanachy wszelakiej ikonografii lub inne słowniki symboli zawierają hasło „mężczyzna wpatrujący się w latający spodek"? Proszę nie szukać, od razu odpowiem, że nie. Taka sytuacja bardzo utrudnia odpowiedź na pytanie: „Co to jest?". Czas poszperać więc wśród innych obrazów.

Chociaż „Madonna adorująca Dzieciątko i św. Jan" jest jedynym obrazem, na którym niebo gości taki obiekt, to podobne zjawiska, spoza typowego porządku rzeczy, pojawiają się także

Fot. DeAgostini/Getty Images

eprasa.pl 4dac2b45fe

na innych obrazach. Zbliżony kształt można dostrzec na cudownie delikatnym obrazie innego przedstawiciela szkoły florenckiej Lorenza Monaco z 1410 r. Na obrazie „Narodzenie Chrystusa" występują aż dwa tajemnicze kształty unoszące się nad ziemią. Jeden znajduje się tuż ponad głową Matki Boskiej i choć nie jest czarnego koloru, to również emituje promienie. W głębi, na drugim planie, powyżej pasterzy zawisa taki sam spodek z wyłaniającym się z niego aniołem. Jeden z pasterzy obserwujących to zjawisko osłania oczy dłonią.

Żyjący mniej więcej w tym samym czasie co Maestro del Tondo Domenico Ghirlandaio namalował kilka obrazów przedstawiających pokłon Trzech Króli. W zasadzie każdy zawiera podniebny fenomen: niektóre są ogniste, inne chmuropodobne, inne niedefiniowalne. Często towarzyszy im anioł, którego na „ufologicznym" obrazie brak.

Na jednym z moich ulubionych dzieł sztuki, na ołtarzu „Pokłon Trzech Króli", wykonanym oszałamiającymi złotymi i srebrnymi farbami, które tworzą podniosły, magiczny nastrój, malarz Gentile da Fabriano, umieścił na predelli, czyli podstawie ołtarza, niewielki obraz. Przedstawiona została na nim scena Bożego Narodzenia: skromna stajenka, wół i osioł, Nowonarodzony adorowany przez Matkę, śpiący św. Józef. To plan pierwszy tego niewielkiego detalu z prześwietnego ołtarza. Plan drugi to: górzysta okolica, rozbudzeni dopiero co pasterze oraz lśniący obłok oślepiający mężczyzn. Nie trzeba bardzo się wpatrywać, aby dostrzec identyczność kształtu z obiektem namalowanym na obrazie „Madonna adorująca Dzieciątko i św. Jan". Trzeba natomiast wytężyć wzrok, aby w złocistym spodku z podstawy ołtarza wypatrzyć anioła.

Jeżeli więc uświadomimy sobie, że florenckie tondo to również scena bożonarodzeniowa, o czym dobitnie przypominają zwierzęta w prawej części obrazu, to oczywiste się staje, że drugoplanowiec z psem to po prostu pasterz. Pewna statyczność postaci sprawia, że nie jest to pierwsze skojarzenie. Pasterze z przytoczonych dzieł są w dramatycznych pozycjach, zaskoczeni, przestraszeni. Ten tutaj stoi wyprostowany, spokojny i tylko gest dłoni przy czole znamionuje zdziwienie.

Tajemnicze obiekty latające pojawiają się w europejskim malarstwie w scenach bożonarodzeniowych. Występują jednak zawsze w towarzystwie anioła i nie są czarne. Wyrażają zwiastowanie pasterzom tajemnicy narodzin Boga. Św. Łukasz opisał ten moment następująco: „W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą. Naraz stanął przy nich anioł Pański i chwała Pańska zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli. Lecz anioł rzekł do nich: »Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: Znajdziecie Niemowlę, owinięte w pieluszki i leżące w żłobie«".

Tajemnicze obiekty latające pojawiają się w europejskim malarstwie w scenach bożonarodzeniowych. W przeciwieństwie do obrazu „Madonna z Dzieciątkiem i św. Janem" występują jednak zawsze w towarzystwie anioła i nie są czarne

Przedstawienie „chwały Pańskiej, która zewsząd ich oświeciła" w formie promienistego dysku czy obłoku, wydaje się OK. Czyli UFO to nie UFO, tylko symbolicznie wyrażone zwiastowanie pasterzom przez anioły tajemnicy wcielenia? Pozytywna odpowiedź nie odziera obrazu z tajemnicy, lecz – przeciwnie – sprawia, że staje się on jeszcze bardziej wyjątkowy.

Dlaczego chmura jest bowiem czarna, a po aniele ani widu, ani słychu? Znalazłam wiele renesansowych obrazów z aniołami ogłaszającymi narodziny Mesjasza i z oświecającą tę scenę „chwałą Pańską", nigdy jednak nie była pustym ciemnym dyskiem.

Obraz ten jest niezwykły. Wspominałam o zawartym w nim paradoksie: jednoczesnym wyrażeniu dwóch prawd: narodzin i śmierci. Dzieło zawiera inny jeszcze paradoks, odmalowany właśnie tą ciemną, choć świecącą plamą. Jest on nazwany przez Pseudo-Dionizego Areopagitę „świetlistą ciemnością", wiodącą do kręgu kultury bizantyjskiej.

Świetlista ciemność to koncept bardzo tajemniczy. W europejskim mistycyzmie występują dwa sposoby mówienia o niewyrażalnym Bogu: poprzez teologię pozytywną (via positiva) oraz teologię negatywną (via negativa). Ciemny owalny kształt należy do tej drugiej. Pierwszy sposób zakłada metodę afirmacji, opisywania przymiotów Boga. Drugi to opisanie przez zaprzeczenie, przy założeniu o nieadekwatności wszelkich pojęć. Boga nie da się opisać terminami z naszego systemu pojęciowego, dlatego lepiej opisać jest Go poprzez zaprzeczenie.

Ojcem tej tradycji jest Pseudo-Dionizy Areopagita, żyjący na przełomie V i VI w. naszej ery syryjski mnich. Pisze on o Boskiej ciemności, która wyraża naszą zupełną niepoznawalność Jego natury. Ciemność ta jest nie do przekroczenia dla ludzkiego umysłu. W niej właśnie ukrywa się Bóg. Tu pojawia się paradoks, ciemna przesłona jest świetlista, zawiera bowiem Boskie światło. Chcąc wyrazić moment zwiastowania przez aniołów narodzenia Boga prostym pasterzom, piętnastowieczny autor wykazał się niezwykłą znajomością zagadnienia via negativa. Dla ludzkości, którą symbolizuje mężczyzna z psem, Bóg pozostaje ciemnym obłokiem niewiedzy, emanującym jednak boskim światłem, na obrazie wyrażonym w formie złotych promieni.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Ze zdumieniem odkrywam, że na wszystkich prawosławnych ikonach o tematyce bożonarodzeniowej występuje czarny, lecz emanujący świetlistością półokrągły kształt ponad Świętą Rodziną...

Gdy drążę wątek Pseudo-Dionizego Areopagity dostaję e-maila od Sereny Pini, kustosz Muzeum Palazzo Vecchio we Florencji. Odpowiada na mój list, w którym proszę o wyjaśnienie pewnych niejasności dotyczących ufo-painting (obraz UFO), jak zaczęto nazywać go w latach 90. XX w., po publikacji artykułu łączącego po raz pierwszy florenckie tondo z wątkiem pozaziemskim. Niejasności jest sporo. Raz po raz napotykałam błędne tytuły, mylne określenie autorstwa i techniki. Odnalazłam informację, że obraz należy do zbioru ofiarowanego Florencji przez amerykańskiego kolekcjonera Karola Alexandra Loesera. Zainteresowanie obrazem jest wielkie, tak jak wielka jest ilość niesprawdzonych informacji.

List wprost ze źródła ustawia rzeczy we właściwym porządku, poprawne dane wpisuję do tabelki, z notatek wykreślam informację o Loeserze. To on wzbudził moje, jak się okazało, słuszne podejrzenia. Owszem, wśród podarowanych obrazów jest jeden o podobnej tematyce i tytule, ale jednak nie ten. Kustosz podsuwa mi, w załączonym do e-maila artykule, niezmiernie ciekawy wątek. Kluczem jest pies oraz znów sztuka bizantyjska. To potwierdza moją intuicję o zakorzenieniu symboli z obrazu w estetyce cesarstwa wschodniorzymskiego.

Artykuł autorstwa Alberto Lenzy, opublikowany został w katalogu do wystawy o znaczącej nazwie „In cima alle stelle. L'universo tra arte, archeologia e scienza" (Na szczycie gwiazd. Wszechświat między sztuką, archeologią i nauką), na której obraz był eksponowany. Przypadek? Nie sądzę. Tak wiele jest dzieł prezentujących gwiazdy, komety, zorze i inne niebiańskie fenomeny, a autorzy znamienitej wystawy wybrali właśnie ten obraz. Dlaczego? Bo czarny obiekt jest niezwykły.

Lenza potwierdza teorię, że owalny ciemny kształt to obłok. Uważa jednak, że jest to bardzo nietypowe, nieantropomorficzne przedstawienie anioła.

Dlaczego w obowiązkowym, z punktu widzenia Ewangelii, miejscu brak jest uskrzydlonego młodziana, najlepiej z trąbką? Anioł to byt niekoniecznie człowiekopodobny, niekoniecznie nawet podobny do czegokolwiek z naszego świata. Dla maluczkich reprezentowany jest przez umięśnionego mężczyznę ze skrzydłami, aby czuli respekt, albo przez uroczego bobasa w typie amorka.

Dowodem ostatecznym ma być pies. Wszyscy miłośnicy wesołych czworonogów wiedzą najlepiej, że piesek ma nieprawdopodobną intuicję, szósty zmysł, no i mądrość wszelką. Piesek by więc anioła nie poznał?

Równie dobrze może być jednak obłokiem, na co zwraca uwagę autor artykułu, przypominając, że dla św. Tomasza jest wręcz oczywiste, że aniołowie pochodzą z kondensacji chmur. W apokryficznej Ewangelii Judasza, popularnej w renesansowych Włoszech, pojawia się informacja, że Jezus stworzył anioła właśnie z chmury.

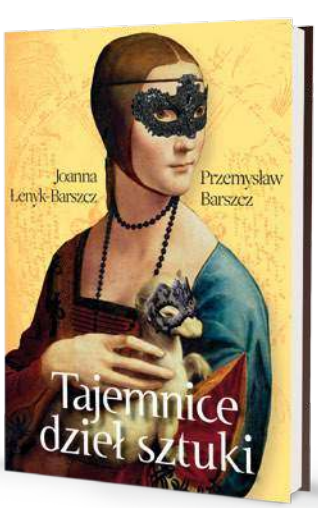
Dowodem ostatecznym ma być pies. Wszyscy miłośnicy wesołych czworonogów wiedzą najlepiej, że piesek ma nieprawdopodobną intuicję, szósty zmysł, no i mądrość wszelką. Piesek by więc anioła nie poznał? Hm. Na szczęście dowodzenie Lenzy idzie zupełnie innym torem. Obecność szczekającego psa to klucz do rozwiązania zagadki obiektu latającego – motyw ten obecny jest już od VI w. w sztuce bizantyjskiej. Szukam pospiesznie w albumach, z których wyglądają pociągłe twarze i smukłe złote sylwetki (tak bliskie każdemu chyba Polakowi dzięki Matce Boskiej Częstochowskiej). Przeglądam kartki pełne skonwencjonalizowanych gestów i niezwykłych, wysyconych barw, tworzonych z najdroższych pigmentów.

I w końcu znajduję. Często tam, gdzie jest anioł oznajmiający narodzenie Pana, jest i pies! Dokonuję sprawdzenia włoskiej teorii. Jeżeli na obrazie szkoły florenckiej występuje równanie z jedną niewiadomą, którą jest tajemniczy obłok (pies + pasterz = x), a wiadomo, że na dawniejszych bizantyjskich ikonach występuje wzór: pies + pasterz = anioł, to równanie jest rozwiązane, tak jak chciał włoski naukowiec. Czy nie ma jednak błędu w takim rozumowaniu? Bo czym w końcu jest czarna chmura? Wyrażeniem w języku teologii negatywnej Boga czy metaforą anioła?

Jedno jest pewne: proweniencja ciemnego obłoku z bożonarodzeniowego obrazu jest wschodnia. O przenikaniu kultury Bizancjum w jego schyłkowym okresie do państw Italii, w którego efekcie powstał renesans, dużo by mówić. Warto tu jedynie wspomnieć, że to jest właśnie ten moment i to miejsce. A obraz „Madonna adorująca Dzieciątko i św. Jan" jest tego dobrym przykładem. [...]

Joanna Łenyk-Barszcz

Tekst jest fragmentem nowej książki małżeństwa Joanny Łenyk-Barszcz i Przemysława Barszcza „Tajemnice dzieł sztuki", która nakładem Wydawnictwa Fronda właśnie się ukazała na rynku księgarskim



eprasa.pl 4dac2b45fe



SZKODA SMOLEŃSKA

Tu-154M o numerze bocznym 102, czyli bliźniacza kopia rozbitego w Smoleńsku tupolewa, jest dla śledztwa ważny, zwłaszcza że Rosjanie nadal przetrzymują wrak „101". Dlatego należy o ten samolot zadbać i uchronić przed dalszym niszczeniem, nawet w dobrej wierze. Ufając, że prokuratorskie śledztwo znajdzie kiedyś swój finał w sądzie, to nie emocje, a możliwe do procesowego wykorzystania dowody będą miały wówczas znaczenie



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

„Prokuratura Krajowa włączyła samolot Tu-154M o numerze bocznym 102 do materiału dowodowego w śledztwie dotyczącym katastrofy smoleńskiej" – poinformowaliśmy na portalu wPolityce.pl. Oznacza to, że aby zbliżyć się do maszyny, każdorazowo potrzebna będzie zgoda śledczych.

W postanowieniu prokuratorzy wskazują, że dotychczas „102" była wielokrotnie przedmiotem oględzin z ich strony, lecz „czynności te nie miały charakteru niszczącego czy też w jakikolwiek sposób ingerującego w integralność techniczną samolotu" ani nie powodowały „demontażu poszczególnych elementów oraz trwałego usuwania ich z miejsca stacjonowania samolotu". Zabezpieczenie okazało się koniecznością ze względu na zniszczenia samolotu z powodu „działalności Podkomisji do Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego" – czytamy w postanowieniu.

Dokument jest obszerny, podobnych stwierdzeń jest w nim więcej, ale czy nie są one przesadzone? Sprawdźmy.

WARSZTAT W HANGARZE

Wnętrze hangaru, w którym stoi druga „tutka", przypomina warsztat majsterkowicza. Do demontażu samolotu członkowie podkomisji używali narzędzi, które można kupić w dowolnym markecie budowlanym. – Jeśli czegoś nie dawało się odkręcić, to obcinali. Do roznitowania używa się zazwyczaj specjalnych narzędzi, oni ich nie mieli, nity więc wycinali, niszcząc przy tym poszycie, które w wielu miejscach jest pogięte. Z lewego skrzydła zostało niewiele, podobnie jak z kabiny pilotów i prezydenckiej salonki. Podziurawione jest także górne poszycie kadłuba. Wiele elementów leży na kupie, pod ścianą hangaru – słyszymy szokującą relację osoby, która była przy tych „pracach".

Jest też mowa o zdemontowanym stateczniku, „workach pełnych drobnych elementów, zupełnie jak w hangarze w Smoleńsku" i „dziurach zaklejonych taśmą".

Jak do tej rzeczywistości mają się słowa Kazimierza Nowaczyka, zastępcy przewodniczącego podkomisji, że samolot będzie można po zakończeniu prac złożyć i właściwie tematu nie ma? Jako żywo przypomina nam to scenę z filmu „Rozmowy kontrolowane", gdy jego bohater, stojąc na zgliszczach Pałacu Kultury i Nauki, mówi: „To się odbuduje".

eprasa.pl 4dac2b45fe

Po pierwszych sygnałach o niszczeniu wojskowego mienia w październiku 2018 r. śledczy zwrócili się do MON o zbadanie stanu maszyny. W tym celu w ministerstwie powołano komisję inwentaryzacyjną. Zakończyła ona prace wnioskiem o „trwałych uszkodzeniach samolotu". Mimo że właściciel (MON) zażądał protokołu rozbiórki tupolewa, z wyszczególnieniem, gdzie są wymontowane części i dlaczego zostały z całości wyjęte, podkomisja go nie przedstawiła.

Dziś jej wiceszef sugeruje, że wszystkie prace wykonywali specjaliści z Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 w Dęblinie. Ale to nieprawda. Zgodnie ze zleceniem wykonywali pierwsze prace demontażowe (na potrzeby skanowania przez NIAR), ale wszystkie zdjęte elementy zdeponowali w hangarze. Nie było mowy o wycinaniu czegokolwiek ani trwałym uszkadzaniu! Widzieliśmy dokumenty wojskowe stanowiące, że specjaliści z WZL stwierdzili zdekompletowanie elementów samolotu i brak możliwości przywrócenia go do stanu pierwotnego.

Zaznaczmy, że nie chodzi o kwestionowanie zasadności wszystkich prac. Być może nawet zniszczenie pewnych elementów jest konieczne w toku doświadczeń, ale musi budzić wątpliwości, że nie dzieje się to według żadnego planu, na który ministerstwo oraz prokuratura wyraziłyby zgodę. Do tego obligują stosowne przepisy, o których za chwilę.

Według naszych informacji nie ma żadnego protokołu, co i w jakim celu wycinano z samolotu ani gdzie te elementy dziś się znajdują. A przypomnijmy, że mówimy o mieniu należącym do Wojska Polskiego.

CO NA TO PRAWO

Trudno powiedzieć, do czego dziś podkomisji potrzebny jest drugi tupolew. Zanim jeszcze się okazało, że prokuratura włączyła go do materiału dowodowego, Antoni Macierewicz mówił 21 listopada w TV Republika: „Poza samymi pomiarami całego samolotu niezbędne jest także rozłożenie masy tego samolotu, czyli także tych części, które są ruchome, które są tam wstawione, a których waga przekracza mniej więcej 5 kg i wszystkie te części są zidentyfikowane i umiejscowione w ich właściwym położeniu oraz z właściwym kształtem. Jakieś tam fragmenty są jeszcze dogrywane, ale pomiar samolotu już jest dawno zakończony i na tej podstawie dokonywane są symulacje, które weryfikują – bądź falsyfikują – raporty pani Anodiny i pana Millera (...) oraz raport techniczny, który opublikowała komisja, którą mam zaszczyt kierować. Te dwie pierwsze symulacje w zasadzie są już zrobione – jeśli chodzi o raport pani Anodiny i pana Millera. Teraz trwają prace nad weryfikacją raportu technicznego. Powinny zostać zakończone przez Narodowy Instytut Badań Lotniczych (NIAR) przy uniwersytecie Wichita do końca tego roku".

Skoro więc „wszystkie części są zidentyfikowane", po co dalsze badania? Skoro NIAR wypowiedział się już na temat raportów MAK i komisji Millera, po co dalsze badania drugiej „102"? A jednak jakieś badania podkomisja planuje. Bo tydzień później, gdy okazało się, że prokuratura przejmuje władztwo nad samolotem, przewodniczący Macierewicz stwierdził w TV Republika: „Próbuje się w ten sposób zablokować kluczowe prace komisji. Nawet niektórzy członkowie komisji wpadli w panikę, że prace komisji trzeba będzie przedłużyć. Oczywiście zrobimy wszystko, żeby tego uniknąć i jestem przekonany, że ten termin będzie dotrzymany. Ale trudno nie ulec wrażeniu, że chodzi o to, żeby ten termin nie mógł być dotrzymany, że taka jest rzeczywista intencja. (...) Próba zablokowania działań komisji jest działaniem na szkodę polskiego interesu narodowego".

To mocne słowa przewodniczącego, być może dyktowane emocjami. Jednak nie rozjaśniają one, czy jakieś badania podkomisja chciała jeszcze prowadzić (skoro tydzień wcześniej mówił on, że wszystko jest już zakończone).

I kolejna nieścisłość. Antoni Macierewicz powtarza, że praca podkomisji jest na ukończeniu i jeszcze przed 10. rocznicą katastrofy należy się spodziewać raportu końcowego. Glenn Joergensen, członek podkomisji smoleńskiej, zaś twierdzi, że na prace podkomisji potrzeba jeszcze 12 miesięcy. Komu wierzyć?

Macierewicz złożył zażalenie na decyzję prokuratury. Domaga się cofnięcia decyzji o przejęciu drugiej „tutki". Powołuje się tu na dwa dokumenty: „To jest bezprawne, niezgodne z ustawą Prawo lotnicze i z porozumieniem zawartym z Ministerstwem Obrony ze strony Ministerstwa Sprawiedliwości, a przede wszystkim Prokuratora Generalnego". Wyjaśnijmy: Prawo lotnicze w ogóle nie zajmuje się takimi kwestiami, podobnie jak porozumienie podpisane w listopadzie 2014 r. przez Tomasza Siemoniaka i Andrzeja Seremeta (którego urząd był wówczas niezależny od ministra sprawiedliwości). Dokument ten stanowi w par. 3, że obie strony (prokuratura i komisja) mają równoprawny dostęp do miejsca zdarzenia, a nie materiałów dowodowych. Do tych odnosi się par. 4, w którym czytamy m.in.: „Organ prowadzący postępowanie karne zabezpiecza wszelkie dowody, mogące mieć znaczenie w tym postępowaniu". Właśnie tak zrobili śledczy w sprawie „102". Porozumienie to wcale nie jest dziś na rękę podkomisji. Mówi bowiem również, że „w przypadku badania mogącego powodować modyfikację lub zniszczenie dowodu, koniecznego dla Komisji i organu prowadzącego postępowanie karne, uzgadnia się wykonawcę oraz termin badania". Takich uzgodnień przed cięciem „102" nikt nie poczynił. Prokuratura dowiadywała się o ingerencji w strukturę samolotu po fakcie.

A zasadniczo warto pamiętać o nadrzędności Kodeksu postępowania karnego i rozporządzenia ministra sprawiedliwości nad „Regulaminem wewnętrznego urzędowania powszechnych jednostek organizacyjnych prokuratury". Te akty prawne dają śledczym możliwość wyłącznego decydowania, co powinno znaleźć się w materiale dowodowym.

To zebrane dowody i eksperymenty przeprowadzone w śledztwie będą bowiem miały znaczenie w przyszłym postępowaniu sądowym, a nie badania przeprowadzone przez podkomisję. Bo to prokuratura ma obowiązek skierować akt oskarżenia wobec winnych tragedii (jeśli będzie w stanie ich wskazać), a następnie obronić go przed sądem. Zadaniem podkomisji jest „jedynie" ustalenie okoliczności katastrofy i wypracowanie zaleceń profilaktycznych na przyszłość.

NIKT NIE DBAŁ O „102"

Gdy doszło do katastrofy smoleńskiej, Tu-154M nr 102 był jeszcze remontowany w rosyjskiej Samarze. Do Polski

eprasa.pl 4dac2b45fe

wrócił we wrześniu 2010 r. Komisja Millera wykorzystała go m.in. do eksperymentów sprawdzających funkcjonowanie systemów automatycznego odejścia.

Na początku sierpnia 2011 r. odbył swój ostatni lot rządowy. Plan ministra Siemoniaka zakładał sprzedaż świeżo wyremontowanej maszyny i zarobienie na niej ok. 40 mln zł. Zaprotestował przeciw temu mec. Piotr Pszczółkowski, który wówczas w śledztwie reprezentował Jarosława Kaczyńskiego. Złożył on wniosek do prokuratury wojskowej, by ta zwróciła się do MON o niesprzedawanie samolotu, bo może być potrzebny jako porównawczy materiał dowodowy, skoro Rosjanie nie chcą oddać szczątków rozbitej maszyny.

Ze sprzedaży zrezygnowano, a samolot postawiono w 23 Bazie Lotnictwa Transportowego w Mińsku Mazowieckim. Przez lata wydawał się nikomu do niczego niepotrzebny. Również po zmianie władzy. Gdy po wyborach z 2015 r. ministrem obrony został Antoni Macierewicz, a kilka miesięcy później powstała podkomisja, wciąż nie interesowano się losem bliźniaczego tupolewa.

Dywagowano, jak można go wykorzystać, ale plan podkomisji (kierowanej jeszcze przez Wacława Berczyńskiego) skupiał się na zakupie za granicą innego Tu-154, który posłużyłby do eksperymentów, albo choć samego skrzydła, identycznego do tych zamontowanych w rozbitej „101". Dlaczego i ten pomysł zarzucono? Do dziś nie wiadomo.

Wreszcie postanowiono skorzystać z samolotu stacjonującego w Mińsku. Najpierw zeskanowano go z zewnątrz, by stworzyć ogólny model komputerowy samolotu. Następnie, przy udziale przedstawicieli National Institute for Aviation Research (NIAR) z USA (podkomisja ma z nim podpisaną umowę o współpracy), przeprowadzono drobiazgową procedurę skanowania wnętrza maszyny, co miało służyć stworzeniu precyzyjnego modelu cyfrowego do dalszych badań w Kansas.

W lutym 2018 r. obserwowaliśmy te prace jako pierwsi dziennikarze zaproszeni do Mińska przez prof. Wiesława Biniendę. W naszych relacjach podkreślaliśmy ze zdziwieniem, że samolot nie stoi w pobliskim (oddalonym 100 m) hangarze, lecz pod gołym niebem. Dopiero po naszych publikacjach przeciągnięto go pod dach (a nie jak dziś twierdzi Glenn Joergensen w 2015 r.).

Działań podkomisji ślepo broni „Gazeta Polska". W jej publikacjach nie chodzi – po ostatnim artykule widzimy to coraz wyraźniej – o przedstawienie stanu faktycznego, lecz o uzasadnianie wszystkich, również dewastujących, działań. Nawet nie chcemy się domyślać, dla kogo przeznaczona jest teza o prorosyjskości ekspertów pracujących dla prokuratury i nazwanie nas – relacjonujących treść dokumentów – zwolennikami Putina. To jakaś obsesja, która sprawy nigdy nie popchnie naprzód, skutecznie ją natomiast obrzydza opinii publicznej. Jest pewien poziom złych emocji i dziennikarskiej nierzetelności, z którym nie chcemy polemizować. Wolimy – jak zawsze – poruszać się w sferze faktów.

Od Glenna Joergensena z podkomisji smoleńskiej otrzymaliśmy pismo, które odnosi się do problematyki naszej publikacji. Przytaczamy je w całości

Zgodnie z polskim prawem komisja jest zobowiązana do zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej i spodziewa się zakończyć tę pracę za 12 miesięcy. Wszystkie prace komisji dotyczące siostrzanego tupolewa P102 są wykonywane w celu wypełnienia zobowiązań Polski podpisanych w umowie między państwem polskim a wiodącymi światowej klasy laboratoriami.

Rzetelne i wiarygodne wnioski opierają się na dokładnych i szczegółowych danych wejściowych. Precyzyjne skanowanie laserowe 3D z dokładnością do ułamków milimetrów przeprowadzone w naszych badaniach wymagało miesięcy skanowania przez wykwalifikowany personel z Polski i zagranicy przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu. Ponadto udokumentowaliśmy budowę tupolewa na ponad 22 000 stronach raportów z pomiarów i weryfikacji grubości płyt i połączeń konstrukcyjnych. Równie ważne jak wymiary fizyczne są właściwości materiałowe. Samolot jest zbudowany z wielu różnych rodzajów materiałów (a w tym m.in. różnych jakości aluminium). Odpowiednie próbki materiałów zostały pobrane i wysłane do międzynarodowych laboratoriów w celu właściwej charakterystyki.

Dla porównania poprzednie zespoły śledcze praktycznie nie zrobiły nic w ciągu 5 lat, aby wykorzystać dostępne ważne informacje w tym względzie. W ciągu 5 lat po 2010 r. bliźniaczy samolot P102 stał w deszczu i śniegu przed hangarami w Mińsku Mazowieckim i w wyniku działań komisji został zaparkowany w hangarze i ochroniony przed wpływem warunków atmosferycznych.

Jeżeli jakikolwiek inny podmiot państwa polskiego przewidywał potrzebę podobnych lub innych specjalistycznych testów tego samego samolotu – powinno było być to skoordynowane i ze strony komisji na poziomie roboczym podejmowano próby w tej kwestii.

Dobrą wiadomością odnośnie śledztwa jest to, że dzięki wielu tysiącom godzin ciężkiej precyzyjnej pracy pomiarowej w skrzydle, w komorze paliwowej, skanowaniu laserowym, charakteryzacji materiałów itp. dysponujemy teraz najbardziej szczegółowym na świecie modelem 3D samolotu TU-154M z ponad 35 mln elementów. W przeciwieństwie do korzystania z samolotu, który w momencie rozpoczęcia prac komisji nie był już dopuszczony do latania, możemy przetestować całą gamę scenariuszy wykorzystujących ten model. Dzięki posiadanemu modelowi z dbałością o szczegóły będziemy mogli w przyszłym roku przeprowadzić bardzo dokładne symulacje w celu naukowego wyjaśnienia przyczyn katastrofy oraz weryfikacji bezpodstawnych ustaleń poprzednich organów dochodzeniowych. Symulacje pozwolą nam na określenie, co się stanie i jaki będzie obraz końcowy, gdy: skrzydło TU-154M uderzy w brzozę, samolot uderzy o ziemię, samolot zostanie poddany wewnętrznym eksplozjom, zostanie przetestowana inna istotna hipoteza.

Wynik tych badań i obraz, który dadzą, będzie mógł być porównany z faktycznym udokumentowanym obrazem pola szczątków w Smoleńsku. Jest to dochodzenie oparte na dowodach. Wymaga ciężkiej pracy i czasu.

Wydaje mi się, że zamiast powodować perturbacje w momencie finalizacji bardzo ważnego etapu prac, warto skupić także dziennikarską energię na istocie problemu i przyczynach tragedii, która miała miejsce w Smoleńsku.

Crash Investigator, MSc. Mech. Eng. Glenn Arthur Joergensen.
Member of International Society of Air Safety Investigators.

52/1019/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

niedziela

W NOWEJ ODSŁONIE



• nowe tematy • nowe działy
• nowi autorzy • nowa szata graficzna

Nowa „Niedziela" na Boże Narodzenie, a w niej:

– płyta z kolędami i pastorałkami GOLEC UORKIESTRA
– Kalendarz ścienny na 2020 r.

DO NABYCIA JUŻ 22 GRUDNIA

eprasa.pl 4dac2b45fe



Gdy piekło zamiera

Byłam pierwszym lekarzem w całej Norwegii, który został zwolniony za poglądy. Obecne prawo dyskryminuje wszystkich, którzy uważają, że życie jest święte – od poczęcia do naturalnej śmierci. W Norwegii nikt, kto ma takie przekonania, nie będzie mógł podjąć pracy w medycynie rodzinnej. Przeciwko takiemu czemuś wystąpiłam

Z dr Katarzyną Jachimowicz,
polską lekarką pracującą w Norwegii jako lekarz rodzinny, rozmawia Jan Pospieszalski

W tej historii jest wszystko, czego potrzebuje dobry scenariusz: kobieta imigrantka należąca do mniejszości wyznaniowej rzuca wyzwanie potężnemu systemowi. Decyduje się wytoczyć proces norweskiemu państwu i rozpoczyna długi marsz przez trzy instancje sądowe. Po pięcioletnich zmaganiach wygrywa. Nie chodzi tu ani o pieniądze, ani o chęć postawienia na swoim. Motywacją są wartości, prawa człowieka, godność osoby ludzkiej. Czy czuje się pani wygrana?

Katarzyna Jachimowicz: Tak. Czuję się wygrana, choć nie spodziewałam się tego.

Ale zacznijmy od początku. Jak wygląda ochrona życia w Norwegii?

Aborcja jest dozwolona na życzenie do 12. tygodnia ciąży, a ze wskazaniem medycznym – gdy występuje choroba dziecka lub matki – do 18. tygodnia. Uchwalenie tego prawa przed laty to tylko etap pewnego stałego procesu. W Norwegii trwa przesuwanie granic tylko w jedną stronę: przeciwko życiu. Ustawa uchylająca ochronę życia przeszła jednym głosem, przy masowych protestach środowisk chrześcijańskich. Wielu uczestników było aresztowanych. Spotykam ludzi, którzy przyznają, że spędzili dwa tygodnie w więzieniu. Pastorzy, którzy protestowali, zostali usunięci z pracy, ponieważ w Norwegii Kościół jest instytucją państwową. Od tego czasu aborcja pochłonęła pół miliona istnień ludzkich – 10 proc. populacji.

Pytam, ponieważ to ważne w kontekście pani historii. Kiedy się pani dowiedziała, że zostaje zniesiona klauzula sumienia?

Kiedy wyjeżdżałam z kraju, wiedziałam, że do obowiązków lekarza rodzinnego w Norwegii należy kierowanie na aborcję i stosowanie antykoncepcji wczesnoporonnej. Jednocześnie wiedziałam też, że istnieje klauzula sumienia, że mogę tych świadczeń nie robić. Nie sądziłam, że Norwegia, w której jest wolność i tolerancja, będzie bardziej totalitarna pod tym względem niż Polska za czasów komunistycznych.

Ale z czasem okazało się, że powołanie się na klauzulę sumienia dyskwalifikuje panią jako lekarza rodzinnego.

Od stycznia 2015 r. zaczęła obowiązywać nowa ustawa o zawodzie lekarza rodzinnego. Doprecyzowano jednoznacznie zakaz klauzuli sumienia w medycynie rodzinnej.

Czy odbywało się to przy akceptacji społecznej?

Tak. Nawet przy sporych manifestacjach przeciwko klauzuli sumienia. W chwili gdy zmieniano prawo, w całej Norwegii było 16 lekarzy powołujących się na klauzulę sumienia.

eprasa.pl 4dac2b45fe

W tym ja. Przeciw nam były potężne wielotysięczne feministyczne manifestacje. Moja szefowa postawiła mnie pod ścianą: albo zmieniasz swoje poglądy, albo musisz zrezygnować z pracy. Oczekiwali, że sama zrezygnuję. Dwóch moich kolegów Norwegów, którzy byli w podobnej sytuacji, złożyło już takie wypowiedzenie. Ja postąpiłam inaczej. Widząc, że prawa lekarzy o poglądach chrześcijańskich są sukcesywnie ograniczone, nie chciałam tego zrobić. Prawo do klauzuli sumienia jest prawem człowieka. Nie można wykonywać zawodu, mając dwie różne normy moralne. Skoro jestem katoliczką, jestem za życiem. Zabijanie człowieka, nawet w bardzo wczesnej fazie, jest czymś niedopuszczalnym. Oczekiwano, że będę wykonywała swoją pracę, zostawiając wartości moralne w domu. A przecież ja jestem integralną osobą. Powiedziałam mojemu szefostwu, że to oni mnie muszą zwolnić. Sama z pracy nie zrezygnuję.

Co było dalej?

Czasem w sytuacjach bez wyjścia okazuje się, że mamy wybór. Ten sposób utraty pracy pozwolił mi obnażyć pewne mechanizmy w Norwegii, a pokazanie tych mechanizmów jest już w pewnym sensie wygraną.

Co pokazało wyrzucenie pani z pracy?

Że Norwegia jest krajem nietolerancyjnym. Akceptuje się tu różne narodowości, wyznania, mniejszości, wszelkie możliwe style życia, ale mój okazał się nie do zaakceptowania. To jest jawne łamanie praw człowieka. I to zostało dostrzeżone przez opinię publiczną. Byłam pierwszym lekarzem w całej Norwegii, który został zwolniony za poglądy. Samo pokazanie, jak działa państwo, już było moim zwycięstwem. Rozważałam ewentualne zaskarżenie tej decyzji do sądu, jednak wtedy wydawało mi się to nierealne. Potrzeba było ogromnych środków i dobrego adwokata, środowiska medycznego, które bym mnie poparło. Ja byłam sama.

Znalazła się pani bez pracy. Co postanowiła pani zrobić?

Kiedy mnie zwolniono, zupełnie przypadkowo pojawiła się propozycja pracy na psychiatrii. Skorzystałam z niej.

Na psychiatrii? To zupełnie inna specjalizacja.

Tak, to zupełnie nowe wyzwanie. Jednocześnie zgłosili się do mnie przedstawiciele Stowarzyszenia Lekarzy Chrześcijańskich – protestanci. Znaleźli adwokata i zapewnili środki, by pozwać pracodawców do sądu.

Jak zareagowała gmina?

Byli wściekli, próbowali mnie przekupić, żebym odstąpiła od pozwu. Zaproponowano mi ekwiwalent pieniężny na przekwalifikowanie się. Była to równowartość najniższej norweskiej pensji. Ta suma w najmniejszym stopniu nie rekompensowała mi utraty nawet miesięcznych zarobków.

> Prawo do klauzuli sumienia jest prawem człowieka. Skoro jestem katoliczką, jestem za życiem. Oczekiwano jednak, że będę wykonywała swoją pracę, zostawiając wartości moralne w domu. A przecież ja jestem integralną osobą

Czy wystąpiła pani do sądu z pobudek materialnych?

Nie. Chodziło mi o to, że obecne prawo dyskryminuje wszystkich, którzy uważają, że życie jest święte – od poczęcia do naturalnej śmierci. W Norwegii nikt, kto ma takie przekonania, nie będzie mógł podjąć pracy w medycynie rodzinnej. Przeciwko takiemu czemuś wystąpiłam. Żadna kwota pieniędzy nie mogła mnie przekupić.

Jak wyglądała pierwsza rozprawa?

Mój adwokat bardzo dobrze się przygotował. To był wywód filozoficzny, historyczny, prawny o znaczeniu klauzuli sumienia dla człowieka, ludzkości i lekarzy. To nie zostało wysłuchane. Wyrok był negatywny. Sąd nie dopatrzył się złamania prawa. Orzekł, że mój sposób traktowania kobiet jest dyskryminujący, ponieważ kobieta, przychodząc do mnie, mogłaby się spotkać z odmową założenia spirali wczesnoporonnej, a mężczyzny taka odmowa nie spotka. Gdy to usłyszałam – mimo że przegrałam – nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

Z czym wiązało się przegranie procesu?

Przede wszystkim z ogromnymi kosztami sądowymi. Kilkaset tysięcy koron. Ale postanowiłam walczyć dalej. Byłam przygotowana na długi bieg, nawet do Strasburga.

Czy były jakieś echa procesu?

Tak. Już po pierwszej rozprawie w norweskich mediach nastąpiła zmiana tonu. Komentarze były bardziej wyważone. Nie było już takiej nagonki na środowisko lekarzy chrześcijańskich. Ciekawe były komentarze pod publikacjami norweskimi – pełna skala postaw: od szyderstwa, bagatelizowania, po wyrazy szacunku i akceptacji. Feministki miały ze mną kłopot, bo wyrzucono z pracy kobietę, imigrantkę, przedstawicielkę mniejszości wyznaniowej.

W końcu doszło do rozprawy w drugiej instancji.

Powtórzyliśmy naszą argumentację, ale tym razem wezwaliśmy na świadka przewodniczącego Zrzeszenia Lekarzy Rodzinnych. Zeznał, że praca z taką osobą jak ja, która z pobudek moralnych i religijnych odmawia wykonywania pewnych procedur, wcale by mu nie przeszkadzała. Że można zorganizować pracę tak, by pogodzić szacunek do wartości lekarza i sprawną pracę przychodni. W tej rozprawie również jako świadek zeznawał inny lekarz. On też zachował się przyzwoicie. Solidarność zawodowa

Fot. Paweł Pierzchanowski

eprasa.pl 4dac2b45fe

wzięła górę, mimo że nie podzielał moich poglądów. W mojej obronie apel podpisali inni lekarze, koledzy z pracy. Dostałam duże wsparcie.

Ale przecież oni nie podzielali pani poglądów.

No właśnie. Ale uważali, że mam prawo odmawiać wykonywania procedur, które uznaję za niegodziwe. To musiało rodzić u nich konflikt sumienia. Ta sytuacja sprawiła, że owi lekarze musieli na nowo stanąć wobec problemów, które już dawno uznali za rozstrzygnięte. Mój przekaz był jednoznaczny: życie jest święte od poczęcia aż do naturalnej śmierci. Jednocześnie prawo pozwala zabijać dzieci do 12. tygodnia. Te dwie rzeczywistości obok siebie rodzą niepokój, drażnią sumienia lekarzy i pacjentów. W tym czasie miałam bardzo dużo rozmów z pacjentkami po aborcji. Towarzyszyłam im w procesie pogodzenia się z tym. Przychodziły i opowiadały mi o swoim żalu. O tym, że może powinny były postąpić inaczej. Jedna rzecz się powtarza – jest niezwykła, aż ciarki przechodzą, jak o tym mówię. Każda z nich mówi o wielkim poczuciu osamotnienia. W momencie podejmowania decyzji wszyscy mówią: „To jest twoje prawo, twój wybór". A potem wszyscy odsuwają się od konsekwencji. Te wszystkie kobiety opowiadają o straszliwej samotności. Gdzie my jesteśmy jako rodzina, opieka medyczna, jako społeczeństwo? Dlaczego ich nie wspieramy? To powtarzające się poczucie osamotnienia przewija się we wszystkich świadectwach. A tak na marginesie – nieraz pytam znajomych księży, czy kobiety spowiadają się z aborcji? Tak, przyznają. A ilu mężczyzn się z tego spowiada? Nie ma takich! A do tanga trzeba dwojga. Gdzie jest mąż, partner? Gdzie tatuś tych dzieci?

Wróćmy do procesu. Co wydarzyło się w drugiej instancji?

Po prostu wygrałam. Uzasadnieniem wyroku było właśnie to, czego chciałam: prawa człowieka.

Ale na tym historia się nie skończyła.

Gmina wystąpiła z apelacją do Sądu Najwyższego, czego konsekwencją była kolejna rozprawa. W Sądzie Najwyższym było pięciu sędziów. I tym razem wygrałam stosunkiem głosów pięć do zera! W najśmielszych oczekiwaniach tego się nie spodziewałam.

Pani wygrana odbiła się szerokim echem w mediach. Jak zareagowały środowiska chrześcijańskie?

Chrześcijańskie stowarzyszenie lekarzy uznało to za wielki sukces, który świętowaliśmy na specjalnej konferencji.

A jak zareagował Kościół katolicki?

Dostałam zaproszenia z dwóch norweskich parafii, ale poza tym – muszę powiedzieć – że sprawa dla nich jakby nie istniała.

A środowiska polskie? Czy pani wygraną Polonia potraktowała jako swój sukces?

To trudne pytanie. Polskie organizacje polonijne tego nie odnotowały.

A polskie parafie, polscy księża, a może biskupi w Polsce?

Nie. Osobiście nie usłyszałam ani słowa, choćby np. „Dobra robota! Obroniłaś katolickie wartości". Nic takiego nie miało miejsca.

Co pani dawało siłę?

W tej historii dużo było takich chwil, gdy musiałam się oprzeć na nauce Kościoła, na Słowie Bożym, na rekolekcjach ignacjańskich. Dużo modlitwy i dużo pracy: ora et labora. Dostałam też wsparcie z zupełnie zaskakującej strony. Chwilę przed rozprawą znajoma rozesłała informację po zakonach kontemplacyjnych w całej Polsce. Dostałem tysiące e-maili informujących, że ludzie się za mnie modlą. Taki szum – powiew wiatru.



W norweskim Sądzie Najwyższym było pięciu sędziów. I tym razem wygrałam stosunkiem głosów pięć do zera! W najśmielszych oczekiwaniach tego się nie spodziewałam

Dr Katarzyna Jachimowicz była gościem specjalnym Jana Pospieszalskiego w programie „Warto rozmawiać" w TVP1. Zgodziła się również na udzielenie wywiadu tygodnikowi „Sieci"

eprasa.pl 4dac2b45fe

A więc ten Kościół, który się modli, który stoi przed Jezusem, ten Kościół mnie wsparł.
Protestanci pytali: „Myśmy zorganizowali adwokata, zbieramy pieniądze, a co twój Kościół katolicki dorzuci?". Ja mówię: „Nie mam kasy, ale mam potwierdzenie, że klasztory kontemplacyjne modlą się za nas, również za was, za protestantów". To był prawdziwy ekumenizm. Gdy katolickie zakonnice modlą się za protestantów, gdy razem występujemy we wspólnej sprawie, to jest coś, przed czym piekło zamiera. To jest zwycięstwo Jezusa tu i teraz. Doświadczyłam podczas tej historii takich rzeczy, których nie mam gdzie opowiedzieć. Po raz pierwszy mówię je publicznie.

Ta historia bezpośrednio nie zmieniła prawa, ale zmienia ludzkie serca?
Tak. Gdy moi pacjenci się dowiedzieli, że kończę pracę, kiwali głowami ze zrozumieniem: „No bo ty musiałaś tak wybrać, bo katolicy tak mają". Byłam jedyną katoliczką, jaką oni znali osobiście, i uznali, że taki jest właśnie katolicyzm. Czy to nie jest najmocniejsze świadectwo? Dużo podobnych historii doświadczyłam.

Jakie były skutki prawne wygranego procesu?
Pojawił się dokument rządowy dotyczący klauzuli sumienia w różnych zawodach, w którym opisano moją sprawę jako przypis do ważnych analiz instytucjonalnych i prawnych. Czyli trafiłam do historii (śmiech). Był też przypadek młodej lekarki z Kościoła zielonoświątkowego, którą zwolniono na stażu, gdy powoływała się na klauzulę sumienia. W procesie sąd odwołał się do mojej historii, dzięki czemu wygrała i mogła ukończyć staż. Większość zmian w prawodawstwie niestety idzie przeciwko życiu. W tej chwili była burzliwa dyskusja dotycząca selektywnej aborcji ciąż mnogich. Bywają sytuacje, że kobieta zgłasza się do aborcji, mając dwójkę zdrowych bliźniaków, i chce jednego usunąć.

Jak to wygląda?
Pod kontrolą USG wchodzi się igłą do serduszka dziecka, tego, które leży bliżej głowicy USG, i wstrzykuje się mu chlorek potasu, który powoduje migotanie komór, po czym następuje zatrzymanie akcji serca i dziecko umiera. Następnie organizm resorbuje te resztki po dziecku, tak że teoretycznie nie wpływa to na drugie dziecko. Ale zdarzają się powikłania i w efekcie tego procederu dochodziło do poronienia i śmierci drugiego dziecka. W efekcie burzliwych zmagań udało się zablokować prawo selektywnej aborcji na życzenie w ciąży bliźniaczej.

W poprzedniej kadencji Sejmu nie udało się w Polsce ochronić życia dzieci, u których niepełnosprawność rozpoznano przed urodzeniem. Czeka nas pewnie dyskusja na ten temat. Co by pani powiedziała matkom, które się obawiają, czy urodzą zdrowe dziecko?
Chore dzieci się leczy, a nie zabija. W Polsce są hospicja perinatalne z wysoko wykwalifikowanym personelem medycznym, który jest po to, by takim osobom pomóc i otaczać je troską.

Pani batalia do dziś nie została zamknięta. Dlaczego?
Sąd przyznał mi odszkodowanie za czas, kiedy nie mogłam pracować, nie określając jednak jego wysokości. Mimo że minął rok, w dalszym ciągu gmina nie wypłaciła mi pieniędzy. Oni uważają, że nie byłam stratna finansowo, przedstawiają różne nieprawdziwe dane. A tak naprawdę to jest próba oszukania mnie.

Pięć lat zmagań i nie widać końca?
Niestety.

Warto było?
Warto! Jeśli nie my, to kto? Ktoś musi podnieść ten temat. Klauzula sumienia przeszła akurat przez moje życie. Więc okazuje się, że ja musiałam to podjąć. Trzeba się zachować przyzwoicie. Tu i teraz, niezależnie, ile to kosztuje... warto było. Należę do pokolenia, któremu na maturze cytowano „Pana Cogito" Herberta: „Musisz dać świadectwo..., to kwestia smaku...". Ta historia pokazuje, że indywidualna osoba niemająca dużych zasobów jest w stanie coś zmienić. I to przesłanie chciałam przekazać jako podsumowanie. Żebyśmy się nie bali. Możemy coś zrobić, powiedzieć, co myślimy. Oczywiście konsekwencje mogą być duże. Ale nagroda też jest duża.

Skąd brać siłę?
Gdy miałam chaos w sobie, pomagał mi stały rytm dnia: odsłuchiwanie w drodze do pracy Słowa Bożego, kształtowanie dnia według tego. To był taki spokojny marsz – krok za krokiem. Jeśli masz długą i trudną drogę, trzeba ją podzielić na kawałeczki plus modlitwa, wsparcie bliskich. Kiedy jest się w sytuacji po-



zornie bez wyjścia, to masz wybór: albo będziesz narzekał i złorzeczył swoim wrogom, albo weźmiesz najmocniejszą chrześcijańską broń, jaką są miłość i przebaczenie. Od samego początku konsekwentnie modliłam się za osoby z drugiej strony. Zaczęłam od przebaczenia. Chrześcijanie nie wygrali dlatego, że ich lwy na arenach zjadły, lecz dlatego, że byli w stanie przebaczyć. Po to Bóg nas spotyka w różnych trudnych sprawach, aby ta druga strona mogła przez to czegoś doświadczyć. Być może się nawrócić? To duże słowo. Ja nie mam aż takich ambicji. Ważne jest, jaką się ma postawę. Trzeba mieć postawę wyprostowaną.

Fot. Paweł Pierzchanowski

eprasa.pl 4dac2b45fe



I jak imperium

Dr Hanna Karp, medioznawca

Kiedy na początku lat 90. nieznany polski redemptorysta zakładał radio, nie było ani Platformy Obywatelskiej, ani Prawa i Sprawiedliwości. Byli inni, którzy budowali swoje medialne potęgi, a widząc starania niepozornego zakonnika, patrzyli nań przez palce, uznając, że cóż mogą znaczyć na radiowej antenie modlitwa, różaniec, transmisja mszy św. Był to czas telewizyjnych koncesji dla takich potentatów jak Polsat, TVN i okres budowy imperium „Gazety Wyborczej". Upadały stare redakcje prasowe, bezrobotni dziennikarze wyjeżdżali z kraju albo jeszcze nie zdążyli wrócić, wygnani z ojczyzny przez wojnę polsko-jaruzelską. Polską gospodarkę reformowały w Warszawie brygady z Marriotta, wszędzie panowały wilczy (dzięki ustawie Wilczka) kapitalizm i rynkowa wolnoamerykanka. Prasowe redakcje przejmowały i swoją potęgę budowały zagraniczne konsorcja i koncerny. A kiedy na dobre tu osiadły, już stąd nie wyszły.

Rynek mediów przejęła klasa postkomunistycznych oligarchów. To oni wyznaczyli własne pola dominacji trwające do chwili obecnej. I to ich – nieostrym i zamazanym interesom – służyło po roku 1992 krajowe prawo medialne, a obecnie także unijne regulacje.

28 LAT W MEDIALNEJ DŻUNGLI

Początek grudnia to kolejne rocznice istnienia Radia Maryja. Rozgłośni utrzymywanej od początku przez katolików z Polski i całego świata. Już samo jej istnienie, trwanie na powierzchni w bezwzględnej medialnej dżungli od wielu lat jest cudem. Jeśli dodamy, że stacja przez 28 lat nadaje, a wokół niej rozwijają się nowe inicjatywy i ewangeliczne przedsięwzięcia, można to uznać za kolejną rzecz nadzwyczajną. Jednak każda data rocznicowych obchodów, kiedy radio okrzepło, ale też kiedy zaczynało, nieodmiennie sprzyjała uderzeniom w założyciela, słuchaczy i samą rozgłośnię. Tak było i w tym roku.

Chodzi o rodzaj stałej kanonady prowadzonej przez te same kanały informacyjne. W tym roku dodatkowo ukazała się stara-nowa książka o „Imperium", a raczej o „Imperatorze". Taka poprawka, bo słowa są tu kluczowe. Bardzo ważne są te językowe mechanizmy i środki wykluczania społecznego (może to pole do badań choćby dla Rady Języka Polskiego?). Wokół rozgłośni rozgrywa się już prawie trzecią dekadę nieustająca walka na słowa – rodzaj logomachii. Kolportuje się w infosferze już utrwalone medialnymi werblami, jak nazywał je prof. Bogusław Wolniewicz, „słowo-bije". Mają uderzać i zastraszać. Mają też zagłuszać wszystko, co z rozgłośni płynie. Wytacza się także stale nowe określenia, by powalać, obezwładniać, ośmieszać, wyszydzać. Tak, żeby zabić energię i wolę działania na rzecz radiowej wspólnoty. Osłabić chęć stawiania oporu trudnościom.

HYBRYDOWA WOJNA WOKÓŁ RADIA

Dziś powiedzielibyśmy, że od lat wznieca się wokół rozgłośni i jej dzieł rodzaj hybrydowej wojny. Radio, jego założyciel i środowisko, które tworzą, to dziś rodzaj wyklętych we własnym

eprasa.pl 4dac2b45fe

kraju. Kto ma odwagę należeć do tej radiowej rodziny, musi się liczyć z tym, że ryzykuje napiętnowanie, utratę spokoju, wrogość otoczenia. A mimo to przy radiu stoją miliony, na jego rzecz pracują, oprócz wąskiej liczby stałych pracowników, setki wolontariuszy, studentów, amatorów, ale też i różnego rodzaju wyspecjalizowanych zawodowców.

Czarna propaganda rozsiewana wokół tzw. ośrodka toruńskiego ma coraz nowsze oblicza. Od 2002 r. film Jerzego Morawskiego „Imperium ojca Rydzyka", emitowany w telewizji publicznej, uruchomił narrację o wielkim imperium medialnym. W wielu publikacjach, gdy pisano o założycielu, pomijano jego tytuł duchowy. Opowiadano o radiu i wielkich pieniądzach (tak, one zawsze tu są w tle), później o stacji telewizyjnej i wielkiej uczelni medialnej z dziennikiem i wydawnictwami, a na koniec donoszono w alarmistycznym tonie o budowach związanych z geotermią, świątynią i projektach muzealnych. W licznych telewizyjnych materiałach opisywano działania i przedsięwzięcia „ośrodka toruńskiego" na tle wypełnionej grozą muzyki, obrazów kilogramów złota i banknotów ustawionych w piramidy. Ostatnio przed kolejnymi wyborami do Sejmu czy do europarlamentu nasilały się publikacje, a to o uczelni i jej absolwentach, a to o ich karierach w urzędach państwowych, powodzeniu i wzięciu na posady przez rządowych polityków.

Ktoś, kto ma nieco dłuższą pamięć, przypomni sobie zapewne podobne tematy podejmowane jednak w tonie skrajnie odmiennym. Wieszczono wówczas absolwentom uczelni bezrobocie, brak perspektyw i społeczne wykluczenie, a rozgłośni i telewizji spadek słuchalności, oglądalności i fiasko finansowe.

RADIO, CO ZMIENIA ŚWIAT…

Od 2015 r. ta narracja nie jest już jedyną i jakby z wolna się odwraca. Francuski tygodnik „Marianne" (jak odnotował tygodnik „Forum") umieścił w 2018 r. Toruń na liście „Miejsc, gdzie się zmienia świat", a to dlatego, że miasto jest siedzibą – jak pisze francuska gazeta – coraz potężniejszego medialno-biznesowego imperium o. Rydzyka. „Marianne" wysłało do Torunia reporterkę, by przyjrzała się wszystkiemu z bliska. Ta pisała później oburzona, że sam lider zwycięskiej partii PiS ogłosił publicznie po wygranych wyborach w grudniu 2015 r., że „nie byłoby tego zwycięstwa bez Rodziny Radia Maryja". Dziennikarka podkreśla w reportażu, że przed każdymi „wyborami toruńska radiostacja namaszcza partię lub kandydata, którego będzie otwarcie popierać i który jej zdaniem może być pewny sukcesu". A o. Rydzyk – zdaniem reporterki – „zaczadził umysły słuchaczy i dużej części duchowieństwa". Ten rodzaj narracji dominuje w mediach głównego nurtu nie tylko w Polsce, lecz i na świecie.

> Radio, jego założyciel i środowisko, które tworzą, to dziś rodzaj wyklętych we własnym kraju. Kto ma odwagę należeć do tej radiowej rodziny, musi się liczyć z tym, że ryzykuje napiętnowanie, utratę spokoju, wrogość otoczenia

…CZY SEKTA?

Założyciel Radia Maryja przetrwał jednak już niejedno atomowe uderzenie. Gdy niemal na skalę globalną odbierano mu dobre imię, abominowano, szkalowano, zniesławiając na różnych poziomach. Obecnie ataki coraz częściej wskazują na tzw. efekt bumerangu – przelatują nad głową celu i wracają do źródła. Gdyby o. Tadeusz Rydzyk i jego współbracia chcieli reagować choćby na ułamek najbardziej niegodziwych ataków, nie wychodziliby z sądów i biur adwokackich. Udręka sądowych procesów, jak z powieści Kafki, zatrułaby cały czas tworzenia i pracy. Kiedy przewodniczącym KRRiT był Jan Dworak (w latach 2010–2016), radio regularnie oskarżano o naruszanie koncesji. Przywoływano też opinie m.in. prof. Ireneusza Krzemińskiego, że to, co „tworzy Jarosław Kaczyński z o. Rydzykiem, to rodzaj sekty". Dodajmy, że niemal wszystko, czego nie mogą pojąć redaktorzy Agory, jest sektą. A więc sektą jest Radio Maryja, sektą są Polacy domagający się prawdy o katastrofie smoleńskiej. I ci żądający prawdy o komunistycznej agenturze, współpracownikach SB i WSI, zasiadających od 1989 r. w ławach sejmowych i rządowych.

PYTANIA DO TROPICIELI

Założyciel Radia Maryja wybrał ewangeliczną drogę, ale mając duże poczucie humoru, podąża także drogą kompozytora Carla Orfa, który powiadał: „Bądź uroczy dla swoich wrogów – nic ich bardziej nie złości". I rzeczywiście, złość wyzwala się, a że ma dobre pudła rezonansowe, słychać ją na całym świecie. Choć kolportuje ją jedynie wyselekcjonowana garstka specjalistów. Może zdumiewać obsesja, z jaką tropi się toruńskiego zakonnika, z jakim uporem usiłuje się włamać do jego głowy i serca. Dotrzeć do najgłębszych motywacji i działań. Kiedy się to nie udaje, zostaje obrzucony błotem. Odwadze zapewne sprzyja świadomość, że ten nie odpowie tym samym. I ta przewrotna nadzieja, że w końcu się uda, że któryś z medialnych kamieni okaże się celny. A wszystko rozgrywa się w świetle jupiterów i otoczeniu kamer. Czy któryś z tropicieli opowie kiedyś prawdę o radiu? Czy zwycięży ostatecznie narracja, w której wszystko jest zawsze na odwrót? Tak niegodziwa i przewrotna, jak fotografia z krzywego zwierciadła.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Największa bitwa pancerna, której nie było



MAREK BUDZISZ

W panteonie rosyjskiej chwały Prochorowka świeci jasno. Według badań rosyjskiej opinii publicznej największa pancerna bitwa spotkaniowa w historii świata, rozegrana w czasie operacji na Łuku Kurskim, jest porównywalna z bitwą pod Borodino z czasów napoleońskich oraz zwycięstwem na Kulikowym Polu, które kończyło czas podporządkowania Wielkiego Księstwa Moskiewskiego Złotej Ordzie

W 1995 r., za czasów prezydentury Borysa Jelcyna, na polu bitwy wzniesiono 59-metrowy monument zwieńczony złotą figurą Bogurodzicy, dzwonem, który – będąc częścią cerkwi świętych apostołów Piotra i Pawła – miał upamiętniać po wsze czasy triumf rosyjskiego oręża.

Problem wszakże w tym, że obecnie historycy zaczynają podawać w wątpliwość nie tylko zwycięstwo armii ZSRR w bitwie pancernej pod Prochorowką, lecz także zastanawiać się, czy rzeczywiście możemy mówić o toczonym w tym miejscu 12 lipca 1943 r. pojedynku.

Zgodnie z oficjalną i obowiązującą nadal we współczesnej Rosji narracją historyczną 12 lipca, kiedy rozpoczęła się niemiecka operacja znana pod kryptonimem Cytadela, której celem było przełamanie oporu Armii Czerwonej na Łuku Kurskim, przejście do natarcia i odwrócenie losów wojny, pod Prochorowką doszło do spotkaniowej bitwy pancernej, w której wzięło udział 850 sowieckich i 800 niemieckich czołgów. W jej rezultacie zniszczono 400 czołgów Wehrmachtu, a próba niemieckiego ataku się załamała. Od tego czasu Armia Czerwona nieprzerwanie nacierała, co skończyło się 9 maja 1945 r. w Berlinie ostatecznym zwycięstwem nad III Rzeszą.

Mit Prochorowki jest w Rosji nadal niesłychanie silny. Jak powiedział mediom znany ze swych wojowniczych wystąpień senator Franc Klincewicz, „pamięć o historycznych triumfach jest jednym z czynników jednoczących naród rosyjski", a przez to ich kwestionowanie ma na celu zniszczenie kraju i rozczłonkowanie narodu rosyjskiego. Rosyjski minister kultury Władimir Medinski, autor teorii o „spisku historyków", których celem jest pozbawienie Rosji należnych jej laurów za zwycięstwo w II wojnie światowej, badaczy kwestionujących triumf sowieckiego oręża pod Prochorowką porównał do niemieckich, nazistowskich generałów próbujących po wojnie wybielić swe zbrodnie.

O co chodzi? 19 maja tego roku brytyjski historyk Ben Wheatley z Uniwersytetu Wschodniej Anglii, specjalizujący się w historii II wojny światowej, na łamach naukowego periodyku „Journal of Intelligence History" opublikował obszerny 50-stronnicowy artykuł, w którym podważył obowiązującą linię rosyjskiej narracji historycznej. Wykorzystał w swych badaniach zachowane i przechowywane w amerykańskich



archiwach zdjęcia z dwóch zwiadów lotniczych, jakie przeprowadzone zostały przez Niemców, pierwszy 13 i 14 lipca, a zatem zaraz po bitwie, i drugi trzy tygodnie później, 7 sierpnia. Bezpośrednim powodem przeprowadzenia przez Wehrmacht rekonesansu lotniczego nad terenem starcia był brak wiary niemieckiego dowództwa w relacje oficerów liniowych na temat jego przebiegu.

Na podstawie analizy zdjęć, zachowanych dokumentów oraz relacji Wheatley poddał weryfikacji obowiązującą rosyjską narrację historyczną i zdecydował się odtworzyć rzeczywisty przebieg starcia, znanego w historiografii pod nazwą bitwy pod Prochorowką. Jego zdaniem, w rzeczywistości żadnego starcia wówczas nie było. Odbył się jedynie samobójczy atak rosyjskich czołgów 29. Korpusu Pancernego Armii Czerwonej na pozycje niemieckie, zresztą słabo bronione. W efekcie do wieczora tego dnia Rosjanie stracili 235 czołgów i wozów pancernych, a Niemcy jedynie pięć. Dowodzący sowiecką 5 Gwardyjską Armią Pancerną generał Paweł Rotmistrow dał się złapać siłom niemieckim w pułapkę. Rosjanie nie dostrzegli wykopanych przez Niemców pięciometrowych rowów przeciwpancernych, w efekcie czego ich główne siły uderzeniowe nie były w stanie nacierać całą szerokością i stłoczyły się przy jednej wąskiej przeprawie bronionej przez dwa bataliony czołgów drugiego korpusu pancernego SS.

Wheatley dokładnie policzył utrwalone na zdjęciach niemieckiego zwiadu lotniczego wraki rosyjskich czołgów i pojazdów pancernych. Tylko w okolicach strategicznego wzgórza 252.2 znajdowała się w dzień po starciu ponad setka spalonych sowieckich średnich czołgów T-34 i lekkich T-70. Nieco dalej na północny zachód dodatkowo doliczył się 32 wraków czołgów T-34, 12 T-70 oraz 11 czołgów Churchill, które Armia Czerwona dostała od Wielkiej Brytanii w ramach operacji LendLease. Łącznie 55 czołgów Armii Czerwonej zniszczonych zostało przez oddział czterech czołgów typu Tygrys 1 wchodzących w skład oddziału dowodzonego przez Michaela Wittmanna, niemieckiego asa pancernego czasów II wojny światowej, który poległ w sierpniu 1944 r. w Normandii.

Borys Sokołow, niezależny rosyjski historyk, w wywiadzie dla Radia Swoboda, przedstawia nieco inną, choć równie dla Armii Czerwonej niekorzystną wersję tego, co oficjalna historiografia nazywa największą pancerną bitwą spotkaniową II wojny. Otóż jego zdaniem żadnej bitwy nie było, żaden niemiecki atak też nie zdarzył się tego dnia. To, co nazywane jest bitwą, było w istocie niewielką potyczką, w której po stronie niemieckiej uczestniczyła jedna drużyna pancerna złożona z siedmiu czołgów pierwszego pułku pancernego SS Adolf Hitler, dowodzona przez Rudolfa von Ribbentropa, prywatnie syna szefa resortu spraw zagranicznych III Rzeszy.

> Wersja o wielkich niemieckich stratach pod Prochorowką to zmyślenie, którego autorami byli zarówno generał Rotmistrow, dowodzący straceńczymi atakami, jak i marszałek Aleksander Wasilewski, przedstawiciel Stawki, czyli sowieckiego naczelnego dowództwa na froncie woroneskim

Niemcy zaatakowani zostali przez siły dwóch sowieckich brygad pancernych wchodzących w skład 5 Gwardyjskiej Armii Pancernej dowodzonej przez generała Pawła Rotmistrowa. Atak rozpoczął się rano i został szybko przez Niemców odparty. Ribbentrop osobiście zniszczył 12 czołgów Armii Czerwonej, za co został nagrodzony Krzyżem Rycerskim, najwyższym niemieckim orderem wojskowym okresu III Rzeszy. Następnie, jak dowodzi Sokołow, przez pozostałą część dnia siły pancerne armii Rotmistrowa próbowały w atakach w stylu japońskich kamikadze przełamać pozycje niemieckie i „zmazać" gorycz porannej porażki. Rosyjskie ataki napotkały jednak dobrze przygotowane niemieckie pozycje obronne i w efekcie siły niemieckie straciły tego dnia trzy czołgi, uszkodzonych zaś zostało w mniejszym lub większym stopniu 55 jednostek sprzętu po ich stronie.

Wojska sowieckie, zdaniem Sokołowa, w beznadziejnych i słabo przygotowanych atakach straciły 390 czołgów, z czego 334 bezpowrotnie. Zdaniem Sokołowa wersja o wielkich niemieckich stratach pod Prochorowką to zmyślenie, którego autorami byli zarówno generał Rotmistrow, dowodzący straceńczymi atakami, jak i marszałek Aleksander Wasilewski, przedstawiciel Stawki, czyli sowieckiego naczelnego dowództwa na froncie woroneskim. Stalin pod wpływem szokujących doniesień na temat gigantycznych strat Armii Czerwonej wysłał w ten rejon specjalną komisję dochodzeniową, którą kierował Grigorij Malenkow, i to na jej użytek powstała historia o największej pancernej bitwie spotkaniowej II wojny światowej.

Sokołow pytany dlaczego, jego zdaniem, mit Prochorowki tak silnie utrwalił się w rosyjskiej propagandzie i historiografii, mówi, że najprawdopodobniej stało się tak w wyniku dość przypadkowego splotu okoliczności. W istocie tego dnia, ale znacznie bardziej na północ, załamało się niemieckie uderzenie w ramach operacji „Cytadela", co w konsekwencji spowodowało, że Armia Czerwona w następnych dniach przeszła do natarcia. Dodatkowo nałożyły się na to świadectwa Rotmistrowa, który wszem wobec rozgłaszał, że odniósł właśnie pod Prochorowką wielkie zwycięstwo. Wpływ na zakorzenienie się tego mitu mogło, jego zdaniem, mieć i to, że w Radzie Wojennej frontu woroneskiego zasiadał Nikita Chruszczow, a to za jego kadencji mit Prochorowki stał się obowiązującą narracją w rosyjskiej historii II wojny światowej.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 4dac2b45fe



„New York Times" uznał go za „kustosza patriarchatu", a u bojowników o sprawiedliwość społeczną (Social Justice Warriors) wywołuje mdłości. Miliony na całym świecie śledzą jego wykłady na YouTube, a jego książka „12 życiowych zasad. Antidotum na chaos" stała się bestsellerem. Mowa o Jordanie Petersonie, profesorze psychologii na uniwersytecie w Toronto i guru motywacyjnym zdezorientowanych ofiar postmodernizmu

Terapeuta postmodernizmu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Peterson krytykuje kulturę liberalną jako „samobójczą" w jej dążeniu do zniesienia odwiecznych prawd. Skutkiem tego ma być „chaos i bezsens" współczesnej egzystencji. Jego zdaniem coraz mniej ludzi odnajduje się w dzisiejszym świecie, ze szczególnym uwzględnieniem mężczyzn sterroryzowanych przez feminizm. To do nich jest skierowana jego książka.

Peterson broni społecznej hierarchii, małżeństwa, tradycyjnych wartości i ról płciowych. „Nie można się orientować w świecie bez hierarchii" – podkreślił w rozmowie z Breitbart News. Psycholog wie, co mówi. Jako dziecko odwrócił się od religii (wychowywał się w protestanckiej rodzinie w małym miasteczku Fairview na północy prowincji Alberta), a później zaczął szukać zbawienia w socjalizmie. Nie znalazł tam jednak odpowiedzi na „szaleństwo i zło tego świata". Zajął się więc psychologią i w końcu uzyskał doktorat na uniwersytecie McGill w Montrealu, pisząc pracę na temat dziedziczności alkoholizmu. I zapewne pozostałby w cieniu, gdyby nie debata w Kanadzie o neutralnych płciowo zaimkach.

Nie jest tajemnicą, że kraj rządzony przez Justina Trudeau to urzeczywistniony sen lewaków. Aborcja na życzenie, eutanazja, polityka otwartych drzwi dla migrantów. I oczywiście gender. W 2016 r. kanadyjski rząd zaproponował reformę kodeksu karnego (ustawa C-16), która umożliwiłaby ściganie osób używających języka nienawiści, do którego zaliczono odmowę używania „neutralnych płciowo" zaimków osobowych

Fot. YouTube

eprasa.pl 4dac2b45fe

„ze" i „zir" zamiast „she" i „he" (ona, on) wobec osób transpłciowych.

Peterson postanowił się wtrącić do debaty. Odmówił stosowania się do ustawy, a jego wystąpienie przed kanadyjskim senatem, podczas którego bronił wolności słowa przed „wymuszoną mową", obejrzało jak dotąd 1,2 mln osób. Przekonywał, że płeć nie jest konstruktem i nie można jej zmieniać według własnego widzimisię, bo jest uwarunkowana biologicznie. A zaimki nie służą do tego, by okazywać komuś szacunek, tylko do tego, by móc tworzyć logiczne zdania. „Zresztą szacunku nie zdobywa się w ten sposób" – dodawał.

Ustawa została w końcu uchwalona przez kanadyjski parlament, a Peterson przez noc stał się gwiazdą amerykańskiej alternatywnej prawicy (alt-right). Zaczął odgrywać rolę tzw. public intellectual. Dziś regularnie urządza tournée po kampusach w USA i Kanadzie, a jego wykłady zakłócają skrajnie lewicowe bojówki. Przez chwilę wyglądało na to, że straci etat na uniwersytecie w Toronto, tak bardzo jego opór wobec ustawy C-16 rozzłościł władze uczelni. Ostatecznie jednak, wobec fali oburzenia ze strony jego fanów, mógł zostać.

WALCZĄCE HOMARY

Przesłanie Petersona jest proste, ale przykre dla uszu pokolenia przewrażliwionych śnieżynek (snowflakes) zasiedlających anglosaskie uczelnie: życie jest tragiczne, a słowa ranią, taka jest cena prawdy. Podążanie za szczęściem jest więc stratą czasu. Podobnie jak feminizm, ponieważ „kobiety w zachodnich społeczeństwach nie są marginalizowane". Zdaniem Petersona uczelnie to siedliska postmarksizmu, w szczególności nauki humanistyczne, dlatego „należałoby im ograniczyć fundusze". A studenci, którzy regularnie oprotestowują jego wystąpienia, są „ideologicznie opętani" (to odwołanie do Sołżenicyna). Peterson czerpie pełnymi garściami z Jungowskiej psychologii, z Biblii, a nawet dzieł Dostojewskiego, by zmobilizować swoich słuchaczy do zaakceptowania rzeczywistości z wszystkimi jej okrutnymi niesprawiedliwościami, jak choćby to, że ktoś ma inne zdanie.

Walka z poprawnością polityczną nie jest jednak priorytetem Petersona. Są nim mężczyźni. „12 życiowych zasad" napisał dla nich. Mężczyzna powinien według niego być odpowiedzialny, mieć poczucie własnej wartości i uporządkowane życie wewnętrzne. Wręcz kultowy stał się jego apel do słuchacza jednego z jego wykładów: „Weź się w garść, chłopaku!" (Buckle up, bucko!). Młodzi mężczyźni powinni chodzić z wyprostowanymi plecami, być lepszymi mężami, lepszymi ojcami i członkami społeczeństwa, być odpornymi. Dążyć nie tyle do sukcesu, ile do wyższego dobra. Jego książka to w istocie skierowane do współczesnego człowieka wezwanie, by się ogarnął. A mimo to wywołuje agresywne ataki ze strony liberalnego mainstreamu, który doszukuje się u Petersona mizoginizmu. Artykuł o nim, który ukazał się w „New York Times", rysuje obraz człowieka zacofanego, tęskniącego za latami 50., za panującą wówczas „opresją kobiet".

> Peterson uważa, że rosnąca przemoc na Zachodzie, zamachy na ulicach i strzelaniny w kampusach, biorą się stąd, iż wielu mężczyzn nie może znaleźć partnerek. Nie do seksu, ale do małżeństwa

Tymczasem Peterson wygłasza znane banały, że mężczyźni są skupieni na przedmiotach, a kobiety na ludziach, mają więc większą skłonność do tego, by czynić z dzieci priorytet. Dlatego rzadziej robią karierę. „Kobiety do 30. roku życia robią zawrotną karierę, a potem wiele z nich rezygnuje z niej, bo chcą założyć rodziny. Nie chcą pracować 100 godzin tygodniowo. To normalne" – mówił Peterson podczas jednego ze swoich wykładów. Ale przecież także większość mężczyzn nie osiąga według niego sukcesu. Świat jest brutalny i udaje się to tylko niewielu. Istnieje hierarchia i trzeba się z tym pogodzić. Uporządkować swoje życie i dążyć do tego, by stać się lepszym. Pogodzenie się i zaakceptowanie świata takiego, jakim jest, to według Petersona początek wyzwolenia się z otaczającego nas chaosu. Odnalezienia sensu życia. Tak jak homary, które żyją od milionów lat w uporządkowanym, hierarchicznym świecie, gdzie walczą między sobą o dominację. Homarowa analogia stała się tak popularna, że fani Petersona chodzą dziś w T-shirtach z podobizną skorupiaków.

PRZYMUSOWA MONOGAMIA?

Peterson mówi często jak setki innych popularnych ostatnio trenerów motywacyjnych: zmień swoje życie, uwierz w siebie. Różni go od nich to, że nie unika kontrowersji. Uważa, że rosnąca przemoc na Zachodzie, zamachy na ulicach i strzelaniny w kampusach biorą się stąd, iż wielu mężczyzn nie może znaleźć partnerek. Nie do seksu, ale do małżeństwa. Na „niedobrowolny celibat" skarżył się m.in. zamachowiec z Toronto Alek Minassian, który rozjechał w 2018 r. 10 osób swoim vanem. Za oceanem istnieją grupy samopomocy dla tzw. incels (involuntary celibate), mężczyzn, którzy są odrzucani przez kobiety. Zdaniem Petersona lekiem na tę chorobę, wynikającą z wyzwolenia kobiet, byłaby przymusowa monogamia. „Kobiety uganiają się za mężczyznami o najwyższym statusie. To oznacza, że połowa mężczyzn nie znajduje żon i się nie rozmnaża. A mężczyźni o najwyższym statusie mogą przebierać wśród kobiet i nie chcą się wiązać. Wszyscy są w konsekwencji nieszczęśliwi, mężczyźni i kobiety" – cytuje go „NYT". Gdyby ci mężczyźni mieli żony i udane małżeństwa, nie byliby tak sfrustrowani, a więc skłonni do przemocy. „Oni dziś nikogo nie obchodzą, a to źle" – dodaje.

Nietrudno sobie wyobrazić reakcję na te słowa w kręgach liberalnych, nie

eprasa.pl 4dac2b45fe



Fot. YouTube

wspominając o feministkach, które zrozumiały z wywodów Petersona tyle, że chce sprzedać kobiety w seksualne niewolnictwo. Tymczasem chodziło mu o promowanie monogamii poprzez normy społeczne. Mężczyźni powinni być „silni i odpowiedzialni", kobiety „sumienne i miłe". Poglądy Petersona są nie do zniesienia dla feministek. On zresztą nie pozostaje im dłużny, nazywając je „wściekłymi harpiami".

Co ciekawe, Peterson nie utożsamia się z alt-right, tylko widzi siebie jako zdroworozsądkową alternatywę zarówno dla skrajnej prawicy, jak i lewicy. „Jeśli będzie się dalej zmuszało mężczyzn do feminizacji, ich zainteresowanie radykalną, faszystowską ideologią będzie rosło" – mówił podczas jednego z wywiadów. Trump, biali supremacyści są symptomem choroby liberalnych społeczeństw. Postmoderniści, jak mówi, mają obsesję na punkcie idei ucisku, a prowadząc wojnę z oprawcami, często istniejącymi tylko w ich własnej wyobraźni, sami się nimi stają. „Liberałowie zawsze mówią o współczuciu dla słabszych – a jednak nie ma nic bardziej okropnego niż nadmiar współczucia" – podkreśla.

NOWE ŻYCIE

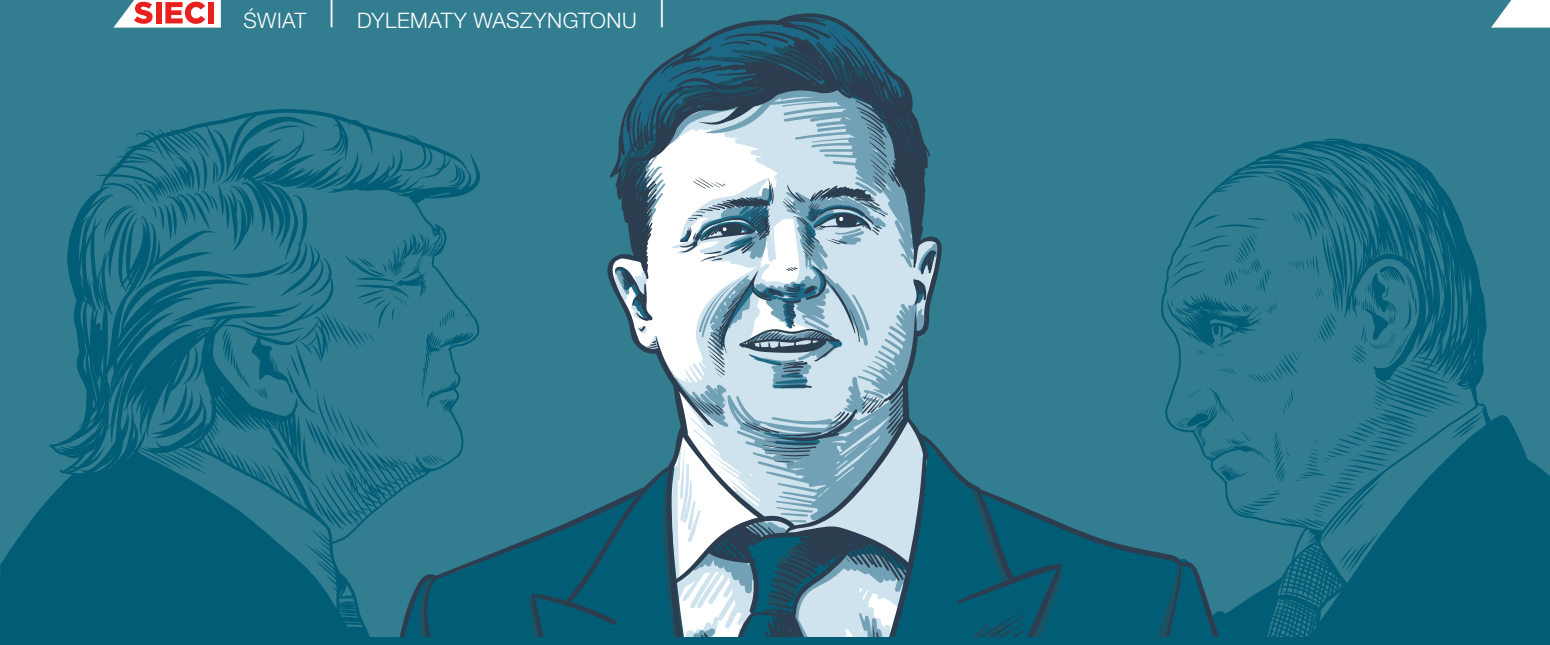
Peterson nie jest religijny. Na pytanie, czy wierzy w Boga, odparł, że odpowiedź zajęłaby mu 40 godzin. Pytany o aborcję wyjaśnił, że choć jest zawsze zła, problem jest szerszy i dotyczy współczesnej seksualności i ról płciowych. Jego fani są mu w każdym razie wdzięczni, nawet jeśli unika czasami bezpośrednich odpowiedzi na pytania wymagające jasnej oceny moralnej. Peterson otrzymuje tysiące listów i maili z wyrazami wdzięczności. Niektórzy, jak opisuje dziennik „The Guardian", uważają wręcz, że psycholog uratował im życie, nadając mu nowy sens. Że nauczyli się znosić ból egzystencji.

Kariera Petersona była tak zawrotna, że powstał o nim już film dokumentalny („The Rise of Jordan Peterson"). Tyle że jego autorzy, Patricia Marcoccia i Maziar Ghaderi, mają problemy z jego dystrybucją w USA. Wiele kin od razu odmówiło, inne, po protestach, wycofały go ze swojego repertuaru. Kino w Brooklynie wycofało dokument pod presją własnych pracowników.

Pastor w Portland, który chciał pokazać film w swoim kościele, otrzymał pogróżki. „Kilka organizacji społecznych zamierza zakłócić projekcję filmu propagandowego o Jordanie Petersonie. Chociaż wielu z nas nie jest chrześcijanami, a niektórzy nawet stanowczo potępiają religię, nie chcemy, aby stała wam się krzywda. Nie możemy jednak dopuścić do dalszego wzrostu faszyzmu i nie będziemy tolerować jego obecności w naszym mieście, czy to na ulicach, czy w kościele. Przeczytaj kilka książek historycznych, przeczytaj o eugenice, przeczytaj o seksie i płci, a następnie porównaj je z Petersonem. Módlcie się, jeśli musicie. Zróbcie, co należy. Naprawdę nie chcemy wyciągać gilotyny, aby naprawiać społeczeństwo" – głosi list, który otrzymał pastor.

Marcoccia i Ghaderi, których do fanów Petersona zaliczyć nie można, są zdumieni próbami cenzury ich pracy. Szum, który zrobił się wokół filmu, zapewne przysłuży się jego oglądalności i jeszcze większej popularności jego głównego bohatera.

eprasa.pl 4dac2b45fe



Co zrobić z Ukrainą?

Kijów stoi na przeszkodzie amerykańskiego dealu z Rosją. A w polityce Waszyngtonu najważniejsze wydaje się blokowanie globalnych aspiracji Chin. Aby temu przeciwdziałać, każdy poważny partner jest dobry, zobowiązania wobec Ukrainy i Europy Środkowej nie mają zaś takiego znaczenia. Czy możemy jakoś wpłynąć na ten, co tu ukrywać, niekorzystny dla nas scenariusz

Zakończone przez Izbę Reprezentantów amerykańskiego Kongresu publiczne przesłuchania dotyczące procesu impeachmentu prezydenta Donalda Trumpa nie dały jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy są uzasadnione powody, aby kontynuować tę procedurę. Podzielona jest również w tej sprawie amerykańska opinia publiczna, co najlepiej widać w dwugłosie komentatorów „The Wall Street Journal".

Holman W. Jenkins jr, pracujący w dzienniku od 1994 r., członek kolegium redakcyjnego, napisał, że „z wielu powodów, dla których Donald Trump nie powinien zostać zniesiony z urzędu, do głównych i najważniejszych zaliczyć należy



MAREK BUDZISZ

to, że będzie mieć to fatalne skutki dla kraju". Z kolei Peggy Noonan, laureatka Pulitzera, stała komentatorka „WSJ" od 2000 r., jest zdania, że „niemal wszystko, co w trakcie ostatniego tygodnia przesłuchań ujawniono, wsparło oskarżenia, że prezydent Trump naciskał na Ukrainę, mając na celu swe osobiste, polityczne zamiary".

Zostawiając na boku kwestię tego, czy demokratom uda się kontynuować procedurę impeachmentu i czy paradoksalnie medialna nagonka na Trumpa nie przyczyni się do jego sukcesu w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną kwestię, która dostrzeżona została przez obserwatorów, a jest znacznie bardziej istotna z punktu widzenia interesów Ukrainy i naszego regionu Europy.

Otóż, jak napisał Paul Krugman, komentator „New York Timesa", „jedną z lekcji tego dochodzenia jest to, że dla Deep State, pracują naprawdę robiący wrażenie ludzie z zasadami. I dlatego Trump tak ich nienawidzi". Ta uwaga dziennikarza, który z pewnością nie

Fot. TPYXA_ILLUSTRATION/Shutterstock.com

eprasa.pl 4dac2b45fe

należy do zwolenników prezydentury Trumpa, związana jest z ujawnionym w wyniku przesłuchań obrazem zbiorowych wysiłków urzędników średniego szczebla z Departamentów Stanu i Obrony, z Biura Rady Bezpieczeństwa Narodowego, z administracji Białego Domu i służb specjalnych, którzy od początku kadencji nowego prezydenta wkładali wiele pracy i energii, aby ukształtować, choć należałoby napisać zmienić, jego zamiary polityczne wobec Ukrainy. Ostatnio amerykański prezydent mówił publicznie, że w przeciwieństwie do swego poprzednika zwiększył pomoc wojskową dla Kijowa oraz zgodził się na wysłanie tam wyrzutni przeciwpancernych Javelin, co blokował Barack Obama. Jednak obraz, jaki się wyłonił z przesłuchań w Kongresie, jest nieco bardziej złożony i w gruncie rzeczy zupełnie inny niźli oficjalna narracja.

W CZYM PRZESZKADZA UKRAINA

Donald Trump nie tylko nie należał do zwolenników wspierania wysiłków Kijowa, dążącego do uniezależnienia się od wpływów Moskwy, lecz wręcz był zdania, że Ukraina to państwo przeżarte korupcją, kontrolowane przez elity składające się z podejrzanych ludzi o niejasnych motywacjach, a wspieranie Kijowa blokuje możliwości zawarcia dealu z Moskwą, czego zawsze był ponoć zwolennikiem.

Przykładów konfliktu amerykańskich prezydentów ze współpracownikami na tle kształtu polityki zagranicznej jest wiele, warto choćby przypomnieć spór Obamy, który, wbrew radom chyba wszystkich swych doradców, przeforsował wycofanie się Stanów Zjednoczonych z Iraku. Ale ten właśnie przykład jest groźnym memento, bo – jak wynika z ujawnionych niedawno dokumentów irańskich służb specjalnych – próżnię powstałą w wyniku pospiesznego i nieprzygotowanego wycofania się Waszyngtonu szybko wypełnił Iran, przekształcając sąsiedni Irak i jego elity w wasala i wykonawcę polityki Teheranu. Innymi słowy uprawianie polityki zgodnej z oczekiwaniami amerykańskich wyborców nie musi oznaczać, że podejmowane działania przyniosą w dłuższej perspektywie korzystne rezultaty.

Czy tak może być i teraz w przypadku Ukrainy? Jest to zasadne pytanie, zwłaszcza jeśli wbrew nadziejom mediów i demokratów Donald Trump wygra drugą kadencję, w której trakcie w mniejszym stopniu związany będzie opinią Deep State i z większym zaangażowaniem będzie mógł realizować swą autorską wizję polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych?

Czy wówczas będziemy mieli do czynienia z jakąś formą dealu z Moskwą? Jest to pytanie o tyle zasadne, że z relacji wielu byłych i obecnych współpracowników Donalda Trumpa wyłania się obraz człowieka nie tylko emocjonalnego i impulsywnego w swych działaniach, lecz przede wszystkim twardego biznesmena, który zawsze dąży do zawarcia jakiegoś, byleby korzystnego, porozumienia. To podejście, zwłaszcza wobec Rosji i naszej części Europy, może zostać wsparte przez niemałą część amerykańskiego establishmentu, który jest zdania, że Waszyngton ma przed sobą inne, znacznie poważniejsze wyzwania niźli pilnowanie interesów Ukrainy.

Pat Buchanan, konserwatywny komentator i publicysta, w opublikowanym po zakończeniu przesłuchań w Izbie Reprezentantów artykule o prowokacyjnym tytule „Od kiedy to Ukraina stała się kluczowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych" jest zdania, że „nie byliśmy ani nie jesteśmy zobligowani, aby walczyć o jej [Ukrainy – przyp. M.B.] suwerenność i terytorialną integralność", a starania o to, aby Ukraina, Mołdawia i Gruzja stały się członkami NATO, były odrzucane w przeszłości nie tylko przez Stany Zjednoczone, lecz przede wszystkim przez europejskich partnerów z Sojuszu Północnoatlantyckiego. Buchanan, który jest znanym zwolennikiem wycofania się Ameryki z wielu zamorskich „przyczółków", przypomina też, że właśnie po to, aby poprzeć politykę tego rodzaju, amerykańscy wyborcy oddali swój głos w 2016 r. na showmana i dewelopera Trumpa, a nie na będącą ucieleśnieniem waszyngtońskiego establishmentu Hillary Clinton. Jest też zdania, że narracja o Ukrainie, jako o kraju zmagającym się z agresją swego autorytarnego i wielokroć silniejszego sąsiada, jest opowieścią jednostronną, nieodpowiadającą prawdzie i źle opisującą realny przebieg wydarzeń oraz grę interesów na wschodzie tego kraju.

A to niejedyny głos tego rodzaju. Thomas Graham z Rady ds. Polityki Zagranicznej, a w przeszłości wysoki urzędnik administracji George'a W. Busha, zaapelował na łamach opiniotwórczego „Foreign Affairs" o bardziej pragmatyczną politykę Waszyngtonu wobec Rosji. W jego opinii trzeba po prostu przyjąć do wiadomości, że poprzednich celów politycznych nie udało się osiągnąć przede wszystkim z tego względu, że dotychczasowa polityka amerykańska zbudowana była na iluzjach. Jakich? Pierwotnie błędnie założono, że Rosja, wspierana przez Zachód, stanie się normalnym demokratycznym państwem, później uważano, iż nie starczy jej zasobów ani determinacji, aby rzucić wyzwanie Zachodowi, i wreszcie uwierzono w siłę sankcji i dyplomatycznej izolacji Moskwy, zresztą – jak się okazało – nieskutecznej, które miały po 2014 r. spowodować zmianę agresywnej polityki Putina. Ale to, zdaniem amerykańskiego publicysty, niejedyne „grzechy" Waszyngtonu, który źle ocenił sytuację i wiele lat, jak się okazało, żył złudzeniami. Znacznie poważniejsze jest złe ocenienie rosyjskich elit i przyjęcie milczącego założenie, że te w obliczu sankcji oraz zachodniej presji zwrócą się ostatecznie przeciw reżimowi. Ale najgorszym błędem, w jego opinii, było to, że Zachód, a Waszyngton w szczególności, zlekceważył interesy Rosji, a przez to niejako zaprogramował politykę konfrontacji.

UŁOŻYĆ SIĘ Z ROSJĄ

O jakich interesach mowa? O odmowie uznania mocarstwowego statusu Federacji Rosyjskiej i próbie wypchnięcia jej z jej „strefy wpływów i interesów". Skutkiem błędnej oceny sytuacji, aspiracji i możliwości Federacji Rosyjskiej była polityka nieskuteczna, a w dłuższej perspektywie wręcz groźna. Przede wszystkim z tego względu, że Moskwa w odpowiedzi zbliżyła się do Chin, co

eprasa.pl 4dac2b45fe

z kolei wzmacnia, zdaniem Grahama, potencjał głównego geopolitycznego rywala Stanów Zjednoczonych w tym stuleciu.

Musimy mieć w Warszawie świadomość, że regularnie powtarzające się wojownicze przemówienia wiceprezydenta Pence'a, wzywającego do stanowczej polityki Stanów Zjednoczonych wobec chińskiego zagrożenia, są przez część amerykańskiego establishmentu odbierane jako wezwania do „ułożenia się z Rosją" po to właśnie, aby móc skutecznie się zmagać z chińską ofensywą. Właśnie w imię „powstrzymywania" Ukrainy przez Stany Zjednoczone. Serhii Plokhy, znany historyk ukraińskiego pochodzenia, autor wydanej również w Polsce „Historii Ukrainy", i Mary Elise Sarotte, również historyk, autorka m.in. pracy o upadku muru berlińskiego i końcu zimnej wojny, zaproponowali w opublikowanym niedawno artykule, również na łamach „Foreign Affairs", aby ostatecznie porzucić nadzieje wejścia Ukrainy do NATO, bo efektem takiej polityki będzie tylko wzrost napięcia z Rosją.

Co w zamian? Przede wszystkim trzeba, proponują, porzucić złudzenia, którymi ich zdaniem żywiła się amerykańska polityka przez ostatnie 20 lat, w myśl których „Waszyngton może zagwarantować, iż Kijów będzie miał wpływ na własną przyszłość bez ponoszenia wielkich wysiłków, za pół ceny". Lata, jakie upłynęły od 1994 r., czyli od daty podpisania tzw. memorandum budapeszteńskiego, kiedy to Waszyngton doprowadził do głównego swego politycznego celu pierwszych lat po upadku Rosji sowieckiej, jakim było blokowanie możliwości pozostawienia broni nuklearnej w postsowieckich państwach (a trzeba pamiętać, że Ukraina była w 1994 r. trzecim na świecie państwem pod względem liczby głowic atomowych i zdolnych je przenosić rakiet), udowodniły, że papierowe gwarancje nie mają znaczenia, a próżnia bezpieczeństwa, jaka powstała w obliczu wycofania się Stanów Zjednoczonych, wypełniona zostanie przez Rosję. W tym sensie, zdaniem dwójki autorów, Waszyngton zbiera dziś owoce swoich zaniechań i prorosyjskich złudzeń. Winien się ich pozbyć, nadrabiając stracony czas.

W praktyce musi to oznaczać rozwój współpracy wojskowej z Kijowem oraz wespół „z europejskimi partnerami" wspieranie przemian gospodarczych, ale i w tym przypadku opis tego, co Zachód powinien i może dla Ukrainy zrobić, jest więcej niż skromny.

Paradoksalnie podobna wizja wyłania się z wywiadu Ihora Kołomojskiego, ukraińskiego oligarchy, dla „New York Timesa". Ten nieprzebierający w słowach przedsiębiorca powiedział, że albo Stany Zjednoczone i ich sojusznicy wyłożą 150 mld dol. po to, aby Ukraina mogła się odrodzić, albo Kijów wybierze Moskwę, rosyjskie czołgi będą pod Krakowem, a europejskie elity zostaną zmuszone, aby „zaopatrzyć się w pampersy". Brutalność tej wizji nie sprowadza się do retoryki, czy transakcyjnego spojrzenia na politykę, lecz do tego, że nawet jeśli nie chcemy tego otwarcie przyznać, jest ona głęboko prawdziwa.

Zacznijmy w Warszawie od odpowiedzi na podstawowe pytanie – ile z tych umownych 150 mld dol. dla Ukrainy gotowa jest wyłożyć Polska i w jaki sposób przekonać do podobnego działania inne państwa Unii Europejskiej?



Mike Pence, wiceprezydent USA

Fot. Gino Santa Maria/Shutterstock.com

Graham domaga się rewizji polityki wobec Kijowa. Miałaby ona polegać na oficjalnej rezygnacji z Krymu oraz aspiracji wejścia do NATO, która w obliczu sprzeciwu wiodących państw europejskich jest i tak nierealistyczna, w zamian za zgodę Moskwy na pełną reintegrację z Ukrainą tzw. republik ludowych Donbasu. W dłuższej perspektywie, zdaniem tego eksperta, bezpieczeństwo Ukrainy mogłoby być budowane w oparciu o bliską dwustronną, amerykańsko-ukraińską, współpracę wojskową. Ale warto zauważyć, że precyzyjnym postulatom na temat tego, z czego Kijów winien zrezygnować, towarzyszą jedynie mgliste wizje przyszłej kooperacji.

Paradoksalnie podobna diagnoza formułowana jest przez zwolenników kontynuowania polityki wspierania

eprasa.pl 4dac2b45fe



Zmiany muszą czemuś służyć

Rządowe centra analityczne oraz stratedzy ekonomiczni i wizjonerzy społeczni winni odpowiedzieć na pytanie: jaka jest przyszłość i rola Polski w światowym czy nawet europejskim wyścigu, jaka jest skala wyzwań, która stoi przed naszym krajem?

Fot. Shutterstock



JANUSZ SZEWCZAK

Dzisiejsza światowa rozgrywka wielkich to nie jest gra o drobne, to dla wielu gra o przetrwanie, a nawet dominację. I choć co prawda najlepiej ludzkie plany i wielkie zamierzenia społeczno-gospodarcze weryfikuje życie i Opatrzność, to jednak zapewnienia, i to w tak kategorycznym tonie, co do tego, jakie będą płace czy emerytury za 30–40 lat, wydają się mało poważne. I to bez względu na to, czy zostanie zlikwidowany, czy też nie, przywilej tzw. 30-krotności składek na ZUS. Systemy emerytalne to dziś problem ogólnoświatowy, czarna dziura i czarna wizja zobowiązań państw wobec własnych seniorów, szacowanych łącznie na kilkadziesiąt bilionów dolarów. W wielu krajach powszechne systemy emerytalne w ogóle nie funkcjonują, a i tak ludzie pracują do przysłowiowej śmierci.

Generalnie żyjemy dziś, mimo ogromnego postępu i tzw. nowoczesności, w dobie wielu niewiadomych, niepewnych i niebezpiecznych zdarzeń. Rozpadają się stare systemy geostrategiczne, na margines schodzi tak bezkrytycznie wychwalana dotychczas globalizacja, która okazała się wielce korzystna dla silnych i bogatych. Dogorywa wręcz liberalna demokracja, potęgują się wojny handlowe i cyfrowe, które dziś toczą się o to, kto przechwyci tzw. łańcuchy dostaw, kto wprowadzi 5G, kto awansuje do miana nowych imperiów, a kto znajdzie się na peryferiach. Francja – kiedyś (nie tak dawno) światowa potęga – traci znaczenie pośród rozgrywających, i to na własne życzenie oraz przy dużym, osobistym wkładzie obecnego prezydenta Emmanuela Macrona.

Zamieszki i protesty antyrządowe trwają, poczynając od biednej Boliwii, Libanu czy Iraku, przez Chile, po bogaty Hongkong czy europejską Barcelonę, protestują nawet wyjątkowo cierpliwi i spokojni Czesi. Klasa średnia czuje się dziś wszędzie na świecie ograbiona, zubożona i totalnie lekceważona, rolnicy prawie w całej Europie protestują przeciwko nowej „religii klimatycznej", wjeżdżając traktorami do centrum Brukseli, Hagi czy nawet Berlina. Papież Franciszek, całkiem na poważnie, rozważa zaś wprowadzenie nowego grzechu – klimatycznego – do katechizmu katolickiego. Już dziś mamy noblistkę, i to z Polski, która twierdzi, że „granica między człowiekiem a zwierzęciem jest sztuczna" oraz że z powodu „jedzenia mięsa powinniśmy się wstydzić", a także że „za kilkadziesiąt lat akcyza na mięso będzie bardzo wysoka". A co będzie z akcyzą na rozumność czy zdrowy rozsądek? Nic więc dziwnego, że niewidomi w Wielkiej Brytanii są atakowani – na razie tylko słownie – za wykorzystywanie psów przewodników.

Banki centralne wielu państw świata wydrukowały już dziesiątki bilionów dolarów tzw. gorącego pieniądza, by kupować obligacje państw, które są na krawędzi bankructwa, i wielce dochodowych koncernów czy banków, które są oprocentowane na „mniej niż zero". Tych ujemnie oprocentowanych obligacji jest już na świecie na 20 bln dol. Wielkie, cyfrowe i internetowe koncerny kończą już prace nad własnymi wirtualnymi walutami (Facebook – libra), Państwo Środka też pewnie takiej okazji nie przepuści. Gdy świat mozolnie pracuje nad elektrycznymi i autonomicznymi pojazdami, Chińczycy wraz z portugalską firmą testują już autobus napędzany wodorem, Amerykanie zaś testują najnowsze komputery kwantowe, znacząco przyspieszają prace nad digitalizacją, robotyzacją i sztuczną inteligencją (SI).

To rządowe centra analityczne oraz stratedzy ekonomiczni i wizjonerzy społeczni winni odpowiedzieć nam na pytanie: jaka jest przyszłość i rola Polski w tym światowym czy nawet europejskim wyścigu, jaka jest skala wyzwań, która stoi przed naszym krajem? Czy korzystając z chwilowego osłabienia europejskiego centrum gospodarczego (Francja, Niemcy), możemy po-

41/1119/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

prawić naszą dotychczasową pozycję, w czym realnie możemy skutecznie konkurować, jakie nisze rozwojowe i dochodowe możemy jeszcze w tej międzynarodowej rywalizacji zagospodarować? Telewizyjne debaty, a raczej kłótnie polityków na te pytania z pewnością nie dadzą nam odpowiedzi.

Naszą dewizą, nie tylko na najbliższe cztery lata, winno być to, by nie marnować żadnych talentów, by uczynić zarządzanie zasobami skarbu państwa, w tym głównie spółkami skarbu państwa, ale i instytucjami publicznymi bardziej profesjonalnym, by gospodarować mądrze, oszczędnie i sprawiedliwie, a jednocześnie być sprytnym i elastycznym w międzynarodowej rywalizacji o zyski i wpływy. Chodzi o to, by dalej modernizować polską gospodarkę i finanse w oparciu o nowe technologie, innowacje, ale i polską myśl inżynieryjno-techniczną, którą trzeba koniecznie, i to szybko, odbudować i postawić na piedestale. To w tej sprawie szczególnie wicepremier Jarosław Gowin powinien kłaść się Rejtanem, a nie w obronie LGBT.

> Chodzi o to, by żyć w lepiej zorganizowanym kraju, w którym liczy się nie tylko wielkość PKB czy poziom inflacji, lecz także tzw. dobrostan obywateli i jakość codziennego życia

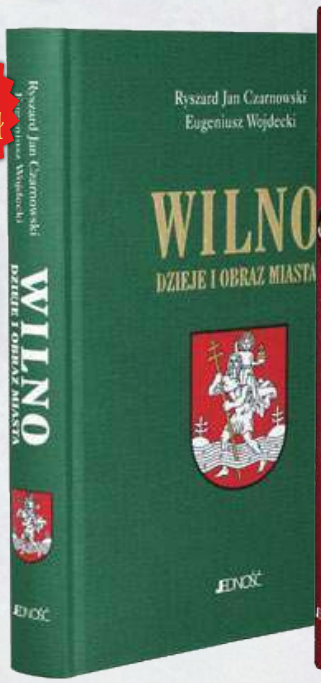
Zmiany muszą czemuś i komuś służyć. Chodzić powinno głównie o to, by z efektów wzrostu, rozwoju i nowoczesności korzystało jak najwięcej rodaków, by – nie poniechawszy idei państwa dobrobytu i miejsca szczęśliwego do życia – wzmacniać produktywność i własny interes narodowy w gospodarce i finansach. Chodzi przecież o to, by żyć w lepiej zorganizowanym kraju, w którym liczy się nie tylko wielkość PKB, deficyt sektora finansów publicznych czy poziom inflacji, lecz także tzw. dobrostan obywateli i jakość codziennego życia Polaków.

By to osiągnąć i nie przegrać wyścigu o konkurencyjność, trzeba z pewnością lepiej dobierać narzędzia i wykonawców, nie trzeba się wstydzić planowania, i to zarówno w krótkim, jak i długim horyzoncie czasowym. Trzeba unikać łatwych do przewidzenia błędów, trzeba mieć też precyzyjny plan i zgraną drużynę, a przede wszystkim odwagę wprowadzenia zamierzeń w czyn. Każda polityka społeczno-gospodarcza, nie tylko w perspektywie kolejnej kadencji, musi zawierać w sobie elementy godnościowe i tożsamościowe nawet, stawiając na rozwój i nowoczesność.

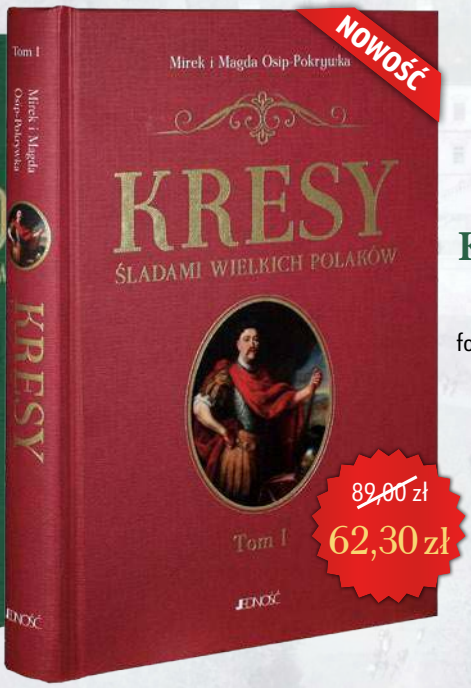
REKLAMA

Wilno. Dzieje i obraz miasta
800 kolorowych zdjęć i ilustracji • reprodukcje malarstwa i grafik
format 200 x 265 mm, 416 stron, oprawa twarda ze złoceniami

89,00 zł
62,30 zł



Zeskanuj kod i zajrzyj do książki WILNO



89,00 zł
62,30 zł

Zeskanuj kod i zajrzyj do książki KRESY

30% RABATU

Kresy. Śladami wielkich Polaków
Tom 1. Od Sobieskiego do Lema
8 postaci • mapy • zdjęcia lotnicze • ponad 80 miejsc
format 205 x 285 mm, 424 strony, oprawa twarda ze złoceniami

W tym wyjątkowym albumie udajemy się w podróż śladami króla Jana III Sobieskiego i jego rodziny, św. Andrzeja Boboli – patrona Polski, dzielnej Emilii Plater, marszałka Józefa Piłsudskiego i innych sławnych Polaków, których korzenie sięgają Kresów. Tekst i wspaniałe zdjęcia składają się na kompendium wiedzy, które zafascynuje każdego, kto chciałby poznać specyfikę terenów należących niegdyś do Rzeczypospolitej.

Zamówienia telefoniczne: 41 349 50 50

JEDNOŚĆ

Sprawdź pozostałą świąteczną ofertę z rabatami do -45% na www.jednosc.com.pl

eprasa.pl 4dac2b45fe



Zbliża się czas prezentów, więc i my przygotowaliśmy dla naszych czytelników kilka propozycji, które mogą się okazać pomocne.

Czytnik e-booków Kindle Paperwhite 4



To chyba jeden z najpopularniejszych czytników e-booków, i to nie bez przyczyny. Firma Amazon ma w swojej ofercie wiele różnych modeli, więc każdy znajdzie coś dla siebie, ale można zwrócić uwagę na model Paperwhite 4 bez reklam, w wersji 2018 (8 GB pamięci). Jest wodoszczelny, więc czytanie w wannie przestaje być kłopotem. Urządzenie daje sobie radę z większością formatów tekstowych, obsługuje pliki graficzne oraz audiobooki.

Cena: ok. 650 zł

Hulajnoga elektryczna Fiat 500



Ostatnio modne stały się hulajnogi, choć niestety wielu użytkowników zapomina, że nieuważna jazda może spowodować nawet poważny wypadek. To pierwsza hulajnoga marki Fiat – model F500-F80 – i jedyna hulajnoga elektryczna na rynku, która ma tylny napęd pozwalający nie tylko na szybszy start, lecz także umożliwiający bardziej precyzyjne pokonywanie zakrętów. Hulajnogę wyposażono w silnik o mocy 250 W oraz akumulator 36 V 6 AH, co w krótkim czasie pozwala osiągnąć maksymalną prędkość 25 km/h i na pełnym naładowaniu baterii pokonać dystans do 20 km. Dopuszczalne obciążenie 100 kg pozwala na korzystanie z urządzenia zarówno młodzieży, jak i osobom dorosłym. Hulajnoga waży niewiele ponad 11 kg i jest łatwa w transporcie.

Cena: 1599 zł

Lustrzanka Nikon D750



Może nie jest to najnowszy model, ale jego możliwości – w porównaniu z ceną – są naprawdę olbrzymie. Przede wszystkim jest to lustrzanka pełnoklatkowa (kiedy jak nie na święta zrobić sobie bądź komuś taki prezent?), o 24-megapikselowej matrycy, bardzo dobrej pracy w słabym oświetleniu, 51-polowym systemie autofokusa. Oczywiście również nagrywa filmy, choć nie 4K, ale pamiętajmy, że ten aparat najnowszy już nie jest. Oczywiście to niejedyny możliwy wybór, konkurencja w postaci Canona czy Sony również ma bardzo ciekawe modele do zaoferowania, można się też skusić na aparat z matrycą APS-C (czyli mniejszą, ale takie lustrzanki są tańsze). Musimy pamiętać, że aparaty pełnoklatkowe z reguły są większe i cięższe, podobnie obiektywy.

Cena: ok. 5500 zł

Smartfon Huawei Y5 2019

Nie jest to może model z najwyższej półki, ale nie przesadzajmy. Huawei Y5 2019 ma niemal bezramkowy wyświetlacz o rozmiarze 5,71 cala w formacie 19:9. Smartfon jest wyposażony w aparat główny o rozdzielczości 13 MP, przedni aparat o rozdzielczości 5 MP ma funkcję wspomagającą robienie selfie. Urządzenie zaopatrzono w akumulator o pojemności 3020 mAh i z łatwością może pracować przez 10 godz. w połączeniu z siecią LTE czy odtwarzać muzykę bez przerwy przez 74 godz., ma także 32 GB pamięci wewnętrznej z możliwością rozszerzenia do 512 GB. Huawei Y5 2019 może się odblokować poprzez rozpoznanie twarzy (funkcja Face Unlock), telefon działa na najnowszym oprogramowaniu EMUI 9.0 oraz systemie operacyjnym Android 9.0 Pie.



Cena: ok. 550 zł

eprasa.pl 4dac2b45fe



Wideorejestrator Navitel MR250 NV

Coś dla kierowcy. Firma Navitel zaprezentowała nową wersję lusterka samochodowego z wbudowanym wideo-rejestratorem. Navitel MR250 NV ma tryb nocny – Night Vision – dzięki czemu jakość nagrań w trudnych warunkach oświetleniowych się polepszyła. Urządzenie rejestruje materiał wideo w rozdzielczości Full HD z prędkością 30 klatek na sekundę, ma szerokokątny obiektyw, który obejmuje 160 stopni. W środkowej części lusterka znajduje się 5-calowy ekran IPS, na którym wyświetla się obraz. Urządzenie obsługuje karty o pojemności do 64 GB. **Cena: 379 zł**



Zegarek Fossil Sport

Zbliżają się święta i najwyższa pora pomyśleć, jak zadbać o formę przed sylwestrem (w ogóle warto zadbać o formę). Najlepiej oczywiście stosować dobrą dietę i uprawiać sport. W tym akurat może pomóc zegarek sportowy z jego licznymi funkcjami. Fossil Sport mierzy tętno, liczy kroki, śledzi przebytą trasę dzięki wbudowanemu modułowi GPS. Możemy też za pomocą zegarka dokonywać płatności, a że to smartwatch, to i współdziała ze smartfonem (powiadomienia), a także obsługuje różne aplikacje. **Cena: 1000 zł**



Klawisze Razer PBT Keycap Upgrade Set

Coś dla znudzonych graczy komputerowych, ale nie tylko. Dla wszystkich, którzy już nie mogą patrzeć na swoją klawiaturę, firma Razer przygotowała samodzielny zestaw klawiszy, który pasuje do większości pełnowymiarowych klawiatur. Znalazła się na nich charakterystyczna cienka czcionka Razera naniesiona na podwójny materiał PBT wysokiej jakości. PBT to specjalny półkrystaliczny polimer charakteryzujący się świetną wytrzymałością i odpornością na zużycie. Grubsze niż zwykle nasadki klawiszy zapewniają maksymalną trwałość i eliminują tłuste odciski palców. Zestawy klawiszy Razer PBT są dostępne w wersjach Classic Black, Mercury White, Quartz Pink oraz Razer Green. **Cena: ok. 35 euro**

Kamera Blackmagic Pocket Cinema 4K



Firma Blackmagic dla osób zajmujących się filmowaniem to uznana marka. Blackmagic Pocket Cinema Camera 4K to model, który może zadowolić wszystkich – i tych zawodowo zajmujących się filmowaniem, i amatorów, i vlogerów. Niewielkie rozmiary kamery pozwalają nosić ją w małej torbie, a ze względu na możliwość zmieniania obiektywów – w systemie Micro 4/3 – również i kilka „szkieł" się zmieści (Micro 4/3 to bezlusterkowy system stworzony przez Panasonica i Olympusa). W Blackmagic Pocket Cinema Camera 4K zamontowano matrycę o rozdzielczości 4096 x 2160 px (pozwala na nagrywanie w 4K). Urządzenie wspiera technologia HDR i może ono korzystać z funkcji dual ISO (do 25600). **Cena: ok. 6 tys. zł**

Konsola Sony PS4 Pro



Na rynku konsol sytuacja wyklarowała się już ładnych parę lat temu. W zasadzie mamy trzech graczy: Sony, Microsoft i Nintendo. Produkty każdej z tych firm mają swoje wady i zalety i właściwie tylko od upodobań zależy, kto decyduje się na daną konsolę. My proponujemy Sony PS4 Pro z prostej przyczyny, gry wychodzące na tę konsolę jako tzw. exlusive (czyli wyłącznie na to urządzenie) są na bardzo wysokim poziomie i rzeczywiście wyróżniają się klimatem. Oczywiście zwolennicy Xboksa Microsoftu czy przenośnych konsolek Nintendo też mają ogromny wybór, jeśli chodzi o ciekawe tytuły. Jak zaznaczyliśmy wyżej, wszystko zależy od preferencji graczy. **Cena: od 1500 zł**

eprasa.pl 4dac2b45fe

Dekomunizacja norm PEM, czyli wjazd na drogę do 5G

Ministerstwo Zdrowia opublikowało projekt rozporządzenia zmieniającego normy maksymalnego dopuszczalnego natężenia pola elektromagnetycznego w naszym otoczeniu. Limity te w niektórych przypadkach zostaną podniesione stukrotnie. Czy to dużo?

Wszystko zależy od wartości bazowej, która w naszym kraju jak dotychczas znacząco odstaje od norm funkcjonujących od wielu lat w najbardziej rozwiniętych gospodarkach na świecie. Winne temu są obowiązujące standardy maksymalnie dopuszczanego poziomu pola elektromagnetycznego, które były reliktem z czasów PRL.

PEM to pole elektromagnetyczne pochodzenia naturalnego oraz wytwarzane przez człowieka, m.in. przez urządzenia telekomunikacyjne. Norma europejska dla zakresu powyżej 2 GHz to 10 W/mkw. Zalecenia ICNIRP (ang. International Commission On Non-Ionizing Radiation Protection), które przyjmuje większość krajów unijnych, wynoszą do 2 W/mkw dla fal w zakresie 10-400 MHz, między 2 a 10 W/mkw dla fal w zakresie 400-2000 MHz i do 10 W/mkw. dla fal w zakresie 2000 MHz – 300 GHz. Tymczasem norma Polska to... 0,1 W/mkw. dla wszystkich zakresów. W sieci 5G – przyszłej warunkowej podstawie dla nowoczesnej gospodarki – zagęszczenie stacji bazowych może być dużo większe niż teraz. Stacje jednak będą mniejsze i precyzyjniej niż dziś wyślą sygnał do użytkownika.

Wcześniej tego typu zmiany w prawie były w zakresie kompetencji Ministerstwa Cyfryzacji, jednak z uwagi na ważne obawy społeczne zdecydowano się przesunąć je do Ministerstwa Zdrowia.

OBALANIE MITÓW

Czy niejonizujące promieniowanie elektromagnetyczne używane do transmisji radia, telewizji czy w łączności bezprzewodowej jest szkodliwe dla zdrowia? Na świecie jest ponad 25 tys. różnych badań na ten temat, które mają stwierdzać, że pole elektromagnetyczne w zakresie radiowym, w tym w 5G, jest nieszkodliwe, nie powoduje nowotworów ani chorób serca. Pomimo wysokiej jakości badań nie udało się dowieść wzrostu tego ryzyka – czytamy w białej księdze „Pole elektromagnetyczne a człowiek" autorstwa Ministerstwa Cyfryzacji, opublikowanej w czerwcu. Publikację białej księgi opracowali naukowcy z Instytutu Łączności – Państwowego Instytutu Badawczego razem z uczonymi z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Wydziału Uniwersytetu Gdańskiego. Obala ona np. mit, że mikrofale wykorzystywane w radiokomunikacji działają jak kuchenka mikrofalowa oraz że promieniowanie związane z telefonią komórkową jest groźne jak to związane z radioaktywnością.

– Pole elektromagnetyczne w zakresie radiowym, czyli – tak jak to zostało zdefiniowane m.in. w polskim porządku prawnym – pomiędzy 300 kHz a 300 GHz jest całkowicie nieszkodliwe i nie wpływa negatywnie na nasze zdrowie. Oczywiście tak długo, jak natężenie tego pola jest utrzymywane w odpowiednich, bezpiecznych limitach. A obecnie limity w Polsce są jedynymi z najbardziej restrykcyjnych na świecie, co niestety ma wpływ na to, czy jesteśmy w stanie budować wydajne sieci telekomunikacyjne i czerpać korzyści z najnowszych technologii. Niestety w obecnym kształcie limity te blokują rozwój nowych technologii, natomiast z zadowoleniem przyjąłem projekt rozporządzenia znoszący te ograniczenia – mówi Marek Lipski, ekspert w zakresie problematyki PEM, Polska Izba Informatyki i Telekomunikacji. – Dodatkowo cieszy mnie to, że został on opracowany przez Ministerstwo Zdrowia, co pokazuje, że wprowadzane limity są w zupełności wystarczające do ochrony ludności i środowiska, ponieważ kto jak kto, ale to właśnie MZ stoi na straży naszego zdrowia. Z punktu widzenia techniki zmiana tych limitów pozwoli na budowę nie tylko sieci 5G, lecz również na modernizację istniejących sieci, które – jak napisano w raporcie Instytutu Łączności – już wkrótce zaczną się zapychać.

AUKCJA CZĘSTOTLIWOŚCI

Trwają przygotowania w UKE do przeprowadzenia aukcji częstotliwości 3,4–3,8 MHz, które będą przeznaczone pod technologię 5G. Przewidywany zysk z aukcji szacowany na ponad 1 mld zł został już zapisany w przedstawionym, zrównoważonym budżecie. Jak wspominają przedstawiciele operatorów, taka kwota jest możliwa do uzyskania tylko, jeśli normy PEM zostaną w Polsce zharmonizowane do poziomów zalecanych przez Unię Europejską, WHO i wspomniany wyżej ICNIRP, które pozwolą na efektywne budowanie i udostępnianie sieci 5G. Bez nowego rozporządzenia podwyższającego normy oferowane przez UKE częstotliwości będą bezwartościowe.

KK

eprasa.pl 4dac2b45fe

Branża transportowa w Polsce – nadchodzi czas zawirowań

Branża transportowo-logistyczna jest jednym z kół zamachowych polskiej gospodarki. To ponad 150 tys. podmiotów dających pracę ponad 800 tys. ludziom i generujących łącznie ponad 270 mld zł obrotów. Branżę, która ma za sobą okres dynamicznego wzrostu, czeka jednak wiele wyzwań wynikających ze zmian w krajowym i międzynarodowym otoczeniu regulacyjnym, gospodarczym oraz technologicznym – przekonują w najnowszym raporcie eksperci Banku Pekao

Opublikowany przez Bank Pekao raport „Nadchodzi czas zawirowań. Jak poradzi sobie z nimi polska branża transportowa?" wskazuje polski sektor transportowo-logistyczny jako jedną z najbardziej dynamicznych gałęzi polskiej gospodarki. Od początku XXI w. był on drugą najszybciej rozwijającą się branżą pod względem wytwarzanej wartości dodanej brutto – ponad 8 proc. średniorocznie. To ponaddwukrotnie szybszy wzrost niż średnia dla Unii Europejskiej, wynosząca niewiele ponad 3 proc. Dynamika wzrostu była w Polsce szybsza niż w którymkolwiek kraju UE.

Udział sektora transportowego w łącznej wartości dodanej brutto Polski wzrósł o blisko 2,5 pkt proc., do poziomu ponad 7 proc., przy średniej unijnej na poziomie niecałych 5 proc. Polskie firmy są niekwestionowanymi liderami międzynarodowych towarowych przewozów drogowych, obsługując blisko jedną trzecią pracy przewozowej wszystkich ciężarówek zarejestrowanych w krajach Unii Europejskiej. Wysoką dynamiką rozwojową charakteryzuje się też działalność magazynowa, pasażerski transport lotniczy czy przeładunki w portach morskich.

– Niezależnie od bezsprzecznych sukcesów, jakie branża transportowa odniosła w ostatnich latach, należy ona do tych sektorów gospodarki, które najpoważniej mogą odczuć zmiany zachodzące w ich krajowym i międzynarodowym otoczeniu regulacyjnym, gospodarczym oraz technologicznym. Niektóre z tych zmian mają wręcz rewolucyjny charakter i mogą zasadniczo wpłynąć na warunki gry. Co ważne, z punktu widzenia polskich firm niekoniecznie muszą to być zmiany na lepsze – mówi Paweł Kowalski, ekspert z Biura Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao, autor raportu.

Wśród „game-changerów" analitycy Banku Pekao wymieniają niekorzystne zmiany w unijnym otoczeniu regulacyjnym. Chodzi przede wszystkim o tzw. pakiet mobilności oraz politykę środowiskową, preferującą przewozy kolejowe kosztem transportu drogowego, co może grozić zahamowaniem rozwoju towarowych przewozów drogowych. Istotnym wyzwaniem dla branży jest również niedobór pracowników wymuszający wzrost płac, co z kolei uderza w dotychczasową przewagę konkurencyjną polskich firm.

Jako inne bariery rozwojowe eksperci Pekao wskazują m.in. niedostatki infrastruktury w transporcie kolejowym i rzecznym, wciąż ograniczone warunki dla rozwoju transportu intermodalnego czy narastające problemy z przepustowością lotnisk. Również trwająca rewolucja technologiczna może przynieść daleko idące zmiany w obszarach, takich jak rozwój napędów elektrycznych, autonomizacja pojazdów, digitalizacja oraz wykorzystanie sztucznej inteligencji w zarządzaniu procesami logistycznymi.

– Przewidujemy, że mimo istotnych wyzwań polska branża transportowa będzie w najbliższych latach odnotowywać wzrost popytu na swoje usługi. Nasze prognozy makroekonomiczne wskazują na stosunkowo łagodny przebieg spowolnienia gospodarczego i utrzymanie kilkuprocentowego tempa wzrostu wymiany handlowej. Istotne jest także umacnianie przez Polskę roli regionalnego hubu tranzytowego dzięki rozbudowie infrastruktury, szczególnie wzdłuż biegnących przez terytorium Polski korytarzy TEN-T i trasy Via Carpatia – dodaje Paweł Kowalski z Pekao.

Z analiz Banku Pekao wynika, że w optymistycznym scenariuszu obroty polskich firm z branży transportowo-logistycznej w horyzoncie do 2030 r. mogą rosnąć o ok. 4–5 proc. rocznie. To wprawdzie o około połowę wolniej niż w mijającej dekadzie, ale – jak wskazują autorzy raportu – nadal obserwujemy znaczącą przestrzeń do dalszego rozwoju.

Realizacja tego optymistycznego scenariusza będzie jednak wymagać wielu dostosowań strukturalnych zarówno od samej branży, jak i ze strony państwa. Po stronie firm wśród kluczowych kwestii znajdą się m.in. dostosowanie modeli biznesowych przewoźników drogowych do nowych regulacji unijnych, optymalizacja kosztowa, modernizacja taboru czy wdrożenie nowoczesnych technologii zarządzania procesami transportowo-logistycznymi.

Z kolei pole dla państwa otwiera się w obszarze skutecznej i szybkiej realizacji inwestycji infrastrukturalnych aktywizujących transport kolejowy i rzeczny, stworzenia korzystnych warunków dla rozwoju transportu intermodalnego czy wspierania rozwoju obsługującej transport działalności magazynowo-usługowej na terenie naszego kraju. Brak odpowiednich dostosowań do zmieniających się warunków grozi znacznie głębszym spowolnieniem dynamiki generowanych przez branżę obrotów, do około 2–3 proc. średniorocznie w latach 2019–2030.

eprasa.pl 4dac2b45fe



38/1119/F

Ochrona środowiska i czyste powietrze to najważniejsze zadania, jakie stoją przed nowym rządem oraz samorządami województw. Niestety zamiast merytorycznej dyskusji i porozumienia ponadpartyjnego właśnie te tematy są wykorzystywane instrumentalnie do atakowania rządu przez opozycję. O tym, co udało się już zrobić w sprawie ochrony środowiska i powietrza w ostatnich latach, Kajetan Kutnowski rozmawia z wicemarszałkiem województwa małopolskiego Tomaszem Urynowiczem

O czyste powietrze w Małopolsce

W dyskusji publicznej opozycja jak mantrę powtarza, że należy szybko i całkowicie odejść od węgla jako źródła ciepła, ale i energii elektrycznej.

Tomasz Urynowicz: Jeśli nawet, to możemy dyskutować o stopniowym odchodzeniu od węgla na rzecz innych źródeł energii. To są jednak decyzje strategiczne, które potem przełożą się na działania ogólnopolskie i dopiero na końcu na te w regionie. Rząd ma niełatwe zadanie, musi bowiem wyważać racje różnych środowisk i szukać przede wszystkim dodatkowych mocnych źródeł energii dla naszego kraju. Odnawialne czy alternatywne źródła energii są koniecznością i nie uciekniemy przed tym. W Małopolsce w kampaniach edukacyjnych oraz informacyjnych dużo mówimy na ten temat, zanieczyszczenie powietrza jest bowiem ogromnym problemem. Ale nie można wykonywać gwałtownych nieprzemyślanych ruchów i wylewać dziecka z kąpielą. Sprawa przyszłości węgla to kwestia ogólnopolskiej polityki, jaką przyjmie rząd, i na to też tutaj regionalnie czekamy.

Mocne alternatywne źródła energii to jakie? Energia jądrowa w takim razie? Bo rozumiem, że odnawialne źródła energii nie do końca zastąpią w całości to, co teraz powstaje z węgla jako energia elektryczna.

Dywersyfikacja źródeł energii jest tutaj najważniejsza. Musimy brać pod uwagę nie tylko to, że mamy węgiel, lecz także to, że jest on nierzadko nie najlepszej jakości. Są już certyfikaty jakości węgla, ale trzeba też kontrolować to, co się sprzedaje w składach opału i eliminować węgiel najniższej klasy. Wiele pieców to nie nowoczesne urządzenia piątej generacji, emitujące niewielkie ilości pyłów, lecz tzw. kopciuchy. Działania, jeśli chodzi o energetykę, muszą być w dużej mierze pod pręgierzem ekologicznym, aby jej produkcja była maksymalnie czysta. Musimy więc dbać o to, by zielona energia, jądrowa, węglowa i odnawialne źródła energii, były po prostu

eprasa.pl 4dac2b45fe

rozwijane w Polsce równolegle. To jest jedyna słuszna metoda walki. Wszyscy borykamy się ze smogiem, zanieczyszczeniem powietrza i – szerzej – środowiska. Dlatego apelujemy, aby działania centralne brały pod uwagę ochronę i czystość powietrza. Choć trzeba pamiętać, że temat wykorzystania atomu do produkcji energii elektrycznej również wywołuje ogromne emocje i dyskusje.

O tym, jaka jest jakość powietrza w Krakowie, mówi się od dawna. Władze samorządowe województwa małopolskiego wprowadziły zakaz palenia węglem i drewnem w samym Krakowie. Widzimy już pierwsze efekty, patrząc na nowe przepisy, które zdaniem wielu mieszkańców są dość radykalne.

I skuteczne. Jeśli chodzi o Kraków, to z tych pierwszych map zanieczyszczeń na początku sezonu grzewczego i ocen środowiska wynika jednoznacznie, że sytuacja się zdecydowanie poprawia. Jest coraz lepsze powietrze, oczywiście gorzej jest w ościennych gminach, ale sprawa jest tutaj skomplikowana. W samym Krakowie uchwała antysmogowa weszła od września br. i już widać pierwsze pozytywne efekty. Od czasu gdy było wiadomo, że nowe przepisy wejdą w życie, wiele osób i podmiotów gospodarczych zdecydowało się na wymianę pieców. Jednak uchwała antysmogowa dla całego województwa to perspektywa dwóch lat. Będzie jednak dotyczyła zupełnie czegoś innego, nie zakazu palenia węglem, a jakości pieców i wymogów pod tym względem. Tutaj wciąż jest bardzo dużo do zrobienia – tempo wymiany pieców nie jest zadowalające. Nadzieją jest program Czyste Powietrze, który ma właśnie przyśpieszyć działania w tej kwestii i je współfinansować.

Dlaczego więc tempo wymiany pieców na ekologiczne jest zbyt wolne?

Tutaj nakłada się kilka spraw równocześnie – zaczynając od mentalności części ludzi, którzy wciąż nie widzą zależności między tym, czym oddychają i czym palą w piecach oraz w jakiej jakości kotłach. Chodzi również o ubóstwo energetyczne, po prostu trzeba mieć środki finansowe, żeby wymienić piec na lepszy czy też zmienić źródło ciepła na ekologiczne, co często jest droższe niż tradycyjny piec na węgiel. Trzeba też usprawnić możliwość korzystania z programu Czyste Powietrze, zbyt dużo jest niepotrzebnej biurokracji, a da się to usprawnić i przyśpieszyć. Nadzieja jest taka, że programy związane z usuwaniem ubóstwa energetycznego dotrą do najbardziej potrzebujących i ta przeszkoda zostanie wyeliminowana. Druga sprawa to programy edukacyjne – wierzę, że będą mocno oddziaływać i zmieniać naszą mentalność. Musimy mieć świadomość, że od tego, co sami robimy, zależy to, w jakim środowisku żyjemy – czystym czy zanieczyszczonym i szkodliwym dla naszego zdrowia.

Urząd Marszałkowski prowadzi cały czas kampanie edukacyjne. Czy przyniosły one wzrost świadomości społecznej? Po pierwsze, że palenie węglem słabej jakości szkodzi, a po drugie, jakie konsekwencje zdrowotne ma smog?

Efekty widać i – co cieszy – wzrasta zainteresowanie naszymi kampaniami edukacyjnymi. Partnerem są tutaj samorządy gminne, jeśli wójt jest zainteresowany, to zawsze podejmujemy wspólnie działania. Jest program Life – teraz siedem samorządów, w tym tatrzański, do niego przystąpiło, i to naprawdę cieszy. Jednak działania edukacyjne to lata pracy, bo przekonania, które pokutują w wielu społecznościach, są dziedziczone i trzeba tu zmieniać radykalnie mentalność. Z raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że jeśli będziemy działać w takim tempie, to czyste powietrze będziemy mieć za 100 lat. Tyle czasu na pewno nie mamy i dlatego musimy się mobilizować do coraz mocniejszych działań.

Tymczasem ochrona środowiska wpisana jest nawet w oś dobra i zła, jeśli chodzi o wartości chrześcijańskie.

Dokładnie tak, niefortunne jest to, że ochrona środowiska znalazła się na sztandarach walki politycznej i jest wykorzystywana instrumentalnie. Ekologię często mylnie przypisuje się lewej stronie sceny politycznej i uważa, że wyzwania, które przed nami stoją, są wydumane. W opinii publicznej istnieje przekonanie, że ochrona środowiska i wartości chrześcijańskie to dwa zupełnie rozbieżne spojrzenia na świat i ludzi. Nic bardziej mylnego! Wystarczy powiedzieć, że jako wicemarszałek województwa małopolskiego, jeśli chodzi o edukację ekologiczną, ściśle współpracuję z zakonem franciszkanów oraz fundacjami z nim związanymi. Przypomnijmy, że w tym roku mija 40 lat od czasu, gdy Ojciec Święty Jan Paweł II ogłosił św. Franciszka patronem ekologów. Nasza współpraca z Kościołem i związanymi z nim organizacjami wynika z potrzeby docierania z edukacją ekologiczną do jak najszerszego grona odbiorców. Chcemy ekologii integralnej i bardzo chrześcijańskiej. W związku z czym – w narracji o środowisku – przywołujemy i Jana Pawła II, i papieża Franciszka, a także wcześniejsze dokumenty Kościoła. Po to by tłumaczyć, przekonywać, a przede wszystkim ugruntować pogląd, że ta ekologia, o której my mówimy i o którą walczymy, to nie jest wymysł szalonych lewackich ekologów neomarksistowskich. Właściwa ochrona środowiska jest integralnie wpisana w Kościół katolicki, dlatego chcemy w przyszłym roku wydać pisma św. Jana Pawła II poświęcone właśnie zagadnieniom ekologii.

Dbałość o środowisko to m.in. ograniczanie używania plastiku w naszym życiu codziennym lub jego wielokrotne używanie, bo przecież tworzywa nie są biodegradowalne. Ostatnia kampania wyborcza to też apel pana marszałka, aby nie wyrzucać banerów, a racjonalnie je wykorzystywać.

Róbmy z nich torby a nie wyrzucajmy na wysypiska śmieci lub nie daj Boże nie palmy ich w kotłowniach! Sam takiej torby używam, wykonanej z banerów, które kiedyś wisiały na kinie Świt w Krakowie, a sama torba jest bardzo estetyczna i modna – co dla wielu osób jest ważne.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Czerwona kartka dla marnotrawstwa

Wypróbowane metody zarządzania korporacjami doskonale sprawdzają się w służbie zdrowia i codziennym życiu. Może warto zastosować w nadchodzącym roku system czerwonych karteczek i oznaczyć w stylu życia zachowania, które nie przekładają się na nasze zdrowie? Choroby i otyłość to najgorsze marnotrawstwo, bo przecież na własne życzenie bezrefleksyjnymi nawykami psujemy mechanizm, jakim sami jesteśmy. O tym, jak to zmienić, w rozmowie z Martą Krzyżanowską mówi dr n. ekonom. Adam Niedzielski, prezes Narodowego Funduszu Zdrowia

Jak się czuje ekonomista w sektorze służby zdrowia?

Adam Niedzielski: Jak ryba w wodzie. Współczesny świat medycyny, aby mógł sprostać stawianym mu wyzwaniom, bardzo potrzebuje specjalistów z niemedycznym wykształceniem, a od zarządzania organizacją w szczególności. Potencjał rozwiązywania problemów organizacyjnych w sektorze zdrowia jest ogromny. Bez skutecznych i sprawnych zmian zarządczych będziemy kolejne lata biegać z taczkami, zamiast powoli, ale konsekwentnie, iść do przodu.

Co jest najważniejsze, co pierwsze do zrobienia w naprawie funkcjonowania naszego systemu opieki zdrowotnej?

Czy polscy specjaliści są gorzej wykształceni medycznie? Absolutnie nie. Czy sprzęt w Polsce odbiega znacznie od urządzeń dostępnych w innych krajach? Niespecjalnie. W zasadzie najistotniejszą sferą do naprawy polskiego systemu ochrony zdrowia pozostaje sfera organizacji i efektywności. Na tym polu mamy wiele jeszcze do zrobienia. Brak u nas standardów, czy nawet kultury pomiarów. Nie tylko pomiaru parametrów klinicznych, ale także pomiaru skuteczności procesowej, czy pomiaru satysfakcji pacjenta. To, co w wielu placówkach za granicą jest absolutnym standardem, wręcz swoistą higieną zarządczą, u nas albo nie występuje w ogóle, albo dopiero bardzo powoli się rozwija. Bardzo chcę taką kulturę pomiaru promować, wzmacniać ją. Pamiętajmy jednak, że wymaga to zaangażowania ekspertów, którzy niekoniecznie muszą mieć wykształcenie medyczne. Potrzebujemy ludzi z dobrym wykształceniem ekonomicznym, prawniczym, zarządczym, komunikacyjnym; takich, których wiedza i doświadczenie pozwolą nam spojrzeć na pewne ważne zjawiska w sposób niemedyczny. Dokładnie tak, jak dzieje się to w krajach, na których chcemy się wzorować.

Jak konkretnie miałoby to się przekładać na zarządzanie szpitalem?

Dam przykład, który dobrze zobrazuje tę tezę. W Siemianowicach Śląskich działa Centrum Leczenia Oparzeń – znany



97/1019/F

w Polsce i za granicą szpital specjalistyczny. Problemem pierwszoplanowym było zarządzanie w wielu obszarach placówką. Dyrektor Mariusz Nowak zaprosił do współpracy firmę zewnętrzną, wyspecjalizowaną w lean management, której zlecił uporządkowanie odcinka gospodarki magazynowej. Brak było ciągłości zamówień. Gdy nagle kończyły się zapasy, robił się duży problem i konieczne były zakupy w trybie pilnym. W efekcie nie było możliwe sensowne negocjowanie cen zakupu, a raz zrobione zapasy miały być zabezpieczeniem na możliwie długi termin. A przecież optymalny poziom zapasów nie oznacza zakupu w ilości hurtowej, pod przysłowiowy korek. Ogólnie więc było nerwowo i drogo.

Co to jest lean management?

Lean management to jest swego rodzaju filozofia, zbiór zasad determinujących eliminowanie marnotrawstwa wszel-

eprasa.pl 4dac2b45fe

kich działań, procesów, surowców; tego wszystkiego, co nie przyczynia się do wzrostu jakości produkcji oraz wartości organizacji. Dziś lean management stosuje się z sukcesem w różnych branżach. Jest to uniwersalne narzędzie zarządzania, które bardzo cenię i lubię.

Wracając do wspomnianego przykładu placówki w Siemianowicach Śląskich, dzięki implementacji lean management system zarządzania zapasami ustawiono na poziomie dwutygodniowego terminu wykorzystania. Gdy wykorzystanie zapasów schodziło do limitu, automatycznie uruchamiała się procedura zakupowa. Okazało się, że ta zmiana nie tylko uporządkowała gospodarkę magazynową, lecz także zaczęła generować konkretne oszczędności. Proces był ciągły i przewidywalny, a ceny niższe. Czysta ekonomia. W konsekwencji dyrektor szpitala zaproponował konsultantowi stanowisko wicedyrektora. Dodam, że ten nie miał nigdy wcześniej do czynienia ze szpitalnictwem.

I jak sobie radzi taki niemedyczny fachowiec w wysokospecjalistycznym szpitalu?

Zaczął chodzić po placówce, poznając specyfikę każdego miejsca i procesu. Pytał pracowników o każdy sprzęt, każde składowisko czy magazyn, który zobaczył. Jeśli pracownik nie umiał wskazać zastosowania danego sprzętu czy magazynu, naklejał na nim czerwoną karteczkę. Coś jak czerwona kartka w meczach piłki nożnej. Przyglądał się uważnie, systematycznie eliminując wszelkie zaszłości i marnotrawstwa. Dziś ten szpital to doskonale uporządkowana jednostka. Choćby profilaktyka zakażeń. Przy każdym wejściu od razu zauważalny automat do dezynfekcji rąk, czyli dbałość o bezpieczeństwo. To wszystko jest wręcz bezrefleksyjne i intuicyjne, bez sięgania prawą ręką do lewego ucha, co często jest praktyką w naszych placówkach. Proszę zobaczyć, że ta jednostka stała się bardziej zaawansowana nie na skutek zmian w wymiarze klinicznym, lecz stricte organizacyjnym. I właśnie w wymiarze organizacyjnym mamy w systemie opieki zdrowotnej w Polsce najwięcej do nadrobienia.

Rzeczywiście, pacjent w szpitalu często już na wejściu czuje się jak Józef K. z „Procesu" Kafki.

Miałem przyjemność wizytować Johns Hopkins Hospital – uważany za jeden z najlepszych na świecie szpitali akademickich, z najwyższym poziomem leczenia w kluczowych rankingach. Odwiedziłem ich Capacity Command Centre. To jest koncept organizacyjny, który zmienia filozofię działania szpitala. CCC polega na zarządzaniu ruchem/obecnością pacjenta w całym obiekcie. Od wejścia przez izbę przyjęć, przez inne działy oraz laboratoria, gdzie pacjent ma zlecone badania, przez ewentualny zabieg czy operację, po rekonwalescencję i wyjście ze szpitala. To jest optymalizacja systemu opieki na rzecz jak najlepszej obsługi pacjenta. Wszystko jest monitorowane i mierzone, np. ruch pacjentów na dany dzień jest prognozowany z precyzyjną dokładnością, po uwzględnieniu godziny i dnia tygodnia, warunków pogodowych, zdarzeń zewnętrznych oraz innych parametrów. Dokładność prognoz jest bardzo duża, nikogo więc nie dziwi taka czy inna liczba pacjentów w izbie przyjęć. Prognozy obejmują nie tylko liczbę osób, lecz także ich strukturę wiekową, prawdopodobieństwo schorzeń, zaburzeń czy urazów, z którymi zgłaszają się pacjenci. Model ten działa od lat, jest udoskonalany o kolejne obserwacje, z których każda poprawia jego niezawodność. W JHH widać każdego dnia rano prognozę zapotrzebowania na łóżka, a następnie jest pokazane, co zrobić, aby te łóżka były do dyspozycji. Wszystkie badania, ciąg czynności wobec każdego pacjenta są monitorowane po to, by z minuty na minutę optymalizować obsługę pacjentów. Informacje ukazują się na bieżąco na monitorach odpowiednich zespołów specjalistów, najczęściej interdyscyplinarnych, podejmujących w realnym czasie decyzje i działania. W opinii menadżera Capacity Command Centre wprowadzenie tej metody oznaczało dla placówki 20-procentową poprawę efektywności – jednak nie w sensie oszczędności finansowej, a potencjału. Mają o 20 proc. więcej łóżek w szpitalu i to jest dla nich miernik oszczędności i skuteczności. By za te same pieniądze kupować więcej, by pracować mądrzej, a nie taniej lub szybciej. Jeśli myślimy o rewolucji w systemie opieki zdrowotnej, to oznacza to głównie wymiar właśnie organizacyjny.

A jak przełożyć lean management na zarządzanie własnym zdrowiem?

Dobre pytanie. Optymalizacja procesu i eliminowanie marnotrawstwa sprawdza się także w naszej codzienności. Może warto zastosować w nadchodzącym roku system czerwonych karteczek dyrektora z Siemianowic i przez pierwszy miesiąc oznaczyć w stylu życia te czynności i produkty, które nie przekładają się na nasze zdrowie? Oj, zaroiłoby się od czerwonych kartek – za wylegiwanie na kanapie zamiast spaceru, za rollowanie internetu zamiast rozmowy z bliskimi, czy wreszcie za krytycznie ważny nadmiar cukru, soli i tłuszczu w naszym żywieniu, które przekładają się wprost na choroby i otyłość. To najgorsze marnotrawstwo, bo przecież na własne życzenie bezrefleksyjnymi nawykami psujemy mechanizm, jakim sami jesteśmy. Taka diagnoza czerwonych karteczek mogłaby pomóc nam dostrzec wiele wad, by samemu wdrożyć plan naprawczy.

Kto ma dziś czas na dodatkowe obowiązki czy konsultacje?

Każdy, kto skutecznie zmienił swój styl życia, czyli wziął się odpowiedzialnie za swoje zdrowie, doskonale wie, że najtrudniejsze w całym tym procesie jest narzekanie, biadolenie i wymówki. A wystarczy powiedzieć sobie jednego dnia DOŚĆ i wdrożyć trzy proste kroki: zdrowsze żywienie na co dzień – polecam wszystkim darmowe plany żywieniowe na portalu diety.nfz.gov.pl – kilka razy w tygodniu spacer w możliwie szybkim tempie oraz minimalne spożycie produktów w cukrem, najlepiej od święta i w ilościach pediatrycznych. I proszę mi wierzyć, że nie trzeba niczego więcej. Po kilku tygodniach organizm zaczyna pracować lepiej – bardziej wydajnie, odzyskujemy radość życia i spokojny sen, a ulubione dżinsy nagle zaczynają leżeć jak ulał, nawet świeżo po wypraniu.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Moskwa Bułhakowa

„Ryba drugiej świeżości” – któż nie zna tego cytatu. Nic dziwnego, że otwiera on rozmowę Łukasza Modelskiego z Jarosławem Topolewskim o kulinariach Moskwy czasów Michaiła Bułhakowa. Za to ryba w pełnej krasie i w jak najlepszej świeżości „przepływa” nad miastem cerkwi w poprzedzającej dyskurs grafice autorstwa Zofii Różyckiej. I rozmowa, i ilustracja zamieszczone zostały w książce „Droga przez mąkę, czyli literatura dla kucharek” (wyd. Znak).

Prowadzeni przez rozmówców przemierzamy Moskwę z początków nowego porządku, gdy na dodatek odwiedza miasto, wraz ze swoją świtą, Woland. Szatan, jak się okazuje, jest doskonale zorientowany w realiach młodej radzieckiej gastronomii i obowiązującego zbiorowego żywienia. Nie może sobie jednak odmówić pouczenia bufetowego z teatru Variétés: „Przechodziłem wczoraj, szanowny panie, obok pańskiego bufetu i do tej chwili nie mogę zapomnieć ani jesiotra, ani bryndzy. Łaskawco! Zielona bryndza nie istnieje! Ktoś musiał pana oszukać, bryndza powinna być biała! A herbata? Przecież to pomyje! Widziałem na własne oczy, jak jakaś niechlujna dziewczyna wlewała z wiadra surową wodę do waszego wielkiego samowara, a herbatę tymczasem nalewano w dalszym ciągu. Nie, mój drogi! Tak być nie może!”.

Jest w „Mistrzu i Małgorzacie” jeszcze spora scena kulinarna, wypełniona – dosłownie po brzegi – alkoholem. Jak basen, w którym – podczas balu u Wolanda – można się wykąpać w szampanie, ale tylko przez chwilę, bo na skutek żartu Behemota trunek zamienia się w koniak.

Małgorzata, która zajmuje się witaniem gości, widzi kątem oka misy pełne ostryg oraz kucharzy smażących mięso podawane na gorących kamieniach.

W Moskwie nowych kulinarnych norm i obyczajów co poniektórzy wspominają jeszcze przedrewolucyjną restaurację U Gribojedowa, gdzie „sandacz au naturel z wody! Sandacz to jeszcze nic! Filet ze sterleta z szyjkami rakowymi i ze świeżym kawiorem. A może mielibyście coś przeciwko filecikom z drozdów? Z truflami? Albo przeciwko przepiórce po genueńsku? A jazz! A uprzejmość personelu!”.

W czasie kiedy dzieje się akcja powieści Bułhakowa, ten sam hotel wygląda już inaczej: „Zlani potem kelnerzy nieśli ponad głowami spotniałe kufle piwa. Krzyczeli ochryple, z nienawiścią: – Najmocniej przepraszam, obywatelu! Głos z głośnika komenderował: – Szaszłyk karski raz! Dwie gicze! Flaki po polsku! – Łoskot złotych talerzy jazzbandu zagłuszało od czasu do czasu szczękanie naczyń, które pomywaczki zsuwały po równi pochyłej do kuchni. Jednym słowem: piekło!”.

Jolanta Gajda-Zadworna



Szaszłyk po karsku

(przepis z książki Łukasza Modelskiego)

Szaszłyk karski to danie Ormian z tureckiego obecnie miasta Kars, które wcześniej należało do Armenii, a wcześniej jeszcze znajdowało się w granicach Imperium Rosyjskiego. Przepis podaję za blogiem Paris – Moskwa 3:54 Anny Mandes-Tarasov, autorki m.in. książki „Moje wielkie ruskie wesele”.

Składniki: 2 kg baraniny, 10 cebul, 1 cytryna, 1 pęczek koperku, 1 pęczek kolendry, 0,5 szklanki tymianku, 5 goździków, 2 łyżeczki mielonego pieprzu, ocet winny i koniak (do smaku, odrobinę).

Wykonanie: Chudą baraninę tnie się na duże kawałki po 150–200 g każdy. Następnie wkłada się je do marynaty: cebulę i zioła drobno kroimy, przyprawy rozbijamy w moździerzu. Mięso powinno spędzić w marynacie przynajmniej 12 godzin. Następnie mięso nadziewa się na duży szampur (szpadę) i piecze na mangale (opalanej węglem blaszanej rynnie z wycięciami na ułożenie szampurów). Do jedzenia nie podaje się kawałków szaszłyka, ale to, co już się opiekło, skrawa się stopniowo z szaszłyka. Ormianie twierdzą, że większe kawałki gwarantują, iż mięso będzie bardziej soczyste.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4dac2b45fe



SŁODKO-SŁONY

Weselne zrazy

ANNA MONICKA

Mieliśmy w rodzinie wielkie weselisko. Nie byle gdzie, bo na Śląsku, który słynie z pysznej domowej kuchni. Ostatni raz balowałam tam na ślubie mojej siostry dobre 30 lat temu i, muszę przyznać, gusty kulinarne przez ten czas bardzo się zmieniły. Jedzenie lżejsze, dużo dodatków i sałatek, ryby, mniej majonezu. I znacznie mniej gorzały. Żadnych rubasznych przyśpiewek, obraźliwych dla panny młodej gier czy obleśnych konkursów. Poprzeczka została zawieszona bardzo wysoko.

Dania główne miło połechtały moje podniebienie – że się tak górnolotnie wyrażę. Chociaż na pierwszy ogień nie podano żurku (ten śląski ma wszystkie inne pod sobą, na szczęście był na śniadanie – bardzo mądrze) ani rosołu, krem z borowików godnie zastąpił obie te zupy. Pyszny, prosty do zrobienia i wykwintny. Zmiksowane kapelusze (same borowiki byłyby zbyt delikatne i słodkie, więc warto je zmieszać z bardziej wyrazistymi podgrzybkami) w bulionie warzywnym, doprawione śmietaną i zieloną natką pietruszki, która wspaniale pasuje do grzybów. Na wierzchu grzanki. Zupa godna każdej ważnej imprezy.

Drugie – tradycja w czystej postaci. A w każdym razie ja na nią postawiłam, bo z półmiska mięs bezbłędnie wyłowiłam zawijanego zraza. U nas też od wielkiego dzwonu robimy zrazy. Są pracochłonne i trzeba mieć świetne mięso, ale warto się zabawić. Polędwicę albo zrazówkę rozklepujemy, smarujemy musztardą, wkładamy do środka kawałek ogórka kwaszonego i wędzonego boczku, można dołożyć śliwkę, zawijamy, spinamy, podsmażamy, a potem układany w brytfannie, podlewamy wodą i dusimy z listkiem bobkowym, zielem angielskim, pieprzem i odrobiną soli, którą posypujemy pod koniec.

Kluski śląskie i modra kapusta były dla mnie ostatnim akordem, bo chciałam trochę potańczyć, a nie paść z przejedzenia. Już w domu zrobiłam z zadowoleniem własne – polecam je wszystkim, bo są pyszne i zdrowe – tylko ziemniaki, skrobia i jajka. Gotowane utłuczone kartofle, najlepiej wczorajsze, układamy na talerzu, dzielimy na cztery części, w miejsce 1/4 dodajemy mąkę ziemniaczaną, do tego jajko lub dwa, dokładnie wyrabiamy i robimy kuleczki z dziurką (na sos). Gotujemy, aż wypłyną – najlepsze są oczywiście do zrazów (wybitnie dobrana para), ale my z córką jemy je też po prostu z masłem lub okraszone cebulką czy boczkiem. A do nich – obowiązkowo – kapusta. Jak nie ma modrej, może być biała kwaszona.



WILCZYM OKIEM

Chapulines

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na świecie zjada się różne rzeczy. W Meksyku np., a zwłaszcza w rejonie wielkiego miasta Meksyk, założonego onegdaj na miejscu azteckiego Tenochtitlán i rozległych bagien, po którym to mieście i mokradłach nie został ślad, oraz w regionie Oaxaca, zjada się smażone, przyprawione na ostro koniki polne, trochę jak chipsy, nazywane chapulines.

Owady są bogatym źródłem białka, przyprawione mogą być całkiem smaczne, a niektóre gatunki występują masowo. Są więc dobrym kandydatem na zapełnienie luki żywnościowej w niektórych rejonach świata lub po prostu jako przekąska (chapulines sprzedawane są często kibicom przy okazji wydarzeń sportowych).

Warto przy okazji chapulines zwrócić uwagę na pewien zapomniany dziś na ogół wycinek zoologicznej rzeczywistości. Wycinek, który do niedawna dla wielu ludzi był codziennością. Nazwy małych stworzeń, owadów takich jak „konik polny", „pasikonik" czy „świerszcz", nadal często pojawiają się w bajkach i powiedzeniach. W czasach kiedy ludzie spędzali czas na pastwiskach, mając przy okazji doglądania stad możliwość obcowania z przyrodą, i mieszkali w chatach, pod których przyjazne strzechy chroniły się najrozmaitsze stworzenia, owady te były znane i rozróżniane. Warto odświeżyć ich znajomość, żeby chociażby podczas lektury umieć wzbogacić swoje wyobrażenia, wiedząc, jak odzywa się konik polny, a jak świerszcz.

Otóż koniki polne (małe, skaczące, brunatne, roślinożerne, zaliczane do rodziny szarańczowatych, jadanej nie tylko w Meksyku) i pasikoniki (przedstawicielem w Polsce jest duży pasikonik zielony, drapieżny, może ugryźć) to owady skoczne, żyjące wśród traw. Ich głosem jest cykanie wydawane niemal bez przerwy, głównie w słoneczne dni, a także pogodnymi wieczorami.

Świerszcze natomiast to owady o nocnym trybie życia, w dzień chowające się w norkach. Niezbyt dobrze skaczą, wolą chodzić. Ich głos to wydawane w pewnych odstępach czasu ćwierkanie. Świerszcz polny jest obecnie gatunkiem rzadkim i znajduje się na Czerwonej liście zwierząt ginących i zagrożonych.

Chociaż w Polsce nie jemy ani koników polnych, ani pasikoników, ani świerszczy, warto sobie wyrobić jakiś pogląd na temat tych stworzeń. Poza tym nigdy nie wiadomo, co się przyda w przyszłości.

eprasa.pl 4dac2b45fe

Trzy miliony Polaków



Było trudne zwycięstwo, jest trudniejszy od poprzedniego parlament. Ale to on jest normalny, lepiej odzwierciedla spektrum poglądów Polaków. Poprzedni był dla dobrej zmiany nadzwyczajnie łaskawym zrządzeniem Opatrzności czy też – jak mówią młodzi – „dzikim fartem". Dobra zmiana tę szansę wykorzystała, dotrzymując słowa w większości przedwyborczych obietnic – zmieniła w Polsce reguły gry politycznej. Została za to nagrodzona, ale powściągliwie, skromniej, niż przewidywano. Jaskrawo pokazało się, że czegoś brakuje, coś ogranicza.

Jest wreszcie koalicyjna umowa. Rozumiem, że w sprawie finansowania przez podatników nauczania ideologii gender Jarosław Gowin położył się Reytanem i dobra zmiana będzie szczodrą ręką opłacać „naukowe" badania o tym, że płeć można sobie wybierać w każdy wtorek inną. Polityka to roztropna troska o dobro wspólne, ale i konieczność kompromisów. Byleby nie przekroczyć granicy, za którą jest już inny świat, inna idea, inni wyborcy.

Był czas, pamiętam go dobrze, bo był niedawno, gdy PiS – mimo tsunami nienawiści, kłamstw i szczucia na niego – przestało być obciachem dla absolutnej większości Polaków. Gdy obciachem i żenadą była zakiwana w szemranych geszeftach i przepojona pogardą Platforma, ironicznie nazywana „obywatelską". PiS, także dla większości młodych, jawiło się jako gromada gości, którzy naprawdę chcą Polskę z latynoskiego feudalizmu przeprowadzić w nowoczesność, naprawdę zmniejszyć nierówności, przynajmniej trochę naprawić krzywdy, a młodym dawać szansę będącą czymś więcej niż platformerski „bilet na zmywak". Że są tymi, którzy chcą przypomnieć, że polskie państwo jest dla nas i do nas należy, zamiast być unijnym urzędem, gdzie bezwolny Polak ma się czołgać, błagając o poklepanie po plecach i ochłap z uczty aroganckich pasibrzuchów. Był taki czas niedawno.

Osiem milionów głosów oddanych na Prawo i Sprawiedliwość i koalicjantów to bardzo dobry wynik. Ale kilkanaście milionów głosów oddanych na zupełnie inne partie to wynik zły. Wiele złożyło się na to przyczyn i sporo taktycznych błędów, ale jednym z najważniejszych jest – świadome czy nieświadome – przyzwolenie na powrót obciachu. W komunikowaniu z Polakami PiS zbyt często przestawało się przejmować formą. Profesor Zybertowicz powiedział „mniej maczugi, więcej skalpela". By uzyskać konieczną do prawdziwego zbudowania silnej i wolnej Polski większość konstytucyjną, PiS musi przeprowadzić operację na sercach kilku milionów wahających się Polaków. Musi pozyskać kolejne 2–3 miliony wyborców. A operacji na sercu maczugą przeprowadzić się nie da.

Wielkie miasta wcale nie muszą być platformerskie czy lewackie. Przegrane Zjednoczonej Prawicy nie wynikają z praw przyrody ani wyroków Opatrzności, ale z popełnionych błędów, zaniechań, braków wizji, wyobraźni czy konsekwencji. Nie dotyczy to personalnie kandydatów PiS w ostatnich dwóch wyborach prezydenckich w Warszawie, obaj spisali się dzielnie. Dotyczy to polityki – nazwijmy ją – cywilizacyjnej. Mniejsza dlaczego, ale mieszkańcy wielkich miast chcą być elitą. Zjednoczona Prawica zbyt mało wysiłku poświęca budowaniu elity.

To walka o serca i umysły mieszkańców wielkich miast zadecyduje o możliwości przebudowania Polski na państwo prawdziwe, uczciwe, sprawiedliwe i silne. Jeśli prawica ją przegra, Polska będzie inna, niż ją sobie wymarzyliśmy

Wielkie miasta w części będą lewicowe, zmniejsza się liczba wyborców pamiętających obrzydliwość i zbrodnie komuny. Jeśli lewicę – mimo całego bagażu zbrodni i kłamstw pod tym szyldem – rozumiemy jako obronę i wspieranie słabych, wykluczonych i bezbronnych, to taka lewica jest Polsce i Polakom potrzebna. Ale agresywne lewactwo mordujące dzieci, narzucające szkolne lekcje masturbacji będącej przecież totalitarną pedofilią, lewactwo próbujące zerwać więzi Polaków z własnymi rodzinami i własną ojczyzną – powinno być politycznie i kulturowo marginalizowane.

Agresywne lewactwo oraz służalcza wobec koncernów i obcych rządów platformerskość to atrofie, które zagrażają Polakom. Huraganowe poparcie dla PiS na ścianie wschodniej, aktywizacja części niegłosujących, zdobycie prowincji i większości w niemal wszystkich województwach – nie wystarczą. To walka o serca i umysły mieszkańców wielkich miast zadecyduje o możliwości przebudowania Polski na państwo prawdziwe, uczciwe, sprawiedliwe i silne. Jeśli prawica ją przegra, Polska będzie inna, niż ją sobie wymarzyliśmy. Stanie się kolonią lewackich radykałów i koncernowych służalców.

Sformułowanie skutecznego programu komunikacji PiS z wielkimi miastami zadecyduje o przyszłości Polski.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 4dac2b45fe

Medialna walka o nasze dusze



Alina Czerniakowska

Wszyscy widzimy, że dzisiaj coraz większy wpływ na nasze życie mają wszelkie media i uskuteczniana przez nie propaganda. Całe zastępy ludzi odpowiednio szkolonych pracują nad tym, aby nawet największe kłamstwo wmówić odbiorcy i przerobić na fakty. Goebbelsowska metoda „Plujcie, a zawsze coś się przyczepi" jest ciągle aktualna, rozwija się, przyjmuje coraz to nowsze oblicza na podstawie udoskonalonych sposobów oddziaływania na ludzką podświadomość. Znane od dawna na Zachodzie, a u nas stosowane ostatnio w dużym nasileniu przez TVN tzw. działania podprogowe sieją spustoszenie w mózgach odbiorców. Często bezmyślnie kodują się w naszych głowach podawane zewsząd informacje, niemające nic wspólnego z prawdą.

W tej medialnej walce najbardziej poszkodowani są młodzi ludzie, praktycznie w ogóle nieczytający książek, całą wiedzę czerpiący z internetowych telewizji, haseł, pośpiesznie wystukiwanych w poszukiwaniu sensacji. W Polsce trwa walka między tymi, którzy są już kolejnym pokoleniem ludzi związanych z narzuconą nam władzą z zewnątrz, i tymi, którzy wywodzą się z patriotycznych rodzin i mają wiedzę przekazywaną od pokoleń, znają prawdę, wiedzą, gdzie jej szukać, w jakich dokumentach i książkach, przez kogo napisanych. Ten podział zarysowuje się tym wyraźniej, im większe i poważniejsze reformy naprawiające funkcjonowanie państwa podejmuje obecny rząd Prawa i Sprawiedliwości. Widzimy, jak wielkie są opory w sądownictwie, jak trudno rozbić istniejący układ wzajemnych interesów, powiązań, koligacji, trwający od zakończenia wojny, gdy Moskwa zaczęła urządzać sobie „Priwislinskij kraj, Polsze" – jak wyrażał się ruski generał Iwanow, zajmujący się bezpieką.

Trudno sobie wyobrazić, co będzie się działo, gdy przyjdzie czas uporządkowania mediów w Polsce, znajdujących się w większości w obcych rękach, zatrudniających ludzi wrogich polskiej racji stanu. A przecież media powinny dostarczać wiedzę, uczyć myśleć, promować autorytety, ale też „zwykłych ludzi", wiernych starej narodowej dewizie: „Bóg, Honor, Ojczyzna!" Ktoś zapyta, czy dzisiaj gdziekolwiek jeszcze są tacy ludzie? W świecie mediów liczy się tylko sukces za wszelką cenę, władza, pieniądze, a dążenie do prawdy i inne wielkie wartości są bezużyteczne, puste, to niemodne hasła.

Ostatnio rozmawiałam w TVP ze znajomym dziennikarzem, powiedział krótko: „TVP jest pluralistyczna jak nigdy, bo przecież nie do pomyślenia było, żeby za rządów PO-PSL został zaproszony do studia ktoś spoza ich opcji i chciał powiedzieć, co myśli, a dzisiaj zapraszani są wszyscy, nawet ci najbardziej zajadle i kłamliwie kopiący ten rząd i prezydenta. To dzięki zmianie kierownictwa, bo przecież tu nadal pracują wszelkiej maści postkomuniści, góra się zmieniła, ale reszta jest taka sama mentalnie. Oni tylko się przyczaili, chytrze przycupnęli, by nie stracić etatów, możliwości wysokich zarobków, czasem nawet nie potrafią ukryć, jak bardzo nienawidzą PiS i oczywiście Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli nawet prywatnie mają jakąś świadomość prawdy, to ze względu na dziedziczony układ interesów tylko czekają, jak wróci stare i będzie, jak było.

To prawda, bo przecież całe dziesięciolecia trwał proces tworzenia wzajemnych powiązań, umocowanych jeszcze w poprzednich pokoleniach w PZPR i UB. Tak zbudowali swoje majątki, znajomości, układy, posady, mając za nic zabiedzone, zniszczone rodziny, nie tylko żołnierzy wyklętych, lecz wszystkich ludzi, którzy kierowali się prawdą i zasadami.

Media, a szczególnie telewizja, dawały im przez lata nieograniczone możliwości brylowania finansowego i każdego innego, więc jasne jest, że dzisiaj będą pluć, wierzgać i używać wszelkich, nawet najbardziej ohydnych metod, byle tylko zachować władzę, swoje majątki i nie dopuścić do ujawnienia prawdy. PRL trwał długo, post-PRL, czyli III RP, nic nie zmieniła, tylko jeszcze umocniła tamte układy, pieczętując je wzajemnym wychylaniem toastów w Magdalence.

Mamy już kolejne pokolenia tzw. celebrytów i różnych innych cwaniaków, gardzących ludem, motłochem, który mówi o jakiejś prawdzie, Bogu, Ojczyźnie. Zapominają, że dzisiaj ludzie, potencjalni wyborcy, więcej wiedzą, znają prawdę i już nie będzie można tak łatwo ogłupić narodu. Ale są jeszcze „Oni" – z książki Torańskiej – ci sami i ich następne pokolenia, ukryte w nowych formacjach. Dla nich „polskość to nienormalność" i kpiny z papieża całującego polską ziemię na powitanie i pożegnanie ojczyzny. Dla nich żołnierze niezłomni to bandyci, bohaterowie narodowych powstań to oszołomy, ludzie wierzący w Boga to moherowe berety, a ludzie honoru to Jaruzelski i Kiszczak – pamiętamy to wszystko.

Można by tak wymieniać i prowadzić wyraźną linię podziału, która jest tak głęboka, jak tylko udało się ją zrobić wrogom przez pół wieku od zakończenia wojny, od Jałty. „Udało się diabłom z Kremla dokonać takich zbrodni na psychice i umysłach Polaków, że trzeba będzie kolejnych wielu pokoleń, by to zmienić, odwrócić" – napisał Stefan Korboński w książce pod znamiennym tytułem „W imieniu Kremla". My jednak powinniśmy godnie żyć, rozwijać się jako państwo i naród, wierząc, że sprawiedliwość i prawda muszą zwyciężyć, z Bożą pomocą.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 4dac2b45fe

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Prawnicze podchody



Na postanowienie – zażalenie, na zażalenie – odwołanie, od jednej do drugiej instancji, trzeciej instancji, aby sprawa wróciła tam, skąd wyszła, może się przedawni

Zabawa zaczyna się, gdy pojawia się pytanie prejudycjalne, czyli zapytanie wstępne jakiegoś sędziego z „nadzwyczajnej kasty" do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Nieważne, w jakiej sprawie jest to pytanie. Może to być kwestia wieku emerytalnego lub oddalenia czy uniknięcia ewentualnej groźby uruchomienia postępowania dyscyplinarnego w stosunku do pytającego sędziego czy choćby przeciągnięcie jakiejś sprawy w czasie albo zwrócenie na siebie uwagi, a przy okazji pretekst do pokazania światu, jak w Polsce władza łamie prawo, czyli okazja, aby dokopać tym nielubianym z Ministerstwa Sprawiedliwości.

W odpowiedzi, po długim albo bardzo krótkim czasie przeznaczonym na medialne spekulacje, ukazuje się postanowienie TSUE, z wniosku polskiego/europejskiego sędziego albo Komisji Europejskiej odczytane po polsku przez zasiedziałego tam byłego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, który nie jest już sędzią polskim, tylko europejskim. Tak też twierdzi sama I prezes Sądu Najwyższego, że polscy sędziowie nie są już sędziami polskimi, tylko europejskimi, tak jak cały wymiar sprawiedliwości jest częścią europejskiego wymiaru sprawiedliwości.

Dalej następuje interpretacja postanowienia TSUE dokonana przez Sąd Najwyższy albo osobiście przez panią I prezes SN, albo przez bezgranicznie jej oddanego sędziego rzecznika prasowego. Ktoś zauważa, że postanowienie TSUE dotyczy sprawy, której już nie ma, czyli że sędziowie europejscy tracili czas na rozwikłanie zagadnienia prawnego, którego nie było, gdyż wcześniej rząd dopasował się do oczekiwanych wymogów. Ale okazuje się, że to nie jest ważne, gdyż sprawa toczy się do momentu, kiedy wniosku nie wycofa wnioskodawca, czyli Komisja Europejska.

Dlatego w reakcji na postanowienie TSUE i jego interpretację, tak na wszelki wypadek, pojawia się zapytanie adresowane do Trybunału Konstytucyjnego skierowane przez innego sędziego, tym razem zaangażowanego po stronie reform wymiaru sprawiedliwości. To z kolei okazja, aby przypomnieć, że TK nie jest samodzielny i pracują w nim tzw. dublerzy. W międzyczasie słyszymy wypowiedzi prezydenta, premiera, znowu I prezes Sądu Najwyższego i jej wiernego rzecznika prasowego, dalej ministra sprawiedliwości i jego rzecznika zaangażowanego w reformy, wypowiedzi prezes Trybunału Konstytucyjnego, prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego, rzecznika praw obywatelskich oraz licznie nagłaśniane przez zwalczające rząd zagraniczne media w Polsce wypowiedzi aktualnych i byłych sędziów, prezesów, rzeczników itd., itp. Niektóre z nich są powodem wszczynania nowych spraw dyscyplinarnych, równocześnie kwestionowana jest legalność i niezawisłość Krajowej Rady Sądownictwa oraz niezależność i kompetencje Izby Dyscyplinarnej SN.

Tak bawić się można w nieskończoność. Prawnicy to potrafią. Mają to wręcz w genach. Na postanowienie – zażalenie, na zażalenie – odwołanie, od jednej do drugiej instancji, trzeciej instancji, aby sprawa wróciła tam, skąd wyszła, może się w ten sposób szybciej przedawni. Albo trafi do Trybunału Konstytucyjnego, albo do Sądu Najwyższego, od którego postanowień można się uwolnić za pomocą kasacji albo Skargi Nadzwyczajnej, nowej instytucji prawnej powstałej z inicjatywy prezydenta RP.

Ale wnioski o Skargę Nadzwyczajną należy wcześniej kierować do Prokuratury Krajowej lub Rzecznika Praw Obywatelskich. Okazuje się, że z kilku tysięcy wniosków dotyczących spraw bardzo różnych Prokurator Generalny i RPO skierowali do SN tylko kilkadziesiąt. Reszta jako bezzasadna wylądowała w koszu. To tak samo jak ze skargami na fałszowanie wyborów. Nie potrafisz udowodnić, że wybory sfałszowano, tzn. że nie masz racji, tym samym wynik wyborczy pozostaje bez zmian. Nawet gdy głosów nieważnych było 300 proc. więcej od średniej krajowej. Powtórne przeliczanie głosów możliwe jest tylko w USA.

Te wszystkie prawnicze sztuczki, zabiegi pod postacią wyroków, postanowień, stanowisk, odwołań, interpretacji, wykładni przepisów, wsparte przez komisje legislacyjne, tzw. autorytety prawnicze i środowiska naukowe, tylko nakręcają prawniczą twórczość. Widzą to niektórzy, że robi się coraz duszniej, a woda mętnieje. Trwa totalna walka na zmęczenie i wyniszczenie. Jak w filmie „Sami swoi": „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie"

eprasa.pl 4dac2b45fe

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Trzeba się bić



Witold Gadowski

Marian Banaś nie wypadł sroce spod ogona, nie jest też – jakże częstym w obecnej kuchni władzy – człowiekiem, który z niczego pnie się po trupach do jakiegokolwiek znaczenia. Przyznam też, że nie jest mi krewnym ani powinowatym. Znam go jednak wiele lat.

To człowiek, który ma za sobą dobry życiorys. Życie, w którym potwierdził odwagę i wierność wyznawanym wartościom. Dziś, kiedy każdy wypierdek może sobie rzucać najgorsze oskarżenia na ludzi zasłużonych, warto obserwować to, co dzieje się wokół obecnego prezesa NIK. Ci, którzy jeszcze niedawno wisieli u jego rękawów, upraszając się o minutę uwagi, teraz skrzętnie na jego widok przechodzą na drugą stronę ulicy. PiS nabrał wody w usta i ani myśli bronić człowieka, na którym dokonuje się medialny lincz. Banaś zrobił swoje (uruchomił maszynę KAS, która daje do budżetu dodatkowe miliardy złotych), Banaś może odejść.

Korzystając z tego milczenia, głowy podnoszą produkty z partii Jarosława Gowina. Tonem Katonów żądają, łajają, wstydzą się nie swoim wstydem. Gowin udaje moralistę kosztem człowieka, który siłą rzeczy nie może się skutecznie obronić. Sprawa Banasia pokazuje, co czeka kogoś, kto uwierzy w slogany o budowaniu nowego państwa.

Marian Banaś nie jest oczywiście ani święty, ani nie jest niewiniątkiem, jednak jego największa winą jest to, że nie jest związany z żadną dzisiejszą koterią władzy. Wielu zdało sobie sprawę, że wpuszczenie tego twardego człowieka do NIK może się skończyć... no właśnie, czym? Zagrożeniem dla interesów starych i nowych band?

Popełnił sporo błędów, dopuścił do siebie sprytnych geszefciarzy i przestępców, pomimo tego wykonał imponującą pracę – sprawił, że powstała służba skarbowa, której przestępcy rzeczywiście zaczęli się obawiać. Teraz każdy tchórz czuje się w obowiązku, aby rzucić w niego kamieniem.

A ja właśnie dlatego staję obok Banasia i mówię: „Idź, Marian, na całość, uczyń z NIK narzędzie, przed którym będą drżeli lepkoręcy politycy i urzędasy. Wal mocno, nie oglądając się na to, kogo razy dotyczą! Nie słuchaj porad tchórzy i mentalnych kurdupli. Idź ostro do przodu i zmieniaj NIK! Walcz tak, jakbyś nagle znalazł się na ringu i bił się z wieloma przeciwnikami naraz. Właśnie teraz musisz wygrać i możesz być świetnym szefem urzędu, który stanie się postrachem zarówno dla mętnych ludzi władzy, jak i wszelkiej maści aferzystów i lawirantów”.

Antycywilizacja



Lech Makowiecki

Państwo i Kościół. Nauka i Wiara. Prawo i Dekalog. Te dwie drogi nie wykluczają się nawzajem. Przeciwnie – splatając się, prowadzą do harmonijnego rozwoju cywilizacji człowieka. Dziesięć przykazań idealnie porządkuje relacje między ludźmi, ustala zakazy i nakazy pozwalające nie tylko przetrwać, lecz również „czynić sobie ziemię poddaną”. Dobrze napisane i egzekwowane prawo działa podobnie: zapewnia społeczeństwu godne i bezpieczne życie, wspiera słabszych, a rodzinę – dla utrzymania właściwego przyrostu naturalnego gwarantującego rozwój i ekspansję – otacza szczególną opieką. Ludzie wierzący przestrzegają swych reguł dobrowolnie (mając nadzieję na życie wieczne). Niewierzący w piekło ateiści za łamanie prawa są „dyscyplinowani” przez sądy, na bieżąco.

Ideałem byłoby połączenie wiary z etyką (jest to marzenie każdego przywódcy kraju – męża stanu), pozwalałoby to osiągnąć i duchowy, i materialny błogostan. Człowiekowi niewierzącemu trudniej być altruistą, mając w perspektywie tylko jedno doczesne życie, chciałby zakosztować raju natychmiast, tu i teraz. Wszelkie ideologie promujące rozpasaną konsumpcję i wynaturzony hedonizm trafiają dziś na podatny grunt. Poukładany świat rozsądku i uniwersalnych wartości przegrywa z egoistycznym środowiskiem singli, „totalnym wyzwoleniem” z oków płci (gender) czy agresywnymi, proaborcyjnymi feministkami, programowo zwalczającymi mężczyzn. Zanika atawistyczny, zakodowany w genach instynkt przetrwania, dzieci zdają się główną przeszkodą w realizowaniu siebie i swoich zachcianek. I dlatego pary homoseksualne domagające się prawa do adopcji wzbudzają mój niepokój co do czystości ich intencji.

Masowe upowszechnianie tej lewackiej antycywilizacji burzy etos rodziny, odbiera sens uczciwej pracy i prowadzi Europę ku demograficznej zapaści! Ten trend (sponsorowany przez ponadnarodowe korporacje) w końcu nas zniszczy. Świat wypełnią ludzie silni swą wiarą. Jakąkolwiek...

eprasa.pl 4dac2b45fe

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Burleska i sztuczki



Aleksander Nalaskowski

I się zaczęło. Tak jak przypuszczałem, nowa kadencja parlamentu to będzie czas oswajania Polaków z pełzającą rewolucją mózgu, czyli z bezczelnością i głupotą. Najpierw jakaś posełka wyskoczyła w trakcie zaprzysiężenia z szalikiem, myśląc zapewne, że jest na stadionowej trybunie, następnie Jachira, Hartwich & Co. zrobiły kartonowy show z napisem „hańba" (ale powodu tej hańby nie ujawniły do samego końca) i potem to już poleciało. Marszałek Senatu wcielił się w hybrydę roli papieża-mędrca-Piłsudskiego, dając tym samym próbkę bufonady i narcyzmu, które z jego strony nas czekają. Chyba psychicznie nie wytrzymał zaszczytów i mu się już na starcie pomieszało. Zapomniał zapewne biedaczek, że nie jest ani pierwszą, ani nawet drugą osobą w państwie. I było błazeńsko. Potem Jachira powiedziała, że brzydzi ją, gdy ktoś całuje jej rękę, no cóż – należy odpowiedzieć posełce, że nawzajem. Za te blogerskie wyczyny posunąłbym się dalej i rozważył, czy w ogóle jej podawać rękę. Diabli wiedzą, co w niej przedtem trzymała. Następnie poseł Śmiszek założył zespół do spraw lgbt. Jak widać, homoseksualizm z całą swoją obrzydliwością jest już nie tylko polską racją stanu, lecz także głównym zmartwieniem posłów opozycji. Ale nie tylko opozycji lewicowej. Bo oto poseł Dobromir Sośnierz z Konfederacji, a zatem bardzo konserwatywnego skrzydła opozycji, do tego zespołu się zgłosił. Stając się jego broszką. Będzie rozdawał buziaki?

Nie wiem, jak wygląda sejmowa szatnia, ale podejrzewam, że oprócz palt i szalików niektórzy zostawiają w niej cały wstyd

Potem wybrano lewaczkę na waderę komisji ds. rodziny. A ta bez ogródek i gry wstępnej stwierdziła, że jest za homoseksualnymi małżeństwami i adopcją dzieci przez takie związki. Popełniła powszechny już błąd logiczny i nie zauważyła, że homoseksualność i małżeństwo należą do zbiorów absolutnie rozłącznych. Zatem albo gejowanie, albo małżeństwo. Połączyć się tego logicznie nie da. Poza tym jako posełka na dzień dobry popadła w konflikt z konstytucją, która głosi, że rodzina to związek mężczyzny i kobiety. Jako moher i konserwatysta (ale nie konfederat!) dodałbym, że to sakramentalny związek, bo jak dotąd Kościół tego pilnuje. Te wszystkie homohece to kolejny etap oswajania nas z problemem 1–2 proc. polskiego społeczeństwa. Pozostałe 98 proc. musi grzecznie poczekać, aż ktoś się nimi na poważnie zajmie. Sejm, który reprezentuje demokratycznie wybraną większość, jest tu absorbowany przez mikroskopijną mniejszość.

Po drodze Scheuring-Wielgus z wzrokiem tęskniącym za rozumem bredziła coś o złotych gruszkach. No cóż, Petru wiecznie żywy.

I po pierwszym akcie tej burleski parlamentarnej nastąpił wielki finał w postaci hucpy z unieważnionym głosowaniem. Natychmiast uruchomił się żądny władzy i sławy duet Budka/Szczerba, do tego solista Grabiec i zabawa jak się patrzy. Tak naprawdę nic się nie stało, zwykłe sejmowe zamieszanie, nie pierwsze ani nie ostatnie, ale porozrabiać warto.

Nie wiem, jak wygląda sejmowa szatnia, ale podejrzewam, że oprócz palt i szalików niektórzy zostawiają w niej cały wstyd i gdy tylko kamery pójdą w ruch, to biorą udział w tym umysłowym porno. Mają swoje pięć minut i skrzętnie to wykorzystują. Gdy się przekroczy sejmową bramę to zarówno lud, jak i jego sprawy przestają być istotne. Liczy się show, parcie na szkło i nieustający konkurs „kto głupiej, kto śmieszniej, kto bezczelniej".

Wydawałoby się, że ten festiwal to najgorsze co może nas spotkać. Ale nic z tego! Bo oto objawił się nowy kandydat na prezydenta – „tęczowy Jaśkowiak" z Poznania. Jeszcze nie wiemy, jakie ma pomysły na Polskę, ale wiemy, że ma pomysły na dewiacje. Mocno podejrzewam tu diabelską sztuczkę. Ale tak prymitywną jak szewskie kopyto. Wiadomo, że ociężały Grzegorz będzie walczył o jak najlepszy wynik dla Kidawy-Błońskiej. Kazał więc prezydentowi z Poznania wystartować z radykalnymi odzywkami podkreślającymi jego osobliwą sławę, aby na tym tle Kidawa-Błońska wydała się jeszcze odpowiedniejsza i jeszcze bardziej pożądana.

Pewien brygadzista, chcąc mieć czyste auto, zlecał fabrycznemu cieciowi posprzątanie całego placu. Gdy ten się buntował, to chytry brygadzista łaskawie ustępował i kazał myć sobie samochód. No i cieć uwolniony od gorszej roboty wykonywał to niemal z radością. Cały spór wewnętrzny wokół kandydatury Jaśkowiaka, zaskoczenie w PO etc., to tylko gra i sztuczka. To, co najważniejsze, jest tu ukryte. Poza tym wybory i tak wygra Andrzej Duda, a reszta może sobie tylko powierzgać.

Nie zmienia to jednak faktu, że przez najbliższe kilka lat będziemy musieli znosić zniekształconą wersję tezy Norwida, że „Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek". Po stronie opozycji coraz głośniej słychać, że „Ojczyzna to wielki, zbiorowy show". Od siebie dodam – prostacki show.

eprasa.pl 4dac2b45fe

PRZEZ ŚWIETLIK

Putina żal

Władimir Putin nie przyjedzie do Polski, by wziąć udział w obchodach „wyzwolenia" obozu w Auschwitz. Wielka szkoda. W końcu Putin nie kryje, że odwołuje się bezpośrednio do wielkiego państwa sowieckiego. Mógłby o obozie Auschwitz opowiedzieć sporo pouczającego.

Przede wszystkim, o samych obozach koncentracyjnych. Co prawda pierwszeństwo mają ponoć Belgowie, którzy za pomocą takiego rozwiązania w Kongu zamordowali kilka milionów osób (dla Belgów nie byli to wówczas ludzie). Potem nieco próbowali Niemcy (jeszcze za cesarza) w Namibii i Brytyjczycy w RPA, no ale Sowieci rozwinęli pomysł twórczo i na masową skalę.



Jako pierwsi morderczą pracę milionów ludzi potraktowali jako przedsięwzięcie biznesowe, ważny element gospodarki. Dlatego dziś w Rosji powstają książki, które w zupełnie inny niż nasz ciasny sposób traktują wielkiego reformatora systemu gułagów Ławrientija Berię. Ten wybitny menedżer, specjalista od zarządzania zasobami ludzkimi, ekspert od wydajności pracy, posiadacz swoistego MBA w dziedzinie zarządzania „human resources", został kilka lat temu uhonorowany za swoje osiągnięcia przez przerażające i szczęśliwie znikające dziś już miasto Workuta – które żyło w gruncie rzeczy jedynie z obozów niewolniczych.

Ale nie tylko o Berii i gułagach mógłby Władimir Władimirowicz prawić przy okazji rocznicy wyzwolenia obozu w Auschwitz. Oszczercy w rodzaju pisarza Suworowa twierdzą, że Sowieci całą technologię otrzymali w okresie międzywojennym od Niemców. To nieprawda. Przynajmniej jeden wynalazek był sowiecki, a potem Niemcy go rozwinęli. To ciężarówka z rurą wydechową skierowaną do środka i uszczelnioną tylną komorą. Zanim istniejące do dziś koncerny niemieckie unowocześniły i umasowiły to rozwiązanie w postaci komór gazowych, właśnie tak zabijano Żydów, choćby w Chełmnie nad Nerem, pierwszym obozie zagłady. Wynalazek był jednak sowiecki. Porucznik NKWD Isay Berg „opatentował" go już na początku lat 30. XX w., by przyspieszyć egzekucje i zaoszczędzić amunicję. Zręczny enkawudzista zauważył, że skoro i tak wozi się więźniów na egzekucje, to można zużywane paliwo wykorzystać podwójnie.

Władimir Putin mógłby opowiedzieć o wysyłaniu ludzi do obozów na podstawie ich nazwisk określających narodowość. O masowych egzekucjach, mordowaniu rodzin, planach wykorzystania i wykorzystaniu przez Sowiety części obozu w Auschwitz dla celów więziennych. Mógłby też pochwalić się swoimi dokonaniami: wojną na Kaukazie, prześladowaniami Tatarów krymskich. Szkoda, że nie przyjedzie. Może choć Korwin z Czarzastym razem wyślą mu jakiś list dziękczynny.

Wiktor Świetlik

REKLAMA



40/1119/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

Wyborczy koktajlbar Jaśkowiaka



Jerzy Jachowicz

W ostatnią sobotę poznańskie środowisko gejowskie w nocnym klubie Hedone przeżyło wielkie święto. Po raz pierwszy w Polsce dwaj homoseksualiści Marek W. i Waldek M. przypieczętowali swój wieloletni związek węzłem małżeńskim. Wprawdzie z punktu widzenia prawnego chwila ta nie była uroczystością formalną, lecz jedynie symbolicznym potwierdzeniem gorących i trwałych uczuć łączących tych dwóch mężczyzn. Niemniej jednak znamienne było to, że zainscenizowanego ślubu udzielił młodej parze prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, który – jak wiemy – startuje jako kandydat na kandydata na prezydenta z ramienia PO. Już więc na etapie kampanii przed terminem ostatecznego rozstrzygnięcia, jakie w największej partii opozycyjnej wkrótce zostanie dokonane, pełen napięcia i szlachetnej rywalizacji wyścig o zwycięstwo w prawyborach rozgorzał na całego.

Na setkach twarzy świadków tego historycznego momentu widać było niekłamane wzruszenie, kiedy Jaśkowiak, z prezydenckim łańcuchem zawieszonym na szyi, wycenianym na 375 tys. zł, składającym się z 12 połączonych ogniwami medalionów, z widniejącym na największym z nich herbem Poznania, wygłaszał znaną formułę, a za nim dwaj dorodni mężczyźni łamiącymi się głosami powtarzali: „Świadomy praw i obowiązków wynikających z założenia rodziny...".

To był jednak dopiero wstęp do prawdziwej sensacji. Po wiwatach na cześć młodej pary Jaśkowiak został zaproszony do garderoby dla artystów. Organizatorzy zaś ogłosili, że za chwilę pojawi się znowu. W garderobie dwaj specjaliści w ciągu kilkunastu minut przebrali prezydenta Poznania za popularną postać podczas klubowych występów, tzw. drag queen, czyli mężczyznę w kobiecej charakteryzacji. Prezenter zapowiedział Jaśkowiaka jako drag queen Joan.

Prezydent Poznania swoje wystąpienie zakończył hasłami, które mają się stać dwoma filarami jego kampanii: „Wolność dla ludzi wolnych" i „Trybunał Stanu dla prezydenta Dudy".

Oba zawisły jako transparenty nad sceną klubu Hedone, z greckiego „rozkosz".

CO MNIE SMUCI

Wielkie rozczarowanie



Katarzyna Łaniewska

Byłam na premierze „Dziadów" Adama Mickiewicza w Teatrze Polskim w Warszawie. Niestety spotkało mnie rozczarowanie.

Wchodząc na widownię przed przedstawieniem, zastajemy scenę wysuniętą o sześć pierwszych rzędów widowni. Jest już w dekoracji, bardzo kiepsko oświetlona. Niedbale rozrzucone stoły i krzesła przypominające kiepską jadłodajnię. W końcu stoi żelazne łóżko, które najwyraźniej właściciel jadłodajni zapomniał sprzątnąć przed otwarciem. W tejże dekoracji trwa akcja całej sztuki.

Zrobiło mi się dziwnie. Dlaczego? Co autor przedstawienia chciał przez to powiedzieć? Zasadnicza scena teatru, wielka, z głębią, z obrotówką i profesjonalnym oświetleniem, była nieużywana i niepotrzebna? W tę kiepską jadłodajnię wchodzą bohaterowie. Od cmentarza, przez Sudety, po lochy, do balu u senatora. Niebywałe, niewytłumaczalne i niezrozumiałe.

Aktorzy, których jest ok. 50, bardzo się napracowali, na pewno wykonali wszystkie polecenia reżysera, ale proszę mi wybaczyć, koledzy – to, co usłyszałam, było żadne. To było smutne i nie miało żaru. Nic mnie nie poruszyło ani nie wzruszyło. Poza jedną postacią młodego senatora. Przeważnie grywali to starsi koledzy. Obronił swoją rolę. Nie mogę mieć obiektywnego spojrzenia, bo patrzę na to przedstawienie przez pryzmat tego, w którym grałam w 1955 r. w reżyserii Aleksandra Bardiniego. Słyszę głosy tamtych wielkich aktorów. Zaczynał Wojciech Brudziński jako guślarz – pierwsze słowa i tajemnica. Zmieniały się dekoracje. Widziałam paru Gustawów-Konradów. Od młodziutkiego Ignacego Gogolewskiego po starszego Stanisława Jasiukiewicza. Byli wspaniali, żarliwi, pełni wiary i buntu. Widziałam też dojrzałego Gustawa Holoubka, który rewelacyjnie mówił monolog. Tutaj nic do zapamiętania. Dlaczego twarze aktorów nie były oświetlone. Przecież aktor gra też twarzą, oczami. Co miała znaczyć ta ciemność? Może jestem za głupia i za stara. Szkoda, zespół się na pewno napracował.

Myślałam, znając młodzieńczą twórczość reżysera przedstawienia, że próbował zrobić coś à la Kantor, że może tak będzie chciał przyciągnąć młodych ludzi. Ale nie. Nie wiem, po co i dlaczego wziął się do tego dzieła. Nawet głośne wystrzały i ognie na scenie nie pomogły.

Kiedy wychodziłam z teatru, zrobiło mi się strasznie smutno. Coś się zamyka we mnie, w teatrze, w kulturze.

11/AW/2019

eprasa.pl 4dac2b45fe

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, **to 19 groszy dla sportu i kultury**

TOTALIZATOR SPORTOWY

PONAD 12 MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej

od 1994 roku

#WygrywamyRazem

#RazemDlaSportu | **#RazemDlaKultury**

PONAD 2 MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury

od 2003 roku

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

LOTTO · Lotto · Eurojackpot · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

eprasa.pl 4dac2b45fe

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Nie zawsze milusińscy

Obecnie też przywiązuje się dzieci do maszyn oblężniczych

Współczesne medialne maszyny oblężnicze poddają nas nieustannej presji ideologicznej. Ostatnio rozgorzała walka o końcówki. Feministyczna histeria rzuciła się na nazwy zawodów. W Sejmie powstała żeńska grupa operacyjna oburzona tabliczkami „poseł" przy swoich nazwiskach w ławach sejmowych. W walce sięgają po małoletnich.



Ryszard Makowski

Pośl ica KO Barbara Nowacka: „Jak rozmawiam z takimi miłymi dziewięciolatkami jak moja córka, to one przez właśnie m.in. końcówki żeńskie uważają, że premierka czy prezydentka to jest właściwa forma i generalnie to jest ich pomysł na życie".

Pomysł na życie znalazła też szwedzka nastolatka Greta Thunberg. Postanowiła zmienić klimat. Odgraża się politykom i terroryzuje glob zaciętą miną. Nasza 13-letnia wersja szwedzkiej aktywistki prowadząca pod Sejmem samotny wakacyjny strajk klimatyczny okazała się zbyt rachityczna i zniknęła w oparach absurdu.

W telewizyjnych agitkach rezolutne dzieciaki pilnują dorosłych, żeby segregowali śmiecie i oszczędzali wodę. Jak to zwykle w takich ruchach, gdzie na pierwszy plan wysuwa się kompletny idiotyzm i nim epatują jak nalotem dywanowym, musi się wkraść jakaś niespójność. Megaekolodzy głoszą, że aby ratować planetę, jako gatunek powinniśmy przestać się rozmnażać. Tylko skąd wtedy brać dzieci do protestów? Dzieci można ukierunkować na różne sposoby, co pokazała perfekcyjnie przygotowana przez TVP Eurowizja Junior. Drugi raz z rzędu wygrała Polka. I klimat się od razu poprawił.

eprasa.pl 4dac2b45fe

***Zawistowski prezentuje:* Prawybór**



Wycinki z przeszłości

Dziś proponujemy państwu próbkę żartów ze stycznia 1939 r. Zanotowało je pismo „Wiarus", przeznaczone dla podoficerów Wojska Polskiego.

– Wiele ty masz właściwie lat, Zosiuniu?
– 24.
– Jak to? Zeszłego roku mówiłaś to samo.
– Bo ja nie jestem kobietą, która ciągle zmienia zdanie.

W restauracji:
– U nas, proszę pana, to już wszystko jest naj... naj... Jaja są najświeższe, mięso najsmaczniejsze, piwo najlepsze.
– O tak, to prawda. I befsztyki najmniejsze w całym mieście.

– Staszek powiedział mi wczoraj, że brak mi tylko dwóch skrzydeł.
– Do anioła czy do gęsi?



Gubernator jednego ze stanów w Ameryce Południowej radzi się przyjaciela w pewnej sprawie.
– Słuchaj, mój kochany – mówi do niego.
– Jak by to dać do zrozumienia naszemu senatorowi, że go tym razem nie wybierzemy, ale delikatnie?
– Hm... czy ja wiem? Może mu dziś w nocy wybić wszystkie szyby i otruć psa?

Na ilustracji rysunek z tego pisma. ***(mk)***

Od św. Mikołaja w prezencie

Nie ma chyba szanującej się antologii poezji polskiej, która by pomijała ten wiersz – śpiewankę, obraz, wizję senną, malowankę dziecięcą. Dziś zapomniany – „lirnik mazowiecki" – większość życia (trudnego, biednego) spędził na emigracyjnym tułactwie. Jego prochy sprowadzono do narodowego panteonu na Skałce.



Leszek Długosz

Teofil Lenartowicz 1822–1893 „Złoty kubek"

W szczerym polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liściami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała znad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:
– Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Tylko, proszę, zrób mi ładnie.
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie,
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

– Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,
A pod spodem małe dzieci.
Ale czyjeż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotym denku przejrzeć lice?

– Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.
Złotniczeńku, patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 4dac2b45fe

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Very bleak week

Czyli „bardzo ponury tydzień”. A przecież tyle radości przyniósł. I to milionom ludzi. A może raczej „radości”?

Black Friday, czyli dzień piątkowych wyprzedaży, zamienił się już w cały tydzień – Black Week. Miliony – pewnie już miliardy – na całym urynkowionym świecie cieszą się z obniżonych cen. Wiele osób kupuje rzeczy, których w innym przypadku by nie nabyło. Kupują także to, czego tak naprawdę nie potrzebują. Wymieniają sprzęty jeszcze dobrze działające na inne – udoskonalone. Nowiutkie. „Stare” będą zalegały po kątach lub wylądują na śmietniku.



BŁOGOSŁAWIONE WYPRZEDAŻE

Pewno już na całym niemal globie mamy system gospodarczy, który bardzo przypomina rower. Dopóki jedzie, nie wywraca się. Ale gdy tylko za bardzo zwolni, zaraz grozi mu wywrotka.

Miliardy ludzi na świecie żyją postępem: przekonaniem, że w przyszłości, najlepiej już jutro, będzie lepiej. Wyborcy oczekują od polityków, by najpierw obiecywali, a potem owo „lepiej” zapewniali. Politycy oczekują od ekonomistów i ludzi biznesu rad, jak rządzić, by zapewniać stały wzrost gospodarki.

Ważnym, może w dzisiejszej epoce już decydującym, czynnikiem tego wzrostu jest konsumpcja. Kiedy konsumpcja rośnie, napędzany jest wzrost gospodarczy, co umożliwia podnoszenie płac, dzięki czemu może rosnąć... konsumpcja. Upraszczamy? Jasne. Ale tylko trochę.

A jak powodować, by więcej kupowali ludzie, którzy mają już prawie wszystko, co jest niezbędne do życia (z dóbr materialnych)? Przekonać, że nowy, udoskonalony produkt to jest ten właściwy, który naprawdę jest potrzebny. Albo przynajmniej zasiać przekonanie, że taki produkt po prostu wypada mieć. I oferować raty, kredyty, wreszcie obniżki, by niemal wszystko wydawało się w zasięgu ręki.

KARTY, KARTY

Karty kredytowe oraz płatności online (zakupy internetowe) przyszły tu kapitalizmowi z nieocenioną pomocą.

Już sporo lat temu badania naukowe pokazały, że posługując się kartami, wydajemy znacznie więcej, niż kiedy płacimy gotówką. Okazało się, że rozstawanie się z „żywym” pieniądzem często wywołuje prawdziwy fizyczny ból, którego już nie odczuwamy, nie widząc, jak w cudze ręce przekazywane są nasze ciężko zarobione pieniądze.

RADOSNA KONSUMPCJA

Cóż jest złego, spytałby ktoś, w świecie radosnej konsumpcji? Pomińmy już to, że nadal na naszej planecie nie brakuje społeczności, które każdego dnia z trudem zmagają się z zadaniem konsumpcji podstawowej, niezbędnej do przeżycia całej rodziny w jako takim zdrowiu.

Zastanówmy się, jak ma się świat dzisiejszej hiperkonsumpcji do tak głośno deklarowanej troski o środowisko naturalne?

Czyż nie powinno być jasne, że kupowanie więcej dóbr, niż faktycznie jest to nam niezbędne, w opakowaniach znacznie większych, niż wynikałoby to z wymogów bezpiecznego transportu, stanowi nader poważne obciążenie dla środowiska naturalnego? Że rodzi ogromny – zbędny – ślad węglowy?

Ale jak często słyszycie, że ekoaktywiści eksponują ten właśnie motyw? Jakoś nigdy nie spotkaliśmy się z kampanią ekologów skierowaną np. przeciwko popularyzacji płatności bezgotówkowych...

PUŁAPKA KAPITALIZMU?

Obecny system wygląda tak: bez ciągłego wzrostu kapitalistyczna gospodarka nie potrafi dać podstaw do bezpiecznego ładu społecznego. Jednocześnie ów wzrost oparty na coraz większej konsumpcji niszczy nie tylko planetę, lecz także więzi międzyludzkie.

Technogadżety już powszechnie stały się nie tylko wyróżnikami statusu społecznego, ale coraz bardziej rozrywają społeczne relacje. Patrzenie w ekran smartfona – gdzie hulają m.in. cyfrowe technologie uzależniające – dla bardzo wielu osób okazuje się znacznie bardziej atrakcyjne od patrzenia w oczy drugiej osoby i słuchania tego, co chciałaby ona powiedzieć. Umiejętność rozmowy zanika. Wraz z nią empatia.

Konsumpcjonizm występuje zaś w roli zbawienia dla nadwerężonego ładu społecznego. Czy tego oczekiwali od cywilizacji naukowo-technicznej twórcy idei oświecenia?

Znajdziemy drogę wyjścia z tej pułapki, czy też zadławi ona i ludzkość, i naszą planetę?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 31/0919/F

eprasa.pl 4dac2b45fe

Zrób bliskim prezent na święta...

Radość potrwa cały rok!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + wSIECI HISTORII

30% TANIEJ

+ PIĘKNA KSIĄŻKA W PREZENCIE!





Pełna ciepła i uroku opowieść, opatrzona magicznymi ilustracjami, idealna na długie zimowe wieczory

PRENUMERATA NA 12 MIESIĘCY

SIECI + wSIECI HISTORII + książka
280 ZŁ

SIECI
245 ZŁ

wSIECI HISTORII
54 ZŁ

Zamów prenumeratę:

● www.wsieciprawdy.pl/prenumerata ● 22 616 15 70 ● prenumerata@fratria.pl

eprasa.pl 4dac2b45fe

LOTTO

Lotteria ŚWIĄTECZNA

Milion szans na miliony



Do wygrania 1 000 000 zakładów Lotto!

2 x Toyota Yaris



20 x ASUS ZenBook



290 x karta prezentowa 1000 zł



200 x bon upominkowy 500 zł



Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.

18+

Zgodnie z obowiązującym prawem w grę liczbowe i loterie pieniężne mogą grać wyłącznie osoby, które ukończyły 18. rok życia.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

Regulamin loterii dostępny na **www.lotteriaswiateczna.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od **26 listopada 2019 r.** do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do **31 grudnia 2019 r.** Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 4dac2b45fe